

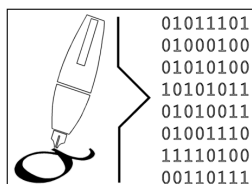
MARGIT SANDEMO

SAGA O CZARNOKSIĘŻNIKU

TOM 4

OBLICZE ZŁA

Przełożyła: Iwona Zimnicka



Tytuł oryginału:

Oversatt etter: Ondskapens ansikt.

Data wydania polskiego: 1996 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1992 r.

Księgi złych mocy

Przyczyna wszystkich dziwnych i przerażających wypadków, przez jakie musiała przejść pewna młoda dziewczyna z zachodniego wybrzeża Norwegii na przełomie siedemnastego i osiemnastego wieku, zawiera się w trzech księgach zła, dobrze znanych z najbardziej mrocznego rozdziału w historii Islandii.

Księgi pochodzą z czasów, gdy w Szkole Łacińskiej w Holar, na północy Islandii, rządził zły biskup Gottskalk, czyli z okresu pomiędzy latami 1498 a 1520. Biskup uprawiał prastarą i już wtedy surowo zakazaną czarną magię; Gottskalk Zły nauczył się wiele o magii w osławionej Czarnej Szkole na Sorbonie.

Szkoła Łacińska w Holar była za panowania Gottskalka tak niebezpieczna, że macki zła rozciągały się stamtąd zarówno w czasie, jak i w przestrzeni; żądza posiadania owych trzech ksiąg o piekielnej sztuce rozpalala się w każdym, kto o nich usłyszał. Ani jedna dusza nie pozostała wobec nich obojętna. Zresztą... Aż do naszych dni przetrwała ich ponura, budząca lęk sława.

Rozdział 1

Jak można tęsknić za kimś, kogo się nigdy nie znało?
Tęsknić tak mocno, że tchu braknie w piersiach?
Nie wiedzieć, daremnie czekać na wieści,
ukrywać ból, zżerający od środka — oto
największa gorycz, jakiej może zaznać człowiek.

Skuliła się w rogu podokiennej ławy, otoczyła rękami kolana, kierując wzrok na spowity poranną mgłą krajobraz. Na jasnym tle rysowały się wykrzywione sylwetki dębów, krople wilgoci skapywały z drzew. Chłód jakby chciał się przecisnąć do niej przez szpary w oknach.

To niepotrzebne, pomyślała. Moją duszę już dawno skuł lód.

Noszę w sobie cały wszechświat tęsknoty. Nieskończoną pustkę, której nic nigdy nie zapełni. Jestem uosobieniem tęsknoty, wiecznego niespełnionego pragnienia, które musi być jedną z najstraszliwszych katuszy czyśćca.

Mnie niepotrzebny czyścicowy ogień. Doświadczam go tu, na ziemi, dzień po dniu. Niestraszne mi piekło, już do niego przywykłam.

Gdzie szukać spokoju? Jak długo mam gnać po północnych krainach, zanim moje serce znajdzie ukojenie?

Wiem. Dla mnie nie ma spokoju.

Wybacz mi, moja droga. Wybacz mi wszystko! Tak wiele chciałam uczynić, tak wiele chciałam dać!

Ale dla mnie nie ma wybaczenia.

Móri, najbardziej chyba samotny ze wszystkich czarnoksiężników świata, stał w swoim pokoiku w pensjonacie w Christianii. Przeprowadzili się tutaj, bo poprzednia gospoda okazała się brudna i za ciasna. Wciąż mieli nadzieję, że przesładowcom Tiril nie udało się wpaść na ich trop.

Smukłe dłonie Móriego ostrożnie dotykały zwojów pergaminu, odnalezionych w starym zamczysku.

— Formuły, zaklęcia. Potężne czary — szepnął do siebie. — Ale zapisano je w języku, którego nie rozumiem, znakami, których nie potrafię odczytać. — Po jego twarzy przemknął cień. — Ale tu coś jest. . .

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi, charakterystyczny sygnał Tiril, zaraz też i ona sama wsunęła się do środka. Spostrzegłszy, jak głęboko Móri zatopił się w myślach, cichutko przycupnęła na jedynym w pokoju krześle i zaczęła się przyglądać przyjacielowi.

Nikogo na tym świecie nie kochała równie mocno jak tego człowieka. A jednak nie wolno jej było go kochać. On nie został stworzony do ziemskiej miłości. Gdyby jej pokosztował, przez swe związki z mrocznym światem wciągnąłby również ją, Tiril, do krainy chłodnych cieni.

Tiril wiedziała, że i tak znaczy dla Móriego zbyt wiele. Musieli teraz zamieszkać w oddzielnych pokojach, nie mogli dłużej sypiać wspólnie jak rodzeństwo czy dobrzy przyjaciele. Już dwukrotnie zanadto się do siebie zbliżyli. Zdawali sobie sprawę, że następnym razem nie zdołają się pohamować.

— Co sprawia, że tak surowo marszczysz brwi? — spytała z uśmiechem w głosie.

Ocknął się.

— Tu coś jest, Tiril. Coś, co, jak sądzę, ma związek z twoim pochodzeniem. Niemożność zrozumienia, o co chodzi, ogromnie irytuje.

— Czy nie możesz zwrócić się o pomoc do jakiegoś specjalisty od niemieckich run?

Móri uśmiechnął się.

— A gdzie takiego szukać?

Tiril wzburzyły domysły przyjaciela.

— Ależ to nieprawdopodobne! Czarnoksiężskie formuły spisane co najmniej czterysta lat temu mogłyby mieć coś wspólnego ze mną?

— Nie z tobą osobiście, lecz z całym dziedzictwem Habsburgów i Tiersteinów. Faktem pozostaje, że wciąż tropią cię dwaj mężczyźni pałający żądzą mordy. A jesteś przecież najzyczliwszą osobą, jaką spotkałem!

— Dziękuję za te słowa, Móri! Mimo wszystko niczego nie pojmuję. Bo przecież ten tak zwany skarb, który znaleźliśmy, miał dość skromną wartość.

— Zgadzam się. Owszem, czarownica albo czarnoksiężnik coś w nim dla siebie znajdą ale pozostałe przedmioty. . . Nic nadzwyczajnego.

— Cóż więc cię niepokoi? Co wśród tych rzeczy, które otrzymałeś jako czarnoksiężnik, naprowadza cię na myśl o dziedzictwie mającym związek z mną?

— Trzy punkty. Po pierwsze, trzy kawałki figurki demona, która okazała się kluczem do skarbcza. Wielu ludzi z zapalem go poszukiwało. Po drugie, coś w tych zwojach pergaminu przykuło moją uwagę. . . Spójrz na to!

Tiril wpatrywała się w postrzępione, kruche arkusze, dostrzegła jednak tylko dziwaczne znaki, mogące pochodzić z okresu, kiedy to stylizowane runy ryte

w kamieniu zaczęły przybierać bardziej miękkiej, giętkiej kształt pisma na papierze.

— Zwróć uwagę na to słowo! — wskazał Móri.

Ach, być tak blisko i nie móc go dotknąć!

— No cóż, nie jestem specjalistą od run — rzekła ostrożnie. — Ale to słowo odczytałabym jako IRBI.

Właśnie. A ponieważ dzięki I i E zapisywano tym samym znakiem, możemy odczytać je jako ERBE. To oznacza dziedzictwo.

Ale przecież napisano to tak dawno temu! Cóż oni wtedy wiedzieli o spadku?

— Nie wiem, przecież to tylko domysły.

Ach, te oczy pełne tajemnic! Patrz na mnie, Móri, pozwól mi utonąć w ich niosącym śmierć mroku!

— Jeszcze coś tu jest — powiedziała, by odwrócić myśli, bo czuła, że stojący tuż obok mężczyzna coraz bardziej ją fascynuje.

— Owszem — odparł. — Ale udało mi się odcyfrować zaledwie kilka słów i nadal nic nie rozumiem.

Tiril przeczytała

— VFIR? Cóż to na miłość boską może znaczyć? To całe słowo, ale całkiem bez sensu!

— Zastanów się chwilę! W piśmie runicznym tym samym znakiem zapisywano litery V i U.

— Wobec tego UFIR? Albo UFER?

— Tak. A co to znaczy?

— Brzeg?

— Właśnie.

— Nic nam to nie mówi.

— Niestety. A jeszcze mniej ten urywek słowa... IMVR...

— IMUR? Wygląda na to, że jest to środkowa część, wyrazu. A może to ma być... EMUR...?

— Bystra jesteś — uśmiechnął się Móri. — A jeśli potrafisz znaleźć niemieckie słowo, które ma w środku EMUR, to powiem, że jesteś jeszcze bystrzejsza.

Zastanawiali się przez chwilę, ale żadne nie mogło się pochwalić doskonałą znajomością niemieckiego.

Wśród liter znajdował się też rysunek słońca z wyraźnie zaznaczonymi promieniami.

— Poradzimy się Erlinga — zdecydowała Tiril, a Móri od razu się z nią zgodził.

Zwinął stary, zbutwiały pergamin.

— Sądzę, że to ważne. Być może najważniejsze ze wszystkiego, co znaleźliśmy w starym skarbcu.

— No tak, bo przecież pozostałe przedmioty niewiele były warte. Ale wspominałeś o trzech rzeczach. Czym jest ta trzecia?

Nareszcie podniósł na nią wzrok i Tiril z radością pozwoliła się wciągnąć magicznej, sugestywnej głębi jego oczu.

— Pamiętasz komorę grobową starego hrabiego? Pierwszą kryptę, którą odkryliśmy?

— Tak.

— Ozdoby na ścianach?

— Tylko na jednej, o ile dobrze pamiętam. Jakiś reliefowy wzór.

— Właśnie. Zanim opuściliśmy kryptę, w pośpiechu go odrysowałem. Miałem do dyspozycji jedynie tylną ściankę jednej z moich magicznych run, a czas nas gonił, ale sądzę, że najważniejsze elementy zdołałem skopiować.

Pokazał przyjaciółce nieduże drewnienko.

— Chyba się zgadza — stwierdziła Tiril, dokładnie przyjrawszy się wzorowi. — Jak sądzisz, co może znaczyć? Bo z pewnością nie są to znaki pisma.

— O, nie, żadną miarą. Wydaje mi się raczej, że to przypomina jakiś labirynt, ale nie wiem na pewno. I znów promieniste słońce.

— Pozwól mi przerysować ten wzór na zwykły papier, zanim zetrze się z drewna!

— Nie, sam to zrobię, przyrzekam, że zajmę się tym jeszcze dziś. Im mniej będziesz miała do czynienia z tymi strasznymi rzeczami, tym lepiej dla nas.

— Skąd wiesz, że one są straszne?

— Po prostu wiem — odparł krótko. — A w każdym razie na pewno niebezpieczne.

— Jak chcesz. Tylko o tym nie zapomnij! Móri, przysłałam do ciebie, żeby się z tobą podzielić swoimi rozterkami. Jeśli naprawdę wybieramy się na ten okropny bal na zamku, to jak my się ubierzemy?

Móri uśmiechnął się do dziewczyny i siadł na łóżku.

— Ja też się zastanawiałem. Nie pójdę przecież w tym — wskazał na swą brunatną jak ziemia pelerynę.

— Wiem, że pod nią nosisz piękne ubranie — powiedziała Tiril. — Ale chyba trochę już zniszczone?

— Trochę? Ledwie się trzyma i tylko po ciemku można się domyślać, że koszula była kiedyś śnieżnobiała.

Moja sytuacja też nie jest lepsza — roześmiała się Tiril. — Musimy zdobyć nowe stroje, ale nie wiem, jak należy się ubrać na dworski bal. — Zamyśliła się na chwilę. — Mam co prawda naszyjnik z szafirów...

— Nie — przerwał jej Móri. — Powinnaś go zabrać ze sobą, ale nie zakładać.

Tiril popatrzyła na niego pytająco. Wyjaśnił:

— To ze względu na twoją matkę. Jeśli nagle ujrzy swój klejnot na szyi nieznajomej, może przeżyć wstrząs.

— No tak, racja. Ale potem wykorzystamy go jako dowód mojej tożsamości.

— Otóż to! Pilnuj tylko, by nie wpadł w szpony Catherine, zanim znajdziemy się na Akershus, bo zrobi się prawdziwe zamieszanie.

Tiril od razu zrozumiała, o co chodzi Móriemu. Gdyby Catherine wystąpiła w szafirach na łabędziej szyi, a matka Tiril rozpoznała naszyjnik, mogłaby pomyśleć, że...

Móri wyrwał ją z zadumy.

— Poprosimy Catherine o radę co do strojów.

— Tak będzie najlepiej. Catherine czasami nam się do czegoś przydaje.

— Rzeczywiście — przyznał niechętnie. — Ale będę się cieszył, kiedy już się z nią rozstaniemy.

— Ja także — cicho powiedziała Tiril. — Nawet przez moment jej nie ufam. Biedny Erling!

— Gdybyś chciała, Erling byłby twój.

— Był taki czas, kiedy „odkryłam” Erlinga — zamyśliła się Tiril.

Z radością zauważyła, że Móri wyraźnie sposepniał.

— W drodze z Bergen do Christianii — przypomniała z uśmiechem. — Pamiętam, dostrzegłam nagle, że jest przystojnym, pociągającym kawalerem, nie tylko narzeczonym Carli. Ale to trwało jedynie parę dni — zakończyła beztrząsco. — Erling nie jest w moim typie.

Móri nie śmiał pytać, jaki właściwie jest jej typ.

Muszę poradzić się moich towarzyszy, pomyślał w nagłej desperacji. Tiril sama mnie o to prosiła. Spytać, czy wolno nam jest się kochać. Co się stanie, jeśli przekroczymy granicę? Czy pociągnę ją za sobą do milczącego królestwa nocy, do krainy cieni, przez którą muszę wędrować, choć tak jej nienawidzę? Boję się jednak odpowiedzi, lękam się nawet kontaktu z moimi strasznymi towarzyszami.

Ale trzeba się na to zdobyć, dłużej zwlekać się nie da. Tiril i ja igramy z ogniem. Wiem, że gdy następnym razem spocznę w jej ramionach, nie zapamiętam nad sobą.

Ona także się nie powstrzyma, ta myśl jeszcze bardziej podnieca.

W jego rozważania wdarł się głos Tiril. Pytała, w co powinna się ubrać na bal. Westchnął.

— Wyglądałaś tak pięknie tamtego wieczoru w zajeździe — odpowiedział. — Służąca pomogła ci się ubrać, pamiętasz?

— Naprawdę tak uważasz? Dziękuję! Ale ta suknia jest za skromna. Chyba że... Zaczekaj!

Tiril rozważała coś w myślach, a Móri posłusznie czekał. Z nieskrywaną czułością obserwował wyrazistą twarz dziewczyny.

— Mam jeszcze jedną sukienkę — rzekła z wahaniem. — Erling zabrał ją z domu, z Bergen. Nie chciałam jej wkładać, bo należała do Carli. Ale ta suknia byłaby odpowiednia na każdy bal, nawet na królewski.

— Wobec tego w nią się ubierz — powiedział Móri cichym, lecz dobitnym głosem, jak zawsze wtedy, gdy chciał kogoś do czegoś nakłonić. Ale wspomnienie ukochanej siostry wciąż pozostawało dla Tiril zbyt bolesne. Po wyrazie jej twarzy poznał, jak musi ze sobą walczyć.

Spróbował jeszcze raz:

— Carłę z pewnością zasmuciłoby, że suknia niszczeje, ponieważ nie chcesz jej nosić. Jestem przeświadczony, że tobie jedynej pragnęłaby ją przekazać.

Tiril kiwała głową, jakby chciała sama się przekonać, ale nie zdołała. Wspomnienie Carli wciąż było dla niej święte, lecz sama postać siostry nieco przybladła, nie była już tak wyrazista. Gdy zdała sobie z tego sprawę, ogarnęły ją wyrzuty sumienia.

— Ale w co ja się ubiorę? — Móri zorientował się, że musi oderwać Tiril od złych myśli. — To o wiele większy kłopot.

— W Tiveden pięknie wyglądałeś bez peleryny, w białej koszuli.

Uśmiechnął się.

— Kochana, wtedy było ciemno. Ta koszula już nie znosi światła dziennego.

— Nie mógłbyś pożyczyć czegoś od Erlinga? Jesteście przecież mniej więcej równego wzrostu.

— On jest trochę wyższy, ale nie zawadzi spytać. — Westchnął niezadowolony. — Wiele bym dał, żeby nie iść na ten bal.

— Ja także. To nie w moim stylu.

Po twarzy Móriego przemknął jeden z jego rzadkich uśmiechów.

— Jesteśmy bardzo do siebie podobni. Ale iść musimy. Ty ze względu na matkę...

— Ona chyba nie pragnie mnie odszukać, raczej przeciwnie?

— Nic o tym nie wiemy. A ja będę ci towarzyszyć i czuwać nad twym bezpieczeństwem.

— Dziękuję, przyjacielu! Najlepszy, najwierniejszy przyjacielu!

— Zapominasz o Nerze.

— Rzeczywiście. Wierność człowieka nie może równać się z psią. Móri, drogi mój, co my w czasie balu pocniemy z Nerem?

— Musi poczekać tutaj.

— Ależ on nie przywykł zostawać sam. Nie zrozumie. Odbierzemy mu jego obowiązek pilnowania stadka. Będzie zrozpaczony! Móri, a jeśli nam się coś stanie? Jeśli stamtąd nie wrócimy?

Oczy czarnoksiężnika zalsniły czułością.

— A jeśli cały masyw górski Jotunheimen zawali się na niego? Albo zaleje go morze występujące z brzegów?

— Nie kpij ze mnie — roześmiała się. — Nie mamy jednak wyboru, musimy zostawić go tutaj. Chyba nie uda nam się go przemycić na salę balową.

— Raczej nie.

Tiril zadrzała.

— Och, Móri, tak się boję!

Ja także, miał już na końcu języka, ale nie śmiał wyznać, co rano znalazł w jej śniadaniu. Trutkę na lisy! Intuicja podszeptała mu, że z talerzem Tiril coś jest nie w porządku. Nie podejrzewał właścicieli pensjonatu ani nikogo ze służby, lecz chociaż czworo przyjaciół mogło zamykać pokoje na klucz, nie mieli jednak kontroli nad kuchnią ani nad korytarzem. A starym zwyczajem, dopóki tu mieszkali, każde z nich korzystało z własnego, osobnego talerza, oznaczonego imieniem. Dało się w ten sposób uniknąć niepotrzebnego zmywania. . . A więc zostali odkryci. Z pewnością prześladowcy Tiril uczynią wszystko, by nie dopuścić jej na dworski bal na zamku Akershus.

Rozdział 2

Czuło się, że lato mija. Ciągnęło chłodem, coraz częściej padało. Przygnębienie ogarniało wielu mieszkańców Christianii, szczególnie tych bez dachu nad głową, którzy każdej nocy musieli szukać sobie nowej bramy na nocleg.

Wracajcie do domu, powiadano im. Wracajcie do domu, na wieś, nic tu po was!

A cóż oni mieli począć w rodzinnej wiosce? Większość przybyła do wielkiego miasta w poszukiwaniu pracy albo szczęścia. Wkrótce jednak przekonali się, że z deszczu wpadli pod rynnę.

Położenie Tiril i jej przyjaciół było znacznie lepsze, choć nie czuli się dobrze w ciasnych pokoikach pensjonatu.

Dziewczyna nie mogła pojąć, dlaczego nagle zabroniono jej opuszczać pokój. Pod żadnym pozorem nie wolno jej było wychodzić. Przyjaciele nie chcieli nic mówić Tiril o atakach na jej życie, którym zdołali zapobiec. Niestety, nie udało im się schwytać czyhających na nią łotrów, zawsze zdążyli zbiec.

Erling i Móri na zmianę wyprowadzali Nera na spacer bądź wyprawiali się do miasta załatwić rozmaite sprawy. Bali się też wypuszczać Catherine, samotna dama nie była na ulicy bezpieczna, choć Georg i jego kompan z kozią bródką nie na nią się zasadzali.

W dzień poprzedzający bal na zamku przyszła kolej, Móriego na wieczorną przechadzkę z Nerem.

Pies zaraz na schodach się zatrzymał, cicho powarkując. Zdenerwowany położył uszy po sobie i zaczął cichutko piszczeć, niepewny, czy ma iść dalej, czy też raczej zawrócić.

— Co się stało, piesku? — szepnął Móri.

Z oczu Nera biło przerażenie. Nigdy jeszcze tak się nie zachowywał, to było coś nowego.

W końcu Móri także wyczuł to, co pies: zapach spalenizny.

— Chodź — nakazał i prędko zbiegli po schodach.

Tuż przy drzwiach wejściowych płonęła kupa szmat, płomienie ledwie zdążyły ją objąć. Móri złapał węzełek i cisnął go na ulicę. Rozejrzał się w poszukiwaniu

podpalaczy — doskonale wiedział, czyja to sprawka — nikogo jednak nie zobaczył. Wrócił więc do pensjonatu i opowiedział właścicielowi o tym, co zaszło. Zrobiło się zamieszanie, końca nie było podziękowaniom dla Móriego za jego błyskawiczną reakcję.

— Tak, tak, wielu łotrów włóczy się teraz po ulicach — pokiwał głową właściciel. — Cały czas trzeba mieć się na baczności.

Móri przyznał mu rację, nie wspomniał jednak ani słowem o swoich podejrzeniach. Prosił tylko, by przez całą noc trzymano straż, bo szaleniec może po raz drugi próbować puścić z dymem pensjonat. Wstrząśnięty właściciel przyrzekł, że tego dopilnuje.

Wreszcie Móri mógł pójść z Nerem na wieczorny spacer.

Upowiedział przyjaciół, że ma zamiar wybrać się na dłuższą przechadzkę, by nie martwili się ich nieobecnością.

Wiał dość silny wiatr, siąpił deszcz. Móri skierował się ku brzegom fiordu po drugiej stronie Viken. Odszedł daleko, chcąc mieć pewność, że będzie całkiem sam, w końcu wdrapał się na wysokie urwisko. W oddali migotały światła spowitego zasłoną deszczu miasta. Móriego otaczała ciemność, tylko wody fiordu połyskiwały od czasu do czasu i piana na grzbietach fal majaczyła szarym cieniem w mroku.

W oddali na horyzoncie raczej przeczuwał niż dostrzegał ostatnie pożegnanie odchodzącego dnia.

Fale z hukiem rozbijały się o nadbrzeżne głazy. Móri wyciągnął ręce w górę i zawołał:

— Słuchajcie mnie, duchy otchłani, które od dawna mi towarzyszycie! Ja, Móri z rodu islandzkich czarnoksiężników, wzywam was!

Opuścił ramiona i czekał. Zapadła niezwykła cisza.

Z początku wydawało się, że to tylko powiew wiatru zabłąkał się, zaczepił o okaleczone drzewo i bezradny wyśpiewywał swoją skargę.

Potem świst przemienił się w narastający szum, aż wreszcie przeszedł w huk, jakby niebiosy zesłały huragan, szalejący wokół Móriego. Islandczyk wiedział, że Nero jest gdzieś w pobliżu, sądził jednak, że pies nie zauważa niezwykłych zjawisk. Wicher nie był bowiem żywiołem przyrody, nadciągnął z innego świata.

Ze świata znienawidzonego przez Móriego, z którym jednak musiał żyć. Ze świata, którego bliskość Tiril czasami wyczuwała, patrząc Móriemu głęboko w oczy.

Nagle niebo i ziemia otworzyły się przed nim, osunął się w przepaść, wisiał w powietrzu, a wokół rozlegało się wycie i drwiący, przeraźliwy śmiech.

Granatowoczarny mrok... Jak dobrze go znał! Wszystko, co się w nim poruszało, przemykało obok niego niczym jaśniejsze cienie i znikało, kolejne warstwy

zmarłych, z biegiem stuleci zapadające się coraz głębiej w ziemię. Słyszał ich pieśń, mroczne, mamroczące głosy przysuwające się do niego, by zaraz znów się oddalić.

Nie zbliżaj się do siedzib Śmierci, człowieku, usłyszał szept we własnej głowie. Ale on już to raz uczynił. O ten raz za dużo. Kiedyś, w starym kościele w Holar, na północy Islandii. Czyn, którego miał żałować przez całe życie.

Wszystko wokół niego się zmieniało. Nie wiedział już, gdzie się znajduje, lecz wir ciągnął go w dół, nieustannie w dół. . .

Wciąż coś się działo. Pojawiały się jakieś chmury, lecz Móri nie był w stanie stwierdzić, w jakim wymiarze się znajduje, bo jednocześnie nie opuszczało go wrażenie, że wciąż przebywa w głębokiej grocie Śmierci.

Widział obłoki niebywalej, wielkości, wznosiły się niczym buroszkarłatne twierdze, które kruszały i obracały się w ruinę na jego oczach. Wybuchaly i opadały bastiony płomieni, krwistoczerwone wieże otoczone fosami lśniącego bursztynu rozsypywały się, odsłaniając postrzępione szczeliny z opalu. Wyłoniła się z nich błękitnawa czern i znów zwyciężyła kraina cieni.

Wszystko odbywało się błyskawicznie, lecz Móriemu, każda chwila zdała się rokiem. Zakrył oczy dłońmi, na wpół jęcząc, na wpół szlochając, lecz nie potrafił osłonić się przed czymś, co tkwiło w nim samym.

Ostry przeraźliwy krzyk wdarł mu się w uszy, wydawało się, że nigdy nie przebrzmi. W oszalałym pędzie przed oczami przesuwały się obrazy: biskupi w kościele w Holar, Mag Loftur odmawiający zaklęcia z kazalnicy, młodzieńki chłopak, który potknął się o sznur od dzwonu. Móri przeżywał bezsilną rozpacz diakona z Myrka wywołaną koniecznością opuszczenia ukochanej, desperacką próbę wciągnięcia jej do grobu. . .

— Nie, nie — szeptał Móri, lecz na nic nie zdały się jego błagania.

Nagła głęboka cisza była niczym uderzenie w twarz. Okazało się jednak, że nie jest całkiem bezdźwięczna. Rozbrzmiewał w niej głuchy huk, tak silny, że ziemia pod stopami Móriego zatrzęsała się w posadach.

Dotarłem na miejsce, pomyślał. Osiągnąłem swój cel. I jestem bliski szaleństwa ze strachu! Nie powinienem się bać. Ale lękam się odpowiedzi, jaką usłyszę.

Kilkakrotnie głęboko odetchnął, głęboki ton rozpląnął się w powietrzu, znów zapanowała cisza wieczności. Móri czekał.

Nie trwało to długo.

— Najwyższy czas — rozległ się obok czyjś sarkastyczny głos.

Zorientował się, że pasmo łądu dzielące go od morza zaludniło się, jeśli w ogóle można użyć takiego określenia.

Dostrzegł wysoką postać Nauczyciela, to on przemówił. Wyczuł obecność Zwierzęcia i Nidhogga, a także pięknych pań, Powietrza i Wody. Duchów było

jeszcze więcej. Najprawdopodobniej znalazła się tu kobieta — jego opiekunka, dla której z pewnością nie okazał się łatwym podopiecznym, i ten, który mógł być jego ojcem, Hraundrangi-Móri. Pustka? Nie potrafił stwierdzić, czy jest obecna, bowiem nagle powrócił świst wichru i huk fal bijących o brzeg, hałas uniemożliwił skupienie się na świecie wyobraźni. Tak, pojawił się jeszcze ktoś, jego dawny przewodnik, Duch Zgasłych Nadziei, ten, który kiedyś był taki piękny, a potem przybrał straszliwą postać, bo ludzie niszczyli więcej niż tworzyli, wszystko, co jasne, stało się ciemne, przyszłość zmieniła się w bolesną, splamioną krwią przeszłość.

Milczący towarzysze nie pragnęli dodać mu otuchy.

Właściwie widział ich zawsze, przynajmniej jako cienie. Teraz jednak w pełni się zmaterializowali, prawdopodobnie mogli ich dotknąć. Po raz pierwszy wezwał ich z własnej nieprzymuszonej woli i, prawdę mówiąc, bał się.

— Dlaczego wcześniej nie szukałeś naszej pomocy? — spytał Nauczyciel, hiszpański czarnoksiężnik o wielkiej, ciężkiej głowie. — Jesteśmy wszak po to, by ci pomagać. Niestety towarzyszyliśmy ci na próżno. Tylko twoja młoda przyjaciółka miała dość rozumu, by raz poprosić nas o pomoc.

Jego młoda przyjaciółka. Tiril! Na jej wspomnienie cieplej mu się zrobiło na sercu.

— I tak kilkakrotnie mnie wspomogliście — rzekł Móri dość nieśmiało. — Winien wam za to jestem ogromną wdzięczność. Ale tym razem chodzi właśnie o Tiril.

— Wiemy. Pożadasz jej.

Móri poczuł, że się rumieni.

— Nie tylko — odparł dość ostro. — Pragnę, by zawsze była u mego boku, aby została moją żoną. Czy to możliwe? Czy nie grozi jej niebezpieczeństwo?

— Dlaczego miałyby to być niemożliwe? — niewinnie spytał Nauczyciel.

— Wszyscy wiecie to równie dobrze jak ja — stwierdził Móri odrobinę zniecierpliwiony. — Doskonale zdajecie sobie sprawę, jak trudne są moje noce: wciąż wędruję przez bezdenne otchłanie w poszukiwaniu tego, czego nigdy nie zdołałem odnaleźć: „Rödskinn”. Moją karą są sny, w których odzywa się dawne pragnienie zdobycia wiedzy, nie dla mnie przeznaczonej. Wprawdzie porzuciłem już wszelkie marzenia z tym związane, lecz moje sny wciąż nie potrafią się oderwać od tego, czego człowiek nie powinien poszukiwać.

— Masz rację — przyznał Duch Utraconych Nadziei.

— To obszary zła — podjął Móri. — Tiril czasami dostrzega je w moich oczach, widzi mroczne otchłanie, bladoniebieskie welony mgły, bezdenne przepaści i nieskończoną pustkę. Przeraza ją to, co widzi. Nie chcę, by tego doświadczyła.

— Tiril pójdzie za tobą wszędzie, dobrze o tym wiesz — stwierdził Nidhogg.

— Owszem. Ale nie chcę, by cierpiała.

Coś otarło się o jego kolana. Poczł odór bijący z rozjątrzonych ran Zwierzęcia, ale wziął tę bliskość za dobry znak.

— Masz rację — rzekł Nauczyciel jakby w odpowiedzi na jego myśli. — Zwierzę jest wobec ciebie przyjaźnie nastawione. Twoje łzy owej nocy, gdy spotkałeś je po raz pierwszy, wyleczyły część bolących ran. A współczucie Tiril jeszcze bardziej w tym pomogło. Lepszej dziewczyny nie mógłbyś sobie wybrać.

— Dziękuję za te słowa! Ale co mam robić? Nie chcę pociągnąć jej za sobą do krainy zimnych cieni. Nie chcę patrzeć na jej cierpienia.

— O, nie będzie tak źle — beztrósko oświadczył Nauczyciel. — Ona nigdy nie zagłąda za błękitnawe welony, które tak wiele kryją.

Móri nie mógł uwierzyć własnym uszom.

— To znaczy, że radzicie mi, abym uczynił ją moją?

— A dlaczego nie? Tego akurat nie ma się co bać.

Móri powinien być bardziej wyczulony na niuanse. Niestety, wiatr poniósł w dal głos czarnoksiężnika, a Móriemu serce waliło zbyt mocno, by mógł dosłyszeć nutkę drwiny.

Widział teraz wyraźniej. Miał wrażenie, że któremuś z przybyszów towarzyszy blask i że ich grupka stoi na smaganym wichrem cyplu w świetle, którego źródła na próżno by szukać.

Przenosił wzrok z jednego na drugiego, u każdego szukając przyzwolenia. W oczach Nauczyciela czał się szelmowski uśmieszek, potworna twarz Ducha Zgasłych Nadziej nie wyrażała nic. W oczach Nidhogga wyczytywał mądrość i znajomość tajemnej wiedzy. Zwierzę ocierało się o jego nogi, a panie Woda i Powietrze spoglądały nań przyjaźnie. Tylko jego duchy opiekuńcze, kobieta o jasnych włosach i jego ojciec, odwrócili wzrok. Nie wiedział, jak ma to rozumieć, ale poczuł w sercu ukłucie żalu.

Teraz wyczuł także obecność Pustki, ale jakiej odpowiedzi mógł się spodziewać od niej? Żadnej!

Zwrócił się z prośbą do rośłego, przystojnego Hraundrangi-Móriego:

— Ojciec... Bo jesteś mym ojcem, panie, prawda?

— Tak, synu.

— Poradz mi więc! Co przede mną skrywacie?

Duch czarnoksiężnika z Islandii westchnął, a fale jakby mocniej uderzyły o brzeg.

— Tiril jest jedyną kobietą, którą pragnąłbym mieć za synową, jest odpowiednią żoną dla ciebie. Ale to musi być twoja decyzja, nie nasza.

— I nic jej się nie stanie?

— Nie. Po pierwsze, twój świat cieni nie jest dla niej nieznośnym krzykiem bólu jak dla ciebie, a po drugie cieszy ją możliwość towarzyszenia ci i wspierania w nocnych wędrówkach przez mroczne doliny i łąki Śmierci.

— To znaczy, że mam wasze błogosławieństwo? Hraundrangi-Móri milczał, jego syn czekał z niecierpliwością.

— Masz nasze błogosławieństwo — rzekł wreszcie ojciec. — Ale mimo to się zastanów.

— Nie widzę już innych przeszkód — odetchnął Móri z ulgą. — Dziękuję! Dziękuję wam wszystkim!

— Nie ma za co — odpowiedział Nauczyciel. — A w przyszłości wzywaj nas częściej. Nudzimy się, gdy nie zlecasz nam interesujących zadań.

Móri z drzeniem wspominał wydarzenia, jakie rozegrały się na statku, wiozącym ich z Islandii. Niewidzialni towarzysze wyrzucili za burtę dwóch jego prześladowców. A później zepchnęli porywaczy Tiril ze wzgórza.

— Będę o tym pamiętać — obiecał uroczyście.

— Możesz uważać się za szczęśliwca, ponieważ znalazłeś Tiril — uśmiechnęła się jedna z pięknych kobiet.

— Cieszę się tym codziennie. Dlatego wasze słowa sprawiły mi tak wielką radość. Jeszcze raz dziękuję!

— Ale strzeżcie się znaku! — rzucił ktoś na poły poważnie, na poły ze śmiechem.

— Znaku? — powtórzył Móri pytająco, lecz nie doczekał się odpowiedzi.

Światło przygasło, zapadła ciemność. Po wysokim, urwistym brzegu hulał wiatr.

Jego powiewy uderzały z góry i okrążały młodego czarnoksiężnika niczym nurkujące w powietrzu ptaki.

A potem Móri wyczuł raczej niż spostrzegł, że jest całkiem sam.

Wrażenie pustki stało się niezwykle dotkliwe. Nagle przypomniał sobie o Nero. Całkiem wyleciało mu z pamięci, że przyszedł tu z psem.

— Nero?

Rozległo się miękkie człapanie po trawie.

— Jesteś, stary przyjacielu — ciepło powitał go Móri. — Gdzie się podziewałeś?

Domyślał się: jego towarzysze oszołomili psa, być może pograżyli go we śnie na czas rozmowy.

— Chodź, wracamy do domu! Mamy dobre wieści dla tej, którą obaj kochamy.

Nero wyraźnie się ucieszył. W jesiennym mroku powędrowali do miasta. Spotkanie udało się ponad wszelkie oczekiwania. Dlaczego więc Móri nie mógł pozbyć się ukłucia niepokoju?

Rozdział 3

Móri wybrał się na ową bardzo szczególną wieczorną przechadzkę z Nerem, a tymczasem w pensjonacie nie ustawały dyskusje.

W ostatnich dniach przed balem Catherine służyła im wielką pomocą, starając się dobrać strój i fryzurę dla Tiril.

Erling, zabierając rzeczy dziewczyny z jej dawnego domu w Bergen, wziął też odświętną suknię należącą do Carli. Teraz wspólnie z Catherine usiłował nakłonić Tiril, by włożyła ją na bal, lecz, niestety, nie było to wcale najłatwiejsze.

Tiril gwałtownie się wzbraniała. Wciąż powtarzała to, co mówiła już tyle razy wcześniej: nie chce brukać pamięci Carli nosząc jej najlepszą suknię, to po prostu niemożliwe.

— Czego byś więc chciała? — spytał w końcu zirytowany Erling. — Żebyśmy ją komuś oddali? Albo spalili? A może wyrzucili na śmietnik lub schowali do skrzyni, żeby tam gniła?

Tiril wreszcie ustąpiła. Przyznała, że jest pierwszą osobą, która powinna przyjąć suknię Carli.

— Będę ją nosić z godnością — oświadczyła grubym od łez głosem. — Jeśli okaże się na mnie dobra.

Suknia pasowała jak ulał. Tiril nie mogła tego pojąć, Carla była wszak delikatna niby aniołek i smukła, natomiast ona... No cóż, raczej kwadratowa.

Ale z upływem lat jej sylwetka bardzo się zmieniła, jedynie ona sama nie potrafiła tego dostrzec. No, suknia może trochę cisnęła w biuście, ale kto by się przejmował takim drobiazgiem.

Suknia była zjawiskowa, idealna jako strój na dworski bal. Carli, ukochanemu dziecku, nie skąpiono niczego.

Jasnoniebieska, odpowiednia do niewinnych, błękitnych oczu Carli. Ale Tiril także miała niebieskie oczy, choć o nieco ciemniejszym odcieniu i z brązowymi plamkami. Kolor sukni podkreślał właśnie ich błękit, nadając im bardziej intensywny odcień. Jasnoniebieski jedwab przeświecał przez morze białych koronek, całość wyglądała jak z porcelany. Włosy Tiril z latami ściemniały i ładnie kontrastowały z bladością stroju.

Catherine dokonała prawdziwego cudu z fryzurą Tiril, odporne kosmyki poddały się wreszcie wysiłkom szczypiec do karbowania i Tiril nagle stała się całkiem inną osobą. Nigdy jeszcze tak głęboko nie odsłaniała dekoltu i teraz dopiero zobaczyli, jak piękną, złotobrazową ma skórę.

Właśnie wtedy Móri wrócił ze spaceru.

— No i co wy na to? — spytała Catherine z dumą w głosie.

Mężczyźni nie potrafili znaleźć słów. Móri przełknął ślinę, ale powiedzieć nic nie zdołał.

— Podziwiajcie z umiarem! — ostrzegła Catherine. — Ona nie może mnie przyćmić!

Po jej głosie poznali jednak, że naprawdę nie bierze pod uwagę takiego niebezpieczeństwa.

Erling doszedł do siebie.

— Naszyjnik z szafirów — oświadczył zdecydowanie. — Będzie doskonale pasował.

— Nie! — Catherine i Móri zaprotestowali jednogłośnie, aczkolwiek z całkiem różnych powodów. Móri nie chciał narażać matki Tiril na wstrząs, a Catherine sama miała ochotę na klejnot.

Baronówna była w najlepszej formie. Ubrała się w granatową suknię — Móri był pewien, że wybrała kolor z myślą o szafirach — i nikt nie umiał poruszać się z takim wdziękiem jak ona.

Tiril nigdy szczególnie nie troszczyła się o stroje. Tym razem jednak zależało jej, by zrobić dobre wrażenie — na ludziach, których przyjdzie jej spotkać na balu, na Erlingu, przykładającym wielką wagę do zewnętrznego wyglądu, na Catherine, z powodów nie do końca szlachetnych, lecz przede wszystkim Tiril chciała być piękna dla Móriego. W ostatnich dniach miało to dla niej ogromne znaczenie. Móri przejawiał zniecierpliwienie, zapał i... czyżby się z czegoś cieszył? Jakby chciał jej coś powiedzieć, lecz nie mógł, bo wciąż ktoś im przeszkadzał?

Tym razem także nie udało im się zostać samym, bo Catherine krzątała się po pokoju, a w końcu kazała Tiril położyć się do łóżka. „Nie, Móri, dziś wieczorem nie będzie żadnych rozmów z naszą księżniczką, ona musi się wyspać! Idź już do siebie, nie denerwuj jej, jutro musi pięknie wyglądać”.

Móri westchnął, lecz pogodził się z tym, że został wypędzony. Tiril nie mogła oprzeć się wrażeniu, że bez względu na to, o czym miał zamiar z nią rozmawiać, postanowił odłożyć to na po balu.

Ciekawość nie dawała jej spokoju.

Tiril, znużona długotrwałą izolacją, zaintrygowana, co też Móri zamierza, zbuntowała się. Wprawdzie był to wieczór poprzedzający bal, lecz wszystko mieli przygotowane. Dziewczyna uznała, że pora wyrwać się z więzienia.

Kiedy przyjaciele położyli się już spać, gestem dała znak zawsze czujnemu Nerowi. Pies natychmiast się poderwał i bezszelestnie podeszli do drzwi. Cathe-

rine, dzieląca z nią sypialnię, nic nie słyszała, kiedy Tiril przekreślała klucz. Na korytarzu skierowali się do pokoju Móriego.

Do diaska, dobiegał stamtąd głos Erlinga! Panowie najwidoczniej omawiali ostatnie szczegóły dotyczące balu.

No cóż, nic się na to nie poradzi. Skoro Tiril nareszcie udało się wyrwać na wolność, Nerowi nie zaszkodzi dodatkowa przechadzka. Bez przeszkód dotarli na dół, zatrzeszczało tylko kilka stopni, ale nikt niczego nie usłyszał.

Do sforsowania pozostawało jeszcze główne wejście, trudniejsza sprawa, bo w zamku nie było klucza.

Tiril wyciągnęła się na palcach, by sprawdzić, czy klucz przypadkiem nie leży na framudze, i przy tej okazji zerknęła przez wąskie, zakurzone okienko, umieszczone w górnej części drzwi.

Wystraszyła się nie na żarty.

Zza szyby spoglądały na nią złe oczy mężczyzny, który zorientowawszy się, że został odkryty, natychmiast się schylił, znikając jej z pola widzenia.

To był Georg. Prawdopodobnie usłyszał, jak Tiril mocuje się z zamkiem, i zajrzał do środka. Nie podejrzewał, że dziewczyna wyciągnie się aż tak wysoko.

— Chodź — szepnęła do Nera i pospiesznie zawrócili na górę.

Przez nikogo nie zauważeni dotarli do pokoju. Tiril, już leżąc w łóżku, pomyślała z wdzięcznością: Dziękuję wam, wierni przyjaciele, za to, że trzymacie mnie w ukryciu!

Dwaj nieznanymi, ośmielający się podjąć takie ryzyko, musieli być naprawdę zdesperowani.

Czego oni ode mnie chcą? — zastanawiała się ze smutkiem. Co ja zrobiłam?

Znała jednak odpowiedź. Już sam fakt, że istniała, był im cierniem w oku.

Wiedziała, że Erling poczynił wiele starań, by dowiedzieć się, kim są Georg i mężczyzna z kosią bródką. Jak dotąd jednak pozostawali oni całkowicie anonimowi.

Wielu ludzi ich widziało, lecz nikt, absolutnie nikt ich nie znał. Erling zwrócił się z prośbą o pomoc nawet do ludzi wójta, niestety, bez rezultatu. Wyjaśnił, że złoczyńcy winni są co najmniej trzech morderstw — na małżonkach Dahl i lichwiarzu. Przedstawiciele władz wrzuszili tylko ramionami, twierdząc, że to sprawa Bergen, nie Christianii.

Ale przecież teraz zabójcy znajdują się właśnie tutaj!

Niestety, dość mają pracy z miejscowymi przestępcami, oświadczyli ludzie wójta.

Erling nie mógł oprzeć się przykremu wrażeniu, że cała sprawa została z góry ukartowana, ale, rzecz jasna, podpowiadał mu to gniew.

Nadszedł wreszcie dzień balu.

Stolicę już wcześniej ogarnęła gorączka. Przybyli znakomici goście, odbywały się przyjęcia ku czci, powiewały flagi, wszędzie wyczuwało się odświętną atmosferę. Połowa pospółstwa chodziła oglądać wielmożów, drugą połowę nic a nic nie obchodziło to, co się dzieje w mieście.

Catherine z trudem panowała nad podnieceniem. Uczyniła, co mogła, by wyglądać jak najwytworniej, i prezentowała się zaiste wspaniale. Zarówno ona, jak i Erling godni byli miana szlachciców najbliższej krwi.

Inaczej natomiast było z Tiril i Móriem. Tiril krążyła po pokoju, w którym zebrali się wszyscy czworo, jak lew po klatce. Na przemian otwierała i zaciskała spoczone dłonie. Tego wieczoru ogarnął ją większy strach niż podczas spotkania z niewidzialnymi towarzyszami Móriego czy w Tiersteingram.

Erling chętnie pożyczył Móriemu swój prawie najlepszy strój. Dbały o wygląd potomek Hanzeatów zabrał z Bergen aż trzy komplety. Jeden zniszczył się w czasie podróży, a dwa pozostałe były teraz jednocześnie wykorzystane. Sam Erling miał na sobie odpowiadający wymogom najnowszej mody brokatowy kaftan z długimi połami, spodnie do kolan, białe pończochy i czarne trzewiki ozdobione srebrnymi zapinkami. Fioletowy kaftan i kamizela wykończone były koronkami: pod szyją, przy rękawach i wszędzie tam, gdzie znalazło się na nie miejsce.

Móri natomiast, w mniej modnym stroju, prezentował się, zdaniem Tiril, bardziej męsko. Czarnoksiężnik włożył białą koszulę z szerokim kołnierzem, kamizelkę ze skóry łosia, zielone spodnie i krótkie miękkie buty. Tiril nigdy jeszcze nie widziała, by wyglądał równie pięknie. Nad jego czarnymi kędziorami nikt nie zdołał, zapanować, tak jak przedtem opadały na ramiona i na czoło, niemal całkiem zasłaniając oczy. Może i lepiej, niemniej jednak nie zdołał ukryć, kim naprawdę jest, istotą, która przysła na świat obdarzona iskrą magii, człowiekiem poruszającym się po zakazanych sferach, wędrującym przez krainę zimnych cieni.

Tiril nagle jeszcze mocniej poczuła, jak bardzo go kocha, nie za jego niezmierną urodę, lecz z powodu tragicznych wymiarów jego życia, krzyczącej głucho samotności i owych przerażających obszarów duszy, do których nie mogła dotrzeć. Dostrzegła je w jego oczach, kiedy zbliżyli się do siebie bardziej, niż tego chcieli. Nie mogła wtedy powstrzymać łez.

Ale kochała go przede wszystkim bez powodu. Nikt wszak nie wie, dlaczego obdarza uczuciem konkretnego człowieka. Miłość nie potrzebuje wyjaśnień, ona po prostu się rodzi.

— Jesteśmy gotowi? — spytał Erling, który jak zawsze objął przywództwo. Móri posiadał autorytet równie silny jak on, lecz rzadko się nim posługiwał. Wolał raczej trzymać się z tyłu.

Tiril dużo czasu poświęciła na pożegnanie z Nerem.

— Nero, pilnuj domu, pilnuj pokoju. Pilnuj ubrania Tiril. I tego. Masz, Nero, połóż się na moim swetrze, będziesz wiedział, że na pewno wrócimy. Wygodnie ci teraz?

— Tiril, doprawdy. . . — zaczęła Catherine, lecz Móri uciszył ją gestem. Podszedł do psa, z którego szeroko otwartych oczu biła rozpacz. Widać było, że Nero niczego nie rozumie, uszy zwiesił, a pysk wykrzywił jakby do płaczu. Całym sobą zdawał się pytać: „Zostawiacie mnie? A kto was będzie strzegł? Co złego zrobiłem, że tak mnie traktujecie?”

Móri przykucnął i ujął go za łeb. Nero siedział spokojny, prosty jak świeca. Usłyszeli, że czarnoksiężnik długo coś do niego szepcze, a w końcu pies wczuł się na sweter Tiril. Rozluźnił się nieco, z głębokim westchnieniem położył łeb na łapach, ale nawet na chwilę nie spuścił z nich oczu.

— Dziewczęta, naciągnijcie już kaptury — rozkazał Erling.

— Ależ zniszczy mi się fryzura! — zaprotestowała Catherine.

— Zrozumieli jej kłopot. Catherine ufryzowała włosy tworząc z nich wysoką, skomplikowaną konstrukcję, która, przypudrowana na biało, wyglądała na bardzo wyrafinowaną.

— No cóż, wobec tego przynajmniej Tiril powinna się zasłonić — stwierdził Erling. — Tiril, ty musisz się ukrywać!

— Sądzisz, że oni nie znają już całej naszej czwórki? — spytał Móri, bo i Tiril miała specjalną fryzurę, choć zachowała własny kolor włosów.

Dlaczego to robię? — myślała dziewczyna. Dlatego, że chcę spotkać matkę? Udręka!

Stanoło więc na tym, że dziewczęta poszły z gołymi głowami. Starali się tylko jak mogli osłaniać Tiril, kiedy wychodzili do zamówionego uprzednio powozu. Catherine nalegała, by przybyć na Akershus odpowiednio wytwornie, nie piechotą niczym banda żebraków.

Na ulicy nie było widać ani Georga, ani człowieka z kozią bródką, stał tam tylko powóz, do którego zaprzężono dwa wyczesane do połysku konie, i stary woźnica w filcowym kapeluszu.

— Co to ma znaczyć? — mruknął Erling. — Przestali się już starać?

— Może zrezygnowali — powiedziała Tiril z nadzieją.

— To raczej tylko pobożne życzenie z twojej strony.

Panowie pomogli dziewczętom wsiąść do powozu i Erling zastukał w dach, dając woźnicy znak, by ruszał. A więc zaczęło się, pomyślała Tiril. Najtrudniejsze chwile mego życia. A jeśli nie odnajdę matki na zamku? Mogła wszak umrzeć już dawno temu lub z jakichś powodów nie przyjechać do Christianii. Albo, jeśli tam będzie. . . Może mnie odepchnie? Odwróci się, nie przyzna do mnie, nie będzie chciała mnie znać?

A jeśli jej się nie spodobam?

Poczuła uścisk dłoni Móriego. On zawsze ją rozumiał. Móri wydawał się jakiś dziwny, odmieniony. Oczy mu płonęły. . . tak, płonęły szczęściem, jakby pragnął jej coś powiedzieć i nie mógł się już tego doczekać. Tak samo jak poprzedniego wieczora!

Cóż, na miłość boską, miał jej do powiedzenia, o czym by jeszcze nie wiedziała?

— Pamiętaj, Catherine — rzekł Erling surowo, ściągając swymi słowami Tiril z powrotem na ziemię, a raczej do powozu. Musiała oderwać się od myśli i od oczu Móriego, które tak często pociągały ją w obce obszary. — Catherine, posłuchaj mnie przez chwilę i przestań się wreszcie wpatrywać w lusterko, wyglądasz naprawdę uroczo! Nie wolno ci podjąć żadnych nie przemyślanych kroków, na balu będziesz odgrywać rolę ozdobnika, swoje już zrobiłaś. Wprowadzenie nas na zamek to doprawdy wielkie osiągnięcie. Pozwól, że my zatroszczymy się o resztę.

— Brakuje mi czegoś na szyi, czuję się, jakbym była naga.

— Twoje perły doskonale pasują na tę okazję. O naszyjniku z szafirów zapomnij!

Obrażona wydeła usta.

— Które z was ma go przy sobie?

— Tego się nie dowiesz. Posłużymy się nim tylko w razie konieczności.

— Nie ufacie mi. — Catherine podniosła swe niewinne, błękitne oczy.

— Nie — krótko odrzekł Erling. — Ale i tak cię kocham.

Stopniała i posłała mu promienny uśmiech.

— Bardzo szybko jedziemy — zauważyła Tiril.

Catherine wyjrzała przez okno powozu.

— A cóż to, na miłość boską, za droga? Ona nie prowadzi do Akershus. Przeciwnie!

Konie gnały przed siebie jak podcinane batem. Catherine jęknęła: — Woźnica!

Rozdział 4

Erling zastukał w dach, ale z takim jedynie rezultatem, że tempo jazdy jeszcze wzrosło.

— Przecież woźnica miał długą siwą brodę — naiwnie zauważyła Tiril.

— Z pewnością była sztuczna — odparł Móri. — Poza tym nic nam nie wiadomo, czy Georg i jego kompan nie znaleźli sobie pomocników.

Powóz gwałtownie przechylił się na bok. Zostawili już za sobą ulice miasta, kierowali się teraz w stronę lasu przez duże, nierówne pole.

— Co zrobimy? — pytała Tiril. — Wskoczymy w biegu?

— Za szybko jedziemy — stwierdził Erling.

— Spóźnimy się — denerwowała się Catherine. — Po przybyciu pary królewskiej nikt nie dostanie się do środka.

Móri popatrzył na Erlinga.

— W lesie może czaić się więcej zbirów.

— Tak. Musimy natychmiast zatrzymać ekwipaż.

— Pozostaje nam więc jedno.

Erling kiwnął głową, po czym wyjął pistolet i naładował. Tiril zacisnęła powieki i zatkała palcami uszy.

Huk wystrzału wstrząsnął powozem. Tiril tego nie widziała, lecz Erling strzelił w dach.

Trafił. Przez okienko zobaczyli, jak ciężkie ciało osuwa się na ziemię.

Teraz do akcji wkroczył Móri. Otworzył drzwiczki powozu i podciągnął się w górę, złapał lejce i wreszcie zdołał powstrzymać szaleńczy pęd koni.

Zawrócił powóz w stronę miasta.

Kiedy mijali ciało woźnicy, Erling wychylił się na moment i zaraz cofnął.

— To był Georg, spadł mu kapelusz, a broda się oderwała. Nie żyje.

— Niech Bóg się zmiłuje nad jego duszą — szepnęła Tiril.

— A to dlaczego? — obruszyła się Catherine. — Dość nam przysporzył kłopotów.

— Nikt nie zna jego motywów — stwierdziła Tiril.

— Przecież nigdy nie chcieli z nami rozmawiać. Może byśmy coś zrozumieli? Doszli do porozumienia?

Erling pobladał. Catherine i Tiril pocieszały go jak umiały, nie był wszak z natury mordercą, zabijającym z zimną krwią.

Catherine wyraźnie coś gryzła. Nękana pytaniami wyznała wreszcie:

— Jeszcze nie wymyśliłam, jak mam przedstawić Tiril. Z tobą, Erlingu, nie będzie kłopotu. „Mój narzeczony, Erling von Müller”. Z Mórim też powinno pójść gładko: „Mój nadworny medyk, słynny doktor Móri z Islandii, ze względu na zły stan mego zdrowia musi mi zawsze towarzyszyć”.

Catherine nie wyglądała wcale na osobę cierpiącą!

— Z Tiril natomiast sprawa przedstawia się nieco gorzej. Zaanonsowałam cię jako swoją przyjaciółkę, hrabiankę, i jak na razie wszystko jest w porządku. Ale ci arystokraci, z którymi się spotkamy, na pamięć znają drzewa genealogiczne wszystkich książęcych rodów. Nie mogę dopuścić do żadnego potknięcia. No nic, na pewno coś wymyślę.

Najwyższy czas, pomyślała zatroskana Tiril. Boże, dlaczego ja to robię?

Przybyli na zamek w czas i weszli do środka obrzuceni badawczym spojrzeniem lokajów. Tiril została przedstawiona jako „hrabianka van der Dalen”, brzmiącym bardziej z flamandzka odpowiednikiem nazwiska Dahl. Catherine liczyła, że o flamandzkiej szlachcie nie wiadano w Norwegii zbyt wiele, mniej się bowiem z nią liczone.

Doprawdy już to, że zdołała zdobyć zaproszenia dla całej czwórki, graniczyło z cudem. Ona, Catherine, rzeczywiście pochodziła z baronowskiego rodu, pozostałych jednak nie dało się zaliczyć do arystokracji. Móri podejrzewał, że zapłaciła komuś za tę przysługę w naturze, lecz głośno nic nie mówił.

Lokaje zachowywali się wzorowo, czyli z lodowatym chłodem. Arystokratycznie zblazowani unosili w górę jedną brew na znak, jak dalece poniżej ich godności jest odbieranie okryć innych ludzi. Catherine widząc to prychnęła ze złością.

— Ciągłe to samo. Nikt tak nie zadziera nosa jak służba — oświadczyła. — Ale wystarczy, że otworzą usta, a już można się przekonać, co to za jedni.

Z początku wszyscy czworo tak jak pozostali goście stanęli pod ścianą, gawędząc w oczekiwaniu na parę królewską.

Wśród oparów środków przeciwmolowych i lawendy panowała uroczysta atmosfera, dopóki nie podano napojów, po których zewnętrzna fasada szybko opadła. Nie wszystko pachniało lawendą. Perfumy nie zdołały ukryć, że od wielu gości cuchnęło potem, brudną bielizną i innymi nieprzyjemnymi zapachami ciała. W sali unosił się gęsty, nieprzyjemny odór. Strach było myśleć, co tu się może dziać za kilka godzin.

Tiril zawstydzona musiała przyznać, że nie wie, kim są otaczający ją ludzie. Trudno śledzić losy arystokracji, kiedy się przebywa na odległym od lądu maleńkim szkierze, na bezdrożach Islandii czy też w leśnych ostępach Tiveden. Czowała się tu bardzo nieswojo, bezustannie obciągała suknię i starała trzymać jak najbliżej przyjaciół. Obecność Erlinga i Catherine dawała jej poczucie bezpieczeństwa. Móri natomiast trochę ją przerażał. Jego ciemne oczy omiatały salę, jakby szukając czegoś na twarzach zebranych.

Ostrzegawczo uścisnął Tiril za rękę.

— Tutaj też nie jesteś bezpieczna — szepnął. — I tu wyczuwam zagrożenie.

— Co masz na myśli?

— Przypuszczam, że człowiek z kozią bródką jest wśród gości. Tyle że nie nosi już brody. A bez niej trudno będzie go rozpoznać.

Tiril przysunęła się bliżej.

— Masz rację. Szukam tej samej kobiety co ty.

— Ale nie tylko za nią się rozglądasz? — Czy zauważyłeś jakąś, która mogłaby...

— Nie. A ty?

Jeszcze raz rozejrzała się po wytwornych apartamentach Christiana IV, powiodła wzrokiem po wspaniałych gobelinach, wypolerowanych do połysku meblach. Wszystko to przedstawiało się zaiste imponująco, lecz Tiril nie była w nastroju, by się zachwycić.

— Nie — odparła, przyjrzawszy się z uwagą odświętnie ubranym ludziom. — Chyba jej tu nie ma.

— Jeśli nasze domysły się potwierdzą, powinna przybyć wraz z parą królewską. Jest wszak księżną Holstein-Gottorp, wywodzi się z cesarskiego rodu Habsburgów. Nie wiemy tylko, którego z Holsteinów poślubiła. Te rody są tak ze sobą skoligacone, że prawie niemożliwe jest, zdaniem Catherine, stwierdzenie, kto jest z rodu Schleswig-Holstein, kto Holstein-Gottorp, a kto Holstein-Oldenburg.

— Jeśli moja matka w ogóle jeszcze żyje...

Móri nie zdążył odpowiedzieć, bo właśnie weszli dostojni goście.

Tiril, zaskoczona, o mały włos nie zapomniała wszystkiego, czego Catherine nauczyła ją o królewskim ukłonie. W pokoiku w pensjonacie ćwiczyli go z zapalem. Na szczęście Tiril zdołała opamiętać się na tyle, by przykucnąć wraz z innymi damami. Nie śmiała podnieść wzroku, przez to widziała jedynie dół olśniewających kreacji z jedwabiu, aksamitu i innych szlachetnych tkanin, na które zużyto tyle materiału, że jedna spódnica starczyłaby na odzianie mieszkańek całego kwartału w ubogiej portowej dzielnicy Bergen. Jedwabne pończochy panów lśniły bielą, a w srebrnych ozdobach przy trzewikach odbijało się światło. Niekiedy zasześcił tren, którego idący dalej starali się nie przydeptać.

Pierwszą osobą, jaka się pojawiła — zaraz za dwoma nadętymi lokajami, a może ochmistrzami — musiał być Jego Królewska Mość Frederik IV, ubrany

był bowiem w wytworną szatę z gronostajów. Wiele zwinnych zwierzątek musiało oddać na nią życie, teraz martwo zwisały wokół ciała króla. Jego Królewskiej Mości towarzyszyła królowa, druga żona, Anna Sofie Reventlow, której nie darzono szczególnym szacunkiem. Tiril zobaczyła tylko dolną krawędź jej obszernej sukni i spuchnięte stopy w za małych jedwabnych trzewiczkach.

Tiril dochodziły słuchy, że podobno Frederik IV to dobry król. Słuchał ludu i starał się mu pomagać. Świadczył o tym już sam fakt, że odwiedził Norwegię, odległą prowincję. Był jednak słabego zdrowia, cierpiał na chorobę płuc i okresowo na puchlinę wodną.

Catherine, stojąca z drugiej strony Tiril, najwyraźniej ośmieliła się patrzeć odważniej, bo w miarę jak wkraczali kolejni dostojni goście, szeptała:

— Hrabia Frederik Ahlefeld i jego wywodząca się z królewskiego rodu małżonka, nie pamiętam, jak się nazywa, bo to takie zero. Ulrik Christian Gyldenlove. Stary książę Pfalzu, elektor, ze swoją Wilhelminą Ernestyną z Oldenburgów, mój Boże, oboje jedną nogą są już na tamtym świecie, opóźniają całą procesję upiornych staruszków, nieopierzonych szlachciców i arystokratycznych idiotek. Namiestnik, czyli jeszcze jeden Gyldenlove, a może to tamten, który szedł pierwszy, mylą mi się, bo ulubionym zajęciem duńskich królów było płodzenie pozamałżeńskich dzieci i nadawanie im nazwiska Gyldenlove, mnożyli się jak chwasty. . .

Catherine mogła szeptać stosunkowo swobodnie, znajdowali się bowiem w sporej odległości od pochodu wielmożów, a i żaden z mniej dostojnych gości nie siedział im na plecach.

— Arcyksiążę Schleswig-Holstein, proszę, proszę! Tajny radca, widać sporo już wypił! Nos mu się świeci jak pochodnia. Tych dwojga prawie nie znam. Jakaś księżniczka szwedzka i jej mąż. Kochanek idzie z tyłu. Następnej pary nie znam. Tych też nie. I tych nie. Książę Emanuel von Anhalt ze swoją przekłętą napuszoną żoną. Jakieś królewskie dzieci, co one tutaj robią, dawno już powinny spać. O kolejnych nic nie potrafię powiedzieć. A to musi być klan Holstein-Gottorp. Honorowi goście, których próbuje się przekupić tym balem, mam nadzieję, że jego dalszy ciąg okaże się zabawniejszy niż początek.

Tiril nieśmiało podniosła wzrok, żeby przyjrzeć się przedstawicielom rodu von Gottorp. Niestety, minęli ją, nim zdołała się zorientować, kto jest wśród nich.

Głośno zatrzeszczały stawy w kolanach, gdy poddanym pozwolono wreszcie się podnieść. Dwie damy straciły przy tym równowagę i pociągnęły za sobą dałszy gości. Przewrócili się jak kostki domina.

— Nareszcie coś się zaczyna dziać — skomentowała Catherine.

Tiril, obserwująca zajście z rozbawieniem, ale nie bez współczucia, bo kilka osób znalazło się w przykłej sytuacji, spoważniała. Ciało przeszył jej nagle śmiertelny dreszcz strachu.

— Móri — szepnęła bezradnie. — Tak się boję!

— Wszystko będzie dobrze, Tiril — uspokajał ją.

— Tutaj coś jest.
— Rzeczywiście, ale na pewno dowiem się, co. Pamiętaj, że zawsze będę przy tobie.

— Dziękuję ci, przyjacielu, dziękuję za to, że jesteś!

— Tiril, muszę z tobą pomówić o czymś bardzo ważnym. Ale trzeba poczekać, aż bal się skończy.

— Po twoim głosie poznaję, że to coś przyjemnego.

— Mam nadzieję, że naprawdę tak uznasz.

Uśmiechnął się, lecz zdaniem Tiril jakby wymuszenie, niepewnie. A przecież Móri nigdy nie kojarzył jej się z niepewnością!

Powstało wielkie zamieszanie, kiedy wszyscy mieli się przemieścić do olbrzymiej sali jadalnej i odnaleźć swoje miejsca przy równie olbrzymim stole. Musieli przejść przez wąski korytarz. I właśnie tam Tiril poczuła, że ktoś przyciska się do jej pleców. Jednocześnie Móri mocno szarpnął ramieniem, mężczyzna z tyłu przewrócił się, z ręki wypadł mu sztylet. Pochwycił go natychmiast i zaraz zniknął w prącom do przodu tłumie.

— Nie róbcie hałasu w związku z tą sprawą — uprzedził Erling. — Teraz wiemy przynajmniej, jak on wygląda.

— Ja nie wiem — zaprotestowała wzburzona Tiril. — Nie zdążyłam mu się przyjrzeć.

— To był mężczyzna z kocią bródką, ale bez brody. Móri i ja dobrze cię pilnujemy, sama się mogłaś o tym przekonać.

— Ja także jestem psem obronnym — przypomniała Catherine. — Chartem najczystszej rasy.

— Charty nie są psami obronnymi — mruknął Erling. — Możesz być najwyżej śliczną, rozpieszczoną suczką. Mam nadzieję, że przy stole usiądziemy koło siebie.

Tak też się stało. Catherine próbowała usadowić się między Erlingiem a Mórim, oni jednak postanowili, że to miejsce zajmie Tiril. Baronówna burzyła się trochę, udobruchała się jednak zobaczywszy, że po prawej ręce będzie miała przystojnego kawalera. Jediną jego wadą okazał się bijący od niego zapach prymki. Żucie tytoniu, będącego, jak sądzono, odmianą prochu, było surowo zakazane wśród pospólstwa, w kręgach arystokratycznych natomiast uważano je za nadzwyczaj eleganckie.

Gdzie ona jest? — zastanawiała się Tiril. Ta, która mnie opuściła, ale inaczej postąpić nie mogła. O tym nie wolno mi zapominać. Ach, tak się boję. Nie chcę jej spotkać!

Jako mniej ważnym gościom przydzielono im miejsca z dala od pary królewskiej. Naprzeciwko Catherine siedziała dama, która ozdobiła włosy zwiędłymi już kwiatami. Dama musiała mieć bardzo krótki wzrok, bo od czasu do czasu kwiatki wpadały jej do talerza, a ona przeżuwała je w zamyśleniu, bez protestów.

Jeden z panów po przeciwnej stronie stołu konsekwentnie skrapiał zupą żabot z pianistej koronki. Innemu przekrzywiła się przypudrowana na biało peruka, przez co prawie nie słyszał na jedno ucho. Tiril wprost świerzbiły palce, by mu ją poprawić. Na piersi tłustego hrabiego wisiało tyle orderów, że rozlegał się nieprzyjemny, metaliczny szczeł za każdym razem, gdy ich właściciel pochylał się, chcąc trafić łyżką do talerza. Przeszkadzał mu w tym wielki brzuch.

Nos jego towarzyszki mocno zaczerwienił się od kataru. Zdaniem Tiril owa dama powinna była zostać w domu. Teraz bezustannie sięgała w głąb sporego dekoltu w poszukiwaniu chustki. W pewnej chwili koronkowa chusteczka najwidoczniej gdzieś jej się zapodziała, bo zdenerwowana dama wsunęła rękę głębiej pod suknię, najpierw z prawej, potem z lewej strony. . . Widząc zdumione spojrzenie swego kawalera, uznała za stosowne wyjaśnić: „Zdumiewające, jestem pewna, że wychodząc z domu miałam dwie”. Swym wyznaniem wprawiła mężczyznę w osłupienie, a Tiril musiała upuścić serwetkę na podłogę, by móc się po nią schylić i ukryć śmiech. . .

Pod stołem zobaczyła, jak jakaś kobieca dłoń uderza męską, spoczywającą na damskim kolanie, i inną, która zdążyła się już wsunąć pod spódnicę sąsiadki. Wcześniej się zaczyna, pomyślała zgorszona. Takie zachowanie było zupełnie nie w jej stylu.

Usiadła wyprostowana, a wtedy Erling zwrócił jej uwagę na pewnego mężczyznę siedzącego na ukos od nich. Rzuciła okiem we wskazanym kierunku. Nie było wątpliwości, rozpoznała swego prześladowcę, teraz z gładko ogoloną twarzą. Nie zerkał nawet w jej stronę, a mimo to wyczuwała bijącą odeń nienawiść. Uczta przestała być zabawna.

Rozdział 5

Jedzenie podczas uczyty było nadzwyczaj wyszukane. Najpierw podano całą masę przystawek, Tiril nie chciała pytać, z czego przyrządzono poszczególne dania. Bała się usłyszeć, że oto właśnie trzyma w ustach wróble języczki, gęsie wątróbki czy kawałki węgorza. Akurat pod tym względem była nieco przeczulona, nie chciała wiedzieć, z jakiego gatunku zwierzęcia przyrządzono potrawę. Owszem, jadała befsztyki i kotlety, lecz te określenia pozostawały dość anonimowe, gorzej było, gdy przychodziło do bardziej konkretnych nazw.

Piła natomiast wino, i to w ilości, do jakiej nie była przyzwyczajona. Mówiła coraz szybciej, słowa same wyrzywały jej się z ust, chichotała, aż w końcu Erling odsunął jej kieliszek.

— Musisz mieć dzisiaj jasną głowę — strofował ją.

— Ale przecież myślę trzeźwiej niż zwykle!

— No widzisz! — pokiwał głową z cierpką miną. — Właśnie takiego wrażenia powinnaś się wystrzegać.

Tiril na chwilę zapomniała, dlaczego się tu znalazła, cieszyła się, że usługują jej lokaje w strojach z butelkowozielonego aksamitu, przybranych koronkowymi żabotami i mankietami, napawała się blaskiem świec w kandelabrach, odbijającym się w szkle, aromatem wytwornych perfum, o ile nie mieszały się z brzydkimi zapachami, szumem podnieconych głosów, odświętnym wystrojem sali i panującą ogólną atmosferą radości. Od czasu do czasu musiała dyskretnie zerknąć na Catherine, sprawdzić, którego widelca, noża czy łyżki należy użyć. Uśmiechała się też do siedzącej naprzeciwko damy, tej z kwietnikiem na głowie. Nie mogły wprawdzie porozmawiać, niemniej jednak Tiril chciała okazać dobrą wolę.

Po jej lewej stronie siedział Móri. Niekiedy spotykały się ich spojrzenia i uśmiechy. Świadomość łączącego ich związku napełniała ciało dziewczyny słodkim bólem. Za nic w świecie nie chciała, by się o nim dowiedział, ale policzki jej płonęły. Móri tego wieczoru wyglądał tak pięknie, budził pożądanie. Nie tylko ona tak uważała, dama z naprzeciwka zafascynowana także słała mu spojrzenia.

Nagle Móri skupił na sobie całą uwagę Tiril. Siedział na pozór spokojnie, z rękami na kolanach, ale samymi palcami czynił niezwykle gesty, a wargi led-

wie widocznie formułowały słowa. I... tak, w dłoni trzymał drewnienko pokryte czarodziejskimi runami, nigdy dotychczas go nie widziała.

Móri, Móri, co ty robisz? — pytała niemo.

Mężczyzna bez koziej bródki z krzykiem poderwał się z krzesła. Raz po raz uderzał w talerz, naczynie pękło na kawałki, stłukły się stojące obok kieliszki. Natychmiast przybiegli lokaje i pochwycili szaleńca. Muzykanci zdumieni zastygli w pół ruchu, muzyka urwała się z przenikliwym zgrzytem.

— Naprawdę tego nie widzicie? — wołał mężczyzna rozpaczliwym głosem. — Uważajcie, uważajcie!

— Ależ, Móri — szeptem skarciła przyjaciela Tiril.

Nieszczęsnego szaleńca wyprowadzono i zakazano mu wstępu na zamek. Tiril dobiegły komentarze:

— Za dużo wina. Delirium.

— Nie bardzo to ładnie z twojej strony, Móri — cicho powiedział Erling.

W oczach czarnoksiężnika pojawiła się surowość.

— Mogłem go zabić. Zdecydowałem się jednak tylko oddalić zagrożenie od Tiril.

— Wiemy — pokiwał głową Erling. — Oczywiście słusznie postąpiłeś.

— Przyznaję, że źle mi się zrobiło — szepnęła Tiril. — Ale mogłeś się trochę wstrzymać. Biedaczysko, nawet nie skosztował deseru.

Wszyscy się uśmiechnęli.

Jedno niebezpieczeństwo zostało zażegnane, a właściwie dwa, bo Georg także był unieszkodliwiony. Ale pozostawało jeszcze jedno...

Tiril na głos wyraziła swe obawy.

— Tak — przyznał Móri. — Masz rację. Ta groźba znajduje się tu, na tej sali, lecz nie potrafię jej zidentyfikować.

— Rzeczywiście, ci dwaj mężczyźni z pewnością nie działali sami — z zapalem przyświadczył Erling. — Przez cały czas ktoś musiał za nimi stać, ktoś potężniejszy.

Tiril rozejrzała się dokoła, nie dostrzegła jednak nikogo podejrzanego. Wszyscy sprawiali wrażenie miłych ludzi.

Ale przecież Tiril zawsze z ufnością odnosiła się do świata.

— O czym wy troje tak szepczecie? — syknęła Catherine. — Czy ja nie mogę posłuchać?

Erling po cichu wyjaśnił, o czym rozmawiali. Tiril po minie Móriego poznała, że nie podoba mu się włączanie Catherine w sprawę. Dlaczego on ma do niej taki negatywny stosunek? — zastanawiała się. Przecież baronówna obiecała poprawę!

Tym razem także przyniosła ciekawe informacje. Zdążyła już wypytać swego sąsiada o to, kim był człowiek, któremu wino tak nagle uderzyło do głowy, i wszystkiego się dowiedziała. Mężczyzna z kosią bródką, czy też bez niej, był szlachcicem obcego pochodzenia, przebywającym na stałe w Norwegii. Nazywał

się Henrik Russ, mieszkał samotnie, tylko ze znajomym. Mieli bardzo niewielu przyjaciół, bo Henrik Russ, nieznośny arogant, bezustannie podkreślał swe wysokie pochodzenie.

Catherine spytała, czy Russa nic nie łączy z Holsteinami-Gottorpami, lecz sąsiad nie wiedział o tym człowieku nic ponad to, o czym już ją poinformował.

— Dziękujemy, Catherine — powiedział Móri. — Jesteś doprawdy nieoceniona.

Po raz pierwszy Catherine usłyszała z ust Móriego pochwałę i w oczach zakręciły jej się łzy radości.

— Ach, mój najdroższy doktorze-czarowniku, musisz kiedyś pozwolić mi się uwieść!

Erling i Tiril ostro zaprotestowali, a na twarzy Móriego pojawił się wyraz wrogości.

— Do licha, kochani — westchnęła baronówna. — Czy wy w ogóle nie znacie się na żartach?

Nikt z trójki przyjaciół nie uważał, by był to zupełnie niewinny żarcik. W dowcipach Catherine zawsze kryło się ziarno prawdy. Doskonale też wiedzieli — chociaż Erling starał się przymykać na to oko — że Catherine dałaby wszystko, byle tylko wciągnąć Móriego do łóżka.

Baronówna zmarszczyła brwi.

— Prawdę mówiąc nie słyszałam o szlacheckim rodzie noszącym nazwisko Russ. Owszem, Reuss. I ród ten nazywają rodem Henrików, wszyscy bowiem mężczyźni noszą imię Henrik. A raczej Heinrich, bo to niemiecka rodzina.

— Czy mogłabyś dowiedzieć się czegoś więcej na ich temat? Sprawdzić, czy ktoś nie przeniósł się do Norwegii, jakie są ich powiązania z Holsteinami-Gottorpami, ewentualnie z Habsburgami?

— Z przyjemnością! — Catherine rozbłysły oczy. — Grzebanie się w drzewach genealogicznych to jedno z moich ulubionych zajęć.

Padł sygnał, by wstać od stołu. Salę Christiana IV przygotowano do tańców.

Gdzie ona jest? — znów zachodziła w głowę Tiril. Czy naprawdę może być tutaj?

Okazało się, że Erling i Catherine doskonale radzą sobie w modnych ostatnio lekkich, szybkich tańcach — gawocie, menuecie, bourrée, rigodonie i allemande, a także starszych, takich jak sarabanda czy pawana, bardziej odpowiednich dla obszernych strojów epoki baroku, dostojniejszych, wymagających większej staranności. Nauka tańca była jednym z elementów ich wychowania i wykształcenia.

Tiril i Móri zaś stali pod ścianą wraz z wieloma innymi gośćmi. Tiril wciąż nie dawała spokoju myśl: Kto? Która to kobieta? Muszę wreszcie choć na chwilę

o niej zapomnieć.

— Jacy oni piękni — rzekła z zachwytem, przyglądając się tańczącym. — Jak wdzięcznie się poruszają!

Móri nie mógł się z tym nie zgodzić.

— Może miałabyś ochotę spróbować?

— Och, nie, wcale nie znam kroków. Proszę, nie zmuszaj mnie do tego!

Móri uśmiechnął się. Widać było, że słowa dziewczyny sprawiły mu ulgę.

Dobrze, przecież ja też nie umiem. Trudno się nauczyć modnych tańców na bezdrożach Islandii.

Odwrócił ją do siebie i popatrzył jej prosto w oczy. Tiril próbowała nie dać się wciągnąć wirowi w jego spojrzeniu. Miała ochotę poprosić, by ją objął i mocno przytulił, pocieszył i sprawił, że poczuje się bezpieczna. Tym razem jednak intuicja jej podpowiadała, że nie znajdzie u niego zwykłego poczucia bezpieczeństwa.

— Tiril — szepnął z powagą. — Nie tylko ty się boisz. Powiew lodowatego wichru właśnie wtargnął do mojej duszy. To jest o wiele potężniejsze, niż kiedykolwiek nam się śniło.

— W jakim sensie potężniejsze? I co za „to”?

Z twarzy Móriego biła udręka.

Ocieramy się o coś, nad czym nie panujemy. Ludziom, którzy cię prześladowają, chodzi o coś znacznie potężniejszego, niż nam się dotąd wydawało.

— Skąd o tym wiesz?

— Nie wiem. Po prostu to wyczuwam. Cała ta sprawa jawi mi się jak taka chińska skrzyneczka. Pudełko w pudełku, zamknięte w kolejnym pudełku. I oni, i my dość tknęliśmy zaledwie powierzchni. Czy też otworzyliśmy dwie zewnętrzne skrzynki z bardzo wielu.

— Cóż by to miało być? Czyżbym ja była takim pudełkiem?

— Nie, chyba nie — odparł z namysłem. — Ale jednym z nich był klucz, podzielona na trzy części figurka demona. Następny jest w moim pokoju. Mam na myśli to, co znaleźliśmy w Tistelgorm. Zwój pergaminu. I relief. One wprost krzyczą.

— Ale ci mężczyźni nie wiedzą, że byliśmy w Tistelgorm. To znaczy w Tiersteingram.

— Rzeczywiście, nie wiedzą. Szukają na oślep. A ponieważ gonią ciebie, chyba więc i ty sama musisz być jakąś częścią całości. Zaczyna się wyłaniać zawiły wzór...

— Móri, przestań tak patrzeć! Jakbyś błądził gdzieś w niezmierzonej dali, spójrz na mnie, jestem tutaj, rozmawiasz ze mną, zapomniałeś?

Otrząsnął się, powrócił do rzeczywistości. Łagodnie uśmiechnął się do dziewczyny.

— Wybacz, nie chciałem cię przestraszyć, ale poza tobą nie mam komu się zwierzyć, ty jedna rozumiesz moje rozterki...

— Ach, Móri! — westchnęła uradowana. Te słowa ogrzały jej serce.
Nastąpiła krótka przerwa w tańcach, Erling i Catherine podeszli do przyjaciół.
Baronówna podniecona i szczęśliwa, Erling natomiast poważny.
— Podczas tańców obserwowałam najmożniejszych gości. Nie zauważyłam żadnej kobiety, która mogłaby być twoją matką, Tiril.
A ona tak się obawiała tego spotkania! Teraz poczuła rozczarowanie, wręcz złość ogarniającą ją na myśl, że nieznajoma nie przybyła na bal.
Catherine dodała prędko:
— Doszłam do wniosku, że tylko cztery mogłyby w ogóle wchodzić w rachubę, ale tak naprawdę żadna. Podejdźmy bliżej, popatrzymy.
Ruszyli za nią ku niemal „zakazanej” części sali, w której zasiedli najznamienitsi z wielmożów.
Catherine szepnęła:
— Tej tam, tej tłustej lali w różowej sukni nie znam. To mogłaby być ona.
— Wykluczone — ostro zaprotestowała Tiril.
Catherine nie zwracała na nią uwagi.
— Następnie ta stara koza, która w tych szarych koronkach przypomina, oplecioną pajęczynami mumię.
— Za stara — stwierdziła Tiril.
— No i ta o końskiej twarzy. Jest w odpowiednim wieku. Próbuje oczarować Jego Królewską Mość, a królowa wprost pieni się ze złości.
— Ojej — jęknęła Tiril.
— A na koniec ta, która tak bezwstydnie flirtuje z przystojnym porucznikiem...
— Dziękuję — zbuntowała się Tiril. — Żadnej z nich nie chcę za matkę.
— Któraś z nich musi nią być — ostrym głosem oświadczyła Catherine. — Erlingu, daj mi na chwilę naszyjnik. Prędko się dowiemy, która narobi najwięcej krzyku albo zemdleje.
— Nie dostaniesz naszyjnika, Catherine, dobrze o tym wiesz. Poza tym nie ja go mam, lecz Móri.
Baronówna odwróciła się gwałtownie i posłała Móriemu jadowite spojrzenie. Wytrzymał je i spytał:
— Powiedz mi, Catherine, czy właściwie znasz kogoś, w tej grupie, skupionej wokół pary królewskiej?
— Owszem, jest tam wuj mojej matki.
— I dopiero teraz o tym mówisz? — zdziwił się Erling.
— On... hm... powiedzmy, że nie pochwałał mego stylu bycia.
— To zrozumiałe. Będziesz jednak musiała z nim teraz porozmawiać.
— Żeby wylał na mnie całą żółć? Dziękuję, nie skorzystam z tej okazji.

— Podejdz do niego! I jednocześnie przedstaw mnie — nalegał Erling. Na twarzy Catherine odmalowała się twardość, której Tiril tak bardzo się bała. Baronówna przez chwilę się namyślała, w końcu postanowiła się targować.

— Dobrze, jeśli pożyczycie mi szafiry.

— Nie.

— Zbyt wiele ode mnie wymagacie. Jeśli naprawdę mam was pokazać, to jak, na miłość boską, przedstawić Tiril?

— W każdym razie na pewno nie jako córkę jej matki. Przypuszczam, że wtedy w Holsteinie-Gottorpie zrobiliby się prawdziwe piekło.

— Wyobrażam sobie! Zresztą przedstawić ją mogę, tylko jak to wszystko wyjaśnić?

Po twardej dyskusji Catherine westchnawszy podreptała do arystokratów. Erling ruszył za nią. Tiril nie posiadała się ze zdumienia. Nigdy dotąd nie widziała baronówny tak uległej. Czy ta kobieta naprawdę potrafiła odczuwać miłość do drugiego człowieka? A na to właśnie wyglądało!

Jakiś starszy, dostoyny mężczyzna zmarszczył krzaczaste brwi. Poczzerwieniał jak burak na widok nisko się przed nim kłaniającej Catherine.

Dla Tiril cała ta sytuacja była nader nieprzyjemna. Przyjaciele poświęcali się dla niej. A ona nie chciała wszczynać żadnych niesnasek, zawsze cierpiała, gdy ktoś się na nią gniewał.

Pragnęła jednak poznać swoją matkę. Dowiedzieć się czegoś o swym prawdziwym pochodzeniu.

Ale czy naprawdę tego chciała?

Cóż ją łączyło z tymi ludźmi, zgromadzonymi w „sali rycerskiej”, jak ją nazywała? Nic, absolutnie nic. Żadnej z dam nie potrafiła sobie wyobrazić jako swej matki.

Najmocniej pragnęła schronić się w ramionach Móriego. Zorientowała się nagle, że traktuje go nie tylko jako mężczyznę zasługującego na jej miłość, z którym kiedyś być może... nie, od tej myśli zakreśliło jej się w głowie, nie śmiała nawet wyśnić jej do końca.

Zdała sobie sprawę, że uważa go także za swego anioła stróża, wprawdzie ciemnego — sama nazywała go wszak Aniołem Śmierci. Ale Móri wcale nie musiał być aniołem, jawił się niczym potężny duch, istota pochodząca z innego świata, z innego wymiaru. Miała wrażenie, że aby odszukać jego prawdziwą ojczyznę, musi wędrować daleko, przez rozległe równiny, mroczne groty i zdumiewające wspaniałością sale, poruszać się przez bezdenne otchłanie, przez pustkę, w której krzyczy samotność... Zdoła go odnaleźć dopiero po wielu nocach i dniach, wypełnionych strachem i tęsknotą.

Miejsca, w którym go odnajdzie, nie potrafiła sobie wyobrazić.

Drgnęła, kiedy Móri położył jej dłoń na ramieniu.

— Wzywają nas.

— Kto? Duchy?

Móri uśmiechnął się zdziwiony.

— Gdzieś ty teraz była? Wygląda na to, że Catherine chce nas przedstawić.

Tiril poczuła, że oblewa ją zimny pot.

— Ojej! No cóż, chyba musimy iść. Ale trzymaj mnie za rękę, Móri!

— Jestem cały czas przy tobie — odparł. Oczywiście nie mogli podejść do wielmożów trzymając się za ręce jak para przerażonych dzieciaków.

Na szczęście Jego Królewskiej Mości nie było w grupie, do której się zbliżali, znalazło się w niej jednak pięć lub sześć wysoko postawionych osób, badawczo przyglądających się Tiril i Móriemu. Wuj Catherine patrzył niechętnie. Z pewnością nie spodziewał się niczego dobrego po kolejnym wybryku niepoprawnej kuzynki.

Trzy panie wprost pożerały Móriego wzrokiem, tak jak przed chwilą rzuciły się na Erlinga. Do tego jednak Tiril już przywykła. Mężczyźni bacznie przyglądali się Móriemu i jej. Tiril, o dziwo, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że się im spodobała.

Ci panowie stali w hierarchii znacznie wyżej niż pozostali goście, wyróżniali się także modniejszym strojem. Śmieszne czarne troki z aksamitu, wiązane na karku, przytrzymywały białe peruki, zaboty pod szyją układali w nieco inny sposób, ukośne szarfy orderów były szersze, bardziej rzucały się w oczy.

Gdy nowo przybyłych już przedstawiono — „oto mój nadworny medyk, słynny doktor Móri z Islandii, i moja serdeczna przyjaciółka, panna van der Dalen” — Catherine oznajmiła:

— Szukamy dalekiej krewnej hrabianki van der Dalen, nie znamy jednak jej imienia. Wiemy jedynie, że pochodzi z Habsburgów i prawdopodobnie poślubiła kogoś z książąt Holstein-Gottorp.

Szlachcice popatrzyli po sobie.

— A dlaczego to panna interesuje się ową damą? — spytał wysoki rangą oficer. Tiril z drzeniem zdała sobie sprawę, że to pewnie marszałek. Przyglądał jej się, jakby miał do czynienia z marnym kandydatem na żołnierza, najwyraźniej gotów wyłapać wszelkie kłamstwa. Musiała naprędce wymyślić wiarygodną odpowiedź!

Zauważyła, że eleganckie, błyszczące spodnie z jedwabiu poplamił jajecznicą. To natychmiast sprawiło, że przestał być taki groźny.

— Chciałabym... chciałabym spotkać się z nią, by przekazać podziękowania od mej matki. Wiele lat temu ta życzliwa dama wyświadczyła jej przysługę. Matka moja wymieniła jej imię zaledwie raz, byłam wtedy za mała, by je zapamiętać.

Przełknęli! Dzięki wam, dobre moce!

— Habsburżanka — z namysłem powiedział wuj Catherine. — No, no, całkiem niezłe! I zamężna z Holsteinem-Gottorpem. Zaraz, zaraz...

Jedna z pań rzekła ze zjadliwą słodyczą:

— Stara, okropna wdowa, smoczyca, jak ją nazywają, doskonale zna się na rodach szlacheckich. Jej córka Aurora siedzi niedaleko, pomówmy z nią. Przypuszczam jednak, że wiem, o kogo chodzi.

Pozostali pokiwali głowami. I oni się domyślali. Wyglądali przy tym na zażenowanych.

Wkrótce podeszła do nich Aurora — potężna, ubrana na różowo dama, wyraźnie ucieszona, że ktoś się nią zainteresował. Widać było, że zawsze skazana jest na podpieranie ścian, i Tiril natychmiast zrobiło jej się żal. Małe oczka panny Aurory spoglądały na Tiril z nieskrywaną ciekawością, lecz nie bez życzliwości.

— Z domu Habsburżanka? Owszem, możemy spytać moją drogą matkę, lecz mowa być może tylko o jednej, prawda? — pytająco popatrzyła na pozostałych.

Pokiwali głowami jak chińskie lalki z porcelany.

— O kim? — krótko spytał Erling.

Różowa panna Aurora odpowiedziała zakłopotana:

— Księżna Theresa. Sądzę jednak, że nie ma jej tutaj. . .

— Ja też jej nie widziałam — przyświadczyła jedna z dam. — Ale nigdy nie wiadomo. . .

Urwała, zapadła kłopotliwa cisza.

Theresa. Nareszcie jakieś imię. Niewyraźna postać wystąpiła z gromady mrocznych cieni. Księżna Theresa. Tiril usiłowała ją sobie wyobrazić, lecz obraz, wszelkie słowa i dźwięki ulatywały, umysł nie chciał ich przyjmować.

Troje przyjaciół dziewczyny potrafiło myśleć jaśniej. Theresa — Tiril. To by mogło się zgadzać. Nie przebywa jednak w Norwegii? Cóż za przykre rozczarowanie. Czyżby znów musieli wyprawić się w podróż?

— Nie mam ochoty wypytywać jej męża o to, gdzie ją można znaleźć — oświadczyła Aurora. — To ten, który tańczy z tą młodą, ubraną na żółto damą, cieszącą się. . . nie najlepszą reputacją.

Tiril przyjrzała mu się uważnie. Zrozumiała, dlaczego jej matka przed laty zwróciła się ku innemu mężczyźnie. Ten człowiek już na pierwszy rzut oka budził niechęć. Miał nalaną, pokrytą czerwonymi plamami twarz, choć był względnie szczupły, tylko z prawej strony nad pasem ciało wylewało mu się, jak gdyby schował coś sporego pod ubraniem. Pod piwnymi, lodowato spoglądającymi oczami wyraźnie zaznaczały się worki, a nad pełnymi obwisłymi ustami rysował się długi nos, charakterystyczny dla duńsko-niemieckich rodów książęcych.

Do Tiril dotarł głos Aurory:

— Zdumiewające, jak bardzo panienka Tiril podobna jest do księżnej Theresy! Czyżbyście były spokrewnione?

— Owszem, moja matka była jej krewną, jest to więc możliwe — uśmiechnęła się Tiril, czując, jak bardzo wymuszony jest to uśmiech. Zdawała sobie sprawę, że za wszelką cenę musi zachować równowagę, w tej chwili było to niezwykle wprost istotne.

Wyczuwała, że między nią a beznadziejnie wystrojoną damą nawiązała się nie sympatii. Pulchna panna Aurora westchnęła ciężko i zaczęła się chłodzić wachlarzem. Nagle w jednej chwili wyraz jej twarzy się zmienił, w miejscu życzliwej ciekawości pojawiła się bezsilna uległość połączona z lękiem.

— Pójdźmy jednak do mojej drogiej matki — powiedziała drżącym głosem. — Ona wie wszystko, podczas gdy ja tylko się domyślam. Biedna mama, nie może uczestniczyć w zabawie, bo zdrowie jej nie dopisuje, a tak wystawne jedzenie źle służy jej delikatnemu żołądkowi. Ale postanowiła wybrać się w tę daleką drogę po to, by złożyć wyrazy szacunku swemu kuzynowi, Jego Królewskiej Mości Frederikowi, Królowi Danii i Norwegii. Chodźcie ze mną!

Aurora z ważną miną podreptała przodem, szczęśliwa, że uwolniono ją od przykrej roli tancerki podpierającej ściany. Nareszcie ktoś okazywał jej zainteresowanie!

Matkę Aurory — której panna najwyraźniej się bała — inni złośliwie nazywali wdową-smoczycą. Czwórka przyjaciół porozumiała się wzrokiem. Doprawdy, nie zapowiadało się to przyjemnie.

Zaplątali się jednak już tak bardzo, że nie mieli wyjścia, musieli stawić czoło potwornej starszej pani.

Tiril nabrała powietrza w płuca. Odeszła ją wszelka chęć na spotkanie z nieznaną matką, ale jej postać z wolna zaczynała wyłaniać się z mroku. Do celu jednak wciąż było bardzo daleko.

Rozdział 6

Wreszcie mogli przyjrzeć się zamkowi Akershus od środka, wprowadzie tylko przejściom, korytarzom i schodom. Tiril nie miała pewności, lecz odniosła wrażenie, że przechodzą do innego skrzydła przez piwnicę.

Ciekawe byłoby obejrzeć zamek z góry, z powietrza, pomyślała i sama zaczęła się z siebie śmiać. Człowiek miałby oglądać ziemię z powietrza? Musiałby siedzieć na chmurze lub na grzbiecie ogromnego orła.

Szalony pomysł! Ale czy któryś z włoskich artystów nie wpadł już na to wcześniej? Narysował nawet projekt maszyny potrafiącej wznieść się w powietrze. Jak on się nazywał? Michał Anioł? Nie, to Leonardo da Vinci, tak, przełom piętnastego i szesnastego wieku.

Słyszała o nim jeszcze w Bergen, podczas jednego z wystawnych wesel ludzi z wyższych sfer, na które zapraszano konsula wraz z rodziną. Idee Leonarda da Vinci traktowano jak wymysły szaleńca, ale Tiril się podobały i prawdopodobnie nie była w tym osamotniona. Czyż nie naszkicował on obiegu krwi w ciele człowieka na długo, zanim zbadali go anatomowie? Tiril dowiedziała się na owym weselu, że pozostawił także szkice innych niezwykłości, na przykład łodzi pływających pod wodą! I wozów bojowych, potrafiących przebijać mury. Tiril fascynowała taka wyobraźnia.

Nagle serce jej ścisnęło się strachem. Jakże często odrywała się od rzeczywistości, od strasznej rzeczywistości. Zapomniała, że oto zmierza do budzącej grozę starej damy, która podobno wie wszystko o jej matce!

— Proszę teraz pochylić głowy, panowie — oznajmiła Aurora sapiąc po zdającej się nie mieć końca wędrówce przez zamkowe zakamarki. — Przejdziemy jeszcze przez ten korytarz i dalej... Ojej, jak tu ciemno!

Zatrzymała się, a wraz z nią wszyscy, którzy jej towarzyszyli.

— Nie rozumiem... — rzekła niepewnie. — Czyżbyśmy poszli w złą stronę? Tyle tu zaułków. Ale to powinno być skrzydło dla gości. Co prawda podobno są dwa. Bardzo mi przykro, że źle was poprowadziłam.

— Idziemy dalej — postanowiła Catherine. — Gdzieś w końcu dojdziemy. Tiril wyczuła wahanie Móriego.

— Co się stało? — spytała.

— Nie wiem. Chyba trzeba zawrócić.

Aurora także nie ruszała się z miejsca.

— Doprawdy, w tych korytarzach powinny być lampy... No cóż, pójdziemy chyba naprzód, bo...

Zdażyła zrobić zaledwie dwa kroki pogrążonym w mroku korytarzem i zaraz uderzyła w krzyk. Ujrzeni, że zatoczyła się pod ciosem zadany jakimś przedmiotem, osunęła się na ziemię, a postać, która wyłoniła się z mroku, rzuciła się w ich stronę i wyciągnęła rękę w stronę Tiril.

Ale podejrzliwość Móriego sprawiła, że dziewczyna była przygotowana na najgorsze. Zdażyła się cofnąć, napastnik więc jej nie pochwycił. Jeszcze szybciej zareagowała Catherine. Podstępne sztuczki nie były jej obce, nie wiele się namyślając podstawiła nogę mężczyźnie, runął na ziemię jak długi. Erling i Móri, popchnięci do ściany, zdołali w końcu odzyskać równowagę, złoczyńca jednak zdażył się już podnieść i biegiem rzucił się do ucieczki krętymi korytarzami. Erling ruszył w pogoń.

Móri przyklęknął przy hrabiance Aurorze i uniósł jej głowę. Jęknęła z bólu, lecz otworzyła oczy i popatrzyła na niego.

Uchyliły się jakieś drzwi, na korytarz padło światło.

— *Was ist los?* — spytała kobieta, po stroju sądząc, pokojówka. — Moja pani odpoczywa, nie należy jej przeszkadzać.

Wrócił Erling.

— I jak? — zainteresowała się Catherine.

— Nic z tego — odparł. — Musiał skryć się w którejs z komnat. A co się tutaj dzieje?

Móri pomógł Aurorze stanąć na nogi.

— Tak się mną serdecznie zajęto — rzekła dzielnie pulchna dama. — Macie doskonałego medyka! Ale czego chciał od nas ten człowiek? Czyżbyśmy go przyłapali na zdróżności?

Nic więcej nie zdołała powiedzieć, bo znów z ust wyrwał jej się jęk:

— Ach, chyba...

W świetle wpadającym zza uchylonych drzwi spostrzegli jak bardzo pobladła. Móri wyjaśnił pokojówce:

— Hrabianka Aurora została ranna. Czy możemy przejść do światła?

Pokojówka, starsza już kobieta, wyraźnie niedowidząca, wahała się między troską o spokój swej pani a współczuciem dla Aurory.

— Z głębi komnaty rozległy się słowa:

— *Aber natürlich! Kommen Sie doch'rein!*

Po akcencie poznali, że mają do czynienia z Austriaczką.

Pokojówka, przepuszczając ich, odsunęła się na bok.

— Pani nie powinna jeszcze chodzić o własnych siłach, hrabianko — rzekł Móri do Aurory. — Pomożemy pani.

Okragła hrabianka chętnie pozwoliła się podeprzeć, a raczej prawie nieść dwóm przystojnym mężczyznom, zachwycona, że poświęcają jej tyle uwagi. Catherine dla pewności szła tuż za nimi na wypadek, gdyby wielmożna panna miała stracić przytomność.

Znaleźli się w niedużym, ślicznie urządzonej saloniku, gdzie młoda dama w czarnym welonie wskazała im miejsce na kanapie. Ostrożnie ułożyli na niej pannę Aurorę, Móri zbadał ranę.

— Co się właściwie stało? — spytała Aurora niewyraźnie. — Ach, moja głowa!

— Proszę leżeć spokojnie, zaraz się nią zajmę.

— On jest medykiem — wyjaśniła gospodyniom Catherine. — Moim nadwornym medykiem, bardzo zdolnym.

Tiril miała niejasne przypuszczenia, że nadwornych medyków mają tylko królowie, ale Catherine nigdy nie grzeszyła skromnością. Aurora była ciotką kilkorga dzieci, które baronówna знаła, i ona także żartobliwie nazywała ją ciotką, a ponieważ wymawiała imię hrabianki z francuska, zdaniem Tiril brzmiało to komicznie, kiedy Catherine zwracała się do Aurory „Tantoror”.

Szlachetna dama w żałobnym welonie pochyliła się nad Aurorą. Choć nosiła wspaniałą czarną suknię z długimi rękawami, Tiril dostrzegła ciemniejący z każdą chwilą siniak wokół nadgarstka.

Móri także to zauważył. Tak jak Tiril zareagował zdumieniem, ale nic nie dał po sobie znać.

— W korytarzu stał jakiś mężczyzna — mówiła oszołomiona Aurora. — Nie był to prosty złodziej, nosił bowiem bardzo eleganckie ubranie, jedwabie i aksamity, poczułam to. Ach, doktorze, jakież gorące ma pan ręce!

— Zaradzimy pani słabości — uspokajał ją Móri. — Jest dla mnie wielką radością mieć do czynienia z tak dzielną, jasno myślącą pacjentką.

— Ach — szepnęła Aurora rozradowana. Było to chyba jej ulubione słowo.

Móri poprosił pokojówkę, by przyniosła mu jakąś szmatkę zamoczoną w zimnej wodzie.

Erling zaczął po niemiecku wyjaśniać przebieg zajścia, lecz dama przerwała mu:

— Dość dobrze rozumiem wasz język — rzekła dziwaczną mieszaniną duńskiego i niemieckiego rodem z Austrii.

— Czy udało wam się złapać złoczyńcę?

— Nie, nie widzieliśmy nawet, kto to był. Musiał ukryć się w którejś z komnat w korytarzu.

Wróciła pokojówka, spełniwszy prośbę Móriego. Islandczyk przyłożył wilgotną ściereczkę do głowy Aurory. Hrabianka jęknęła, głównie po to, by pokazać,

jak dzielnie się sprawuje pomimo bólu, ale miewała się już dość dobrze. Wciąż była trochę zamroczona, co nie wróżyło najlepiej, ale z pewnością ból już jej nie dokuczał. Móri znał przecież sztukę jego uśmierzenia.

Szlachetnie urodzona gospodyni z troską pochylała się nad Aurorą Tiril stała przy niej tak blisko, że mogła zobaczyć jej twarz przez welon. Móri podniósł wzrok i ujrzał to samo:

Ta kobieta nie nosiła żałoby. Czarny welon zasłaniał solidnie podbite oko, a także krwawe wybroczyny wokół nosa i ust.

Biedna kobieta, jakież to los ją spotkał?

Móri spytał spokojnie:

— Czy hrabianka Aurora może tu zostać, dopóki nie dojdzie do siebie? Sądzę, że niewłaściwe byłoby ją teraz przenosić.

— Rozumiem — odparła dama, z lękiem zerkając na drzwi. — Oczywiście, niech zostanie, tylko. . .

— Tylko mąż pani może przyjść? — dokończył Móri.

— Tak — odparła po chwili wahania. — On. . . jest chory i potrzebuje spokoju. A więc. . .

— Ależ, moi drodzy, ja się już dobrze czuję — przesadnie szybko oświadczyła Aurora, próbując się podnieść. Móri jej na to nie pozwolił.

Zamyślony przez długą chwilę obserwował zawoalowaną damę.

— Sądzę, że małżonek pani teraz się nie pojawi — rzekł powoli.

Zapanowała pełna napięcia cisza.

— Panno Auroro. . . — podjął Móri. — Być może nie będziemy musieli fatygować pani matki? Może mimo wszystko trafiliśmy właściwie?

Aurora, dotychczas przejęta swymi niezwykłymi dolegliwościami i nagłym zainteresowaniem jej osobą, zdumiona popatrzyła na kobietę w żałobnej sukni.

— Księżna Theresa? Czy to naprawdę pani?

— Za młoda! — wyrwało się przerażonej Tiril

— Owszem, jestem Theresa — odparła z rezerwą zdziwiona dama.

— Och, to znaczy, że przypadkiem nam się udało — uradowała się Aurora. — Dzięki Bogu, bo moja droga matka bywa czasami niezno. . . nie czuje się najlepiej.

— Co to ma wszystko znaczyć? — dopytywała się księżna. — Czy wy mnie znacie?

Aurora tłumaczyła z zapalem:

— Oni mają do ciebie jakąś sprawę, droga Thereso, zaproponowałam, że zaprowadzę ich do swojej matki, aby mogli się upewnić, czy to ciebie szukają, ale zabłądziliśmy na zamku, a potem ten straszny człowiek uderzył mnie w głowę i. . .

Wtrącił się Erling, chcąc zaprowadzić jakiś porządek:

— Jaśnie pani, temat, jaki chcemy z panią poruszyć, wymaga zachowania absolutnej dyskrecji. Proponuję, aby wyznaczyła nam pani czas i miejsce rozmowy.

Księżna nie odpowiedziała. Wyrazu jej twarzy przysłoniętej welonem nie dało się odczytać.

Teraz włączyła się Catherine:

— Ze względu na okoliczności niestety nie zdążyliśmy się przedstawić. Jestem baronówna Catherine van Zuiden, a to mój narzeczony Erling von Müller, moja przyjaciółka i mój medyk. Przyjechaliśmy z daleka, aby się z panią spotkać.

— Możemy porozmawiać od razu — odparła księżna. — Pokój naprzeciwko jest pusty, ci, którzy mieli go zająć, nie przybyli.

Móri poprosił pokojówkę o zajęcie się hrabianką Aurorą, której przez jakiś czas jeszcze nie wolno wstawać. Oburzona Aurora koniecznie chciała im towarzyszyć, a sądząc po ciekawości bijącej z oczu pokojówki, ona także miała na to ochotę. Erling jednak okazał upór. Sprawa, z którą przybywali, była nadzwyczaj konfidencyjna.

— Ale was jest przecież tak wiele! — protestowała Aurora. — Potrafię dochować tajemnicy!

— Wiemy o tym — powiedział Móri. — Wiemy, że jest pani dobrym człowiekiem, panno hrabianko. Ale nasz zleceniodawca zabronił nam rozmowy z kimkolwiek innym poza księżną.

— Jaki zleceniodawca? — gniewnie spytała w duchu Tiril.

— Powinniśmy uszanować jego życzenie — stwierdziła księżna Theresa. — Niedługo wrócimy.

Tiril, spięta, nie mogła jasno myśleć. Serce waliło jej w piersi, dłonie bezustannie zaciskały się i otwierały na przemian. Miała wrażenie, że nie może zaczerpnąć oddechu, czuła, że jej twarz jest jak maska. Z niejasnego powodu starała się przez cały czas trzymać z tyłu, stać za kobietą, która miała być jej matką. Na samą myśl o czekającej ją konfrontacji Tiril ogarniał paniczny lęk. Przestała już ufać własnym emocjom i swej zdolności panowania nad sobą, pewnie dlatego nie ważyła się na żadne odczucia. Boże, niechże ten koszmar już się skończy, błagała. Koszmar płynący ze strachu przed reakcjami, które musiały nastąpić.

Rozdział 7

Czego ci obcy ludzie ode mnie chcą? Nie mogę teraz z nikim mówić. Przerażają mnie, chociaż patrzą życzliwie. Ze współczuciem. Jak gdyby rozumieli?

Nie mam już więcej sił. Chcą ze mną poważnie rozmawiać. Cóż oni wiedzą o powadze?

Tęsknota. Gdyby znali to uczucie, nie dręczyliby mnie.

Uderzenia w twarz to nic w porównaniu z pełną goryczy tęsknotą.

Nie stać mnie już na nic, akurat teraz nie stać mnie zupełnie. Czuję się upokorzona. Nie mam skąd czerpać sił.

Jak mógł pobić mnie właśnie tutaj, na Akershus? Oczywiście nie wiedział, że z tym miejscem łączą się najtragiczniejsze wspomnienia mego życia, lecz i tak nie powinien był tego robić.

Zbił mnie, uderzył prosto w twarz, tylko dlatego, że miałam jedną jedyną prośbę. Bałam się wypowiedzieć ją na głos, lecz musiałam. Jak najostrożniej błagałam, by nie pił za dużo przy Jego Królewskiej Mości.

Wiedziałam, że nie powinnam tego mówić, ale tak się bałam, że znów doprowadzi do skandalu.

Gdzie są drzwi do pokoju, do którego idziemy? Tak ciemno w tych korytarzach. Pamiętam tę ciemność jeszcze z mojej poprzedniej bytności. Wszak mrok był mi pomocą, chronił. Teraz jest kolejną przeszkodą. „Niczego mi nie darujesz! — wołał. — Jesteś zazdrosna, tak, po prostu zazdrosna!”

Uderzył. A potem jeszcze raz. I jeszcze.

Nie, nie jestem zazdrosna. Ale przykro jest siedzieć, wystawiając się na pośmiewisko, podczas gdy on umizguje się do młodych dziewcząt i coraz bardziej upija.

Są drzwi, nareszcie. Ręce mi drżą, jestem zbyt zdenerwowana, muszę się uspokoić...

A potem to, co zawsze: „Chcesz mi zabronić spotykać się z innymi? Ty nie potrafiłaś dać mi dziecka. Do niczego się nie nadajesz, Thereso, słyszysz? Jesteś do niczego, do niczego!”

Ostatnie słowo podkreślił uderzeniem w nos. Oboje zdawali sobie sprawę,

a zresztą było powszechnie wiadomo, że to on nie może mieć dzieci. Nie mógł się jednak pogodzić z prawdą, tak wiele mówił o jej niepłodności, że w końcu sam w nią uwierzył, prawdopodobnie by zachować szacunek dla samego siebie.

Drzwi... Pokój... Tak, tu będzie dobrze. Wszystkie meble przykryte prześcieradłami. Bezosobowo.

Nie poszłam na bal. Moja piękna suknia wisi nietknięta. Ale to nie ma wielkiego znaczenia.

Ten zamek jest dla mnie niczym otwarta rana, chociaż to działo się w innym skrzydle...

Chcę stąd odejść, oderwać się od dręczących wspomnień, chcę wrócić do domu.

Do domu? Do czego? Co pocznę w Holsteinie-Gottorpie? Każdego dnia czuję się tam obco. Teściowa, szwagierki stale mnie upominają. „Nie wyobrażaj sobie za wiele tylko dlatego, że jesteś Habsburżanką! My mamy zacniejszych przodków!”

Księżna Theresa odwróciła się ku swym nieproszonym gościom.

— Siadajcie. O czym chcecie ze mną porozmawiać?

Usłyszała zmęczenie w swym własnym głosie. Dopiero gdy usiadła, oni także zajęli miejsca wokół niedużego stolika przy kanapie. Młodzianka dziewczyna nie zmieściła się przy stole i przycupnęła na krześle pod ścianą, nieco za plecami Theresy.

Nie zdążyłam przyjrzeć się tej pannie, pomyślała księżna. Przez cały czas trzyma się z tyłu. Z pewnością wywodzi się z niższego rodu i zna swoje miejsce w szeregu. Zresztą wszystko jedno. Im mniej będę miała do czynienia z tymi ludźmi, tym lepiej.

Najwyraźniej czekali, by to ona zaczęła mówić. Jakież to trudne!

— Czy chodzi o mego męża? — niechętnie spytała Theresa. — Jestem w wystarczającym stopniu poinformowana o jego eskapadach.

Po chwili milczenia, widać zgodnie z umową, jaką między sobą zawarli, głos zabrał ów młody przystojny szlachcic, Erling von Müller, chyba tak się nazywał. Podjęli słuszną decyzję, pozwalając mu mówić, wydawał się niezwykle dobrze wychowany, nie miał w sobie niebezpiecznej spontaniczności Catherine van Zuiden, o której plotki dotarły nawet do księżnej, ani też nie budził takiego przerażenia jak ów drugi mężczyzna, podobno medyk z Islandii, przywodzący na myśl szarlatanów, twierdzących, że znają się na czarach.

A dziewczyna siedząca za Thesą nie mogła ani też nie powinna zabierać głosu. Drżała na całym ciele, aż szeleścił materiał jej sukni.

— Nie, wasza wysokość — odparł Erling. — Nie chodzi nam o pani męża. To dotyczy pani osobiście.

Theresa siedziała wyczekująco. Ten von Müller ma piękne, życzliwie patrzące oczy.

— Proszę mi wybaczyć niedelikatność — rzekł. — Ale niezwykle trudno jest rozmawiać z waszą wysokością przez ten welon. I tak nie da się ukryć, że jest pani ciężko poturbowana. Czy to był upadek?

— Tak, upadek — powtórzyła obojętnie i skinęła głową. Po chwili wahania zdjęła welon i przewiesiła go przez krawędź kanapy. Nie miało żadnego znaczenia, że obcy ją zobaczą. Dla księżnej Theresy Holstein-Gottorp nic właściwie nie miało już znaczenia.

Goście nie zdołali powstrzymać okrzyku przerażenia, lecz tego przecież się spodziewała. Wiedziała, jak dotkliwie pokiereszowaną ma twarz.

— Nic dziwnego, że nie pokazała się pani na balu, księżno — szepnęła zdumiona baronówna.

Usta Theresy na moment wykrzywiły się z goryczą. O, tak, świetnie to wiedziała! Ślady na twarzy wciąż były świeże, krew koło nosa i przy kąciku ust pozostawała nadal bardziej czerwona niż zbrązowiła. Cios w oko zadany został jakimś przedmiotem, nie zdążyła zobaczyć jakim. Jedna strona twarzy mocno napuchła wokół oka wykwitły wszystkie kolory tęczy. Doprawdy, niecodzienny widok!

— Proszę mi pozwolić, bym później zajął się tymi zranieniami, księżno — powiedział tajemniczy medyk, Móri. — Z pewnością uda mi się choć trochę im zaradzić.

— Dziękuję — skinęła głową. Pomimo że sprawiał wrażenie istoty nie z tego świata, jego ciemne oczy budziły zaufanie.

Dopiero teraz się zorientowała, że von Müller i baronówna van Zuiden szepsem prowadzą ze sobą rozmowę, wcale przy tym na siebie nie patrząc. Co oni mówili?

Dotarły do niej zaledwie strzępki zdań, bo tak zafascynowały ją niezwykle oczy Islandczyka. „Tak strasznie okaleczona, a jednak widać podobieństwo”. „Zdumiewająco młoda, nie może mieć więcej niż trzydzieści pięć lat. . .” „Smutek wyryty na twarzy. . . Ciemne włosy. . . już naznaczone siwizną”. „Twarz węższa, drobniejsza, oczy nie tak niebieskie”. „Widać wyraźne podobieństwo w ruchach, w ściągnięciu ust”. „A przede wszystkim czoło. Takie samo jasne, szerokie czoło, brwi jak skrzydła”. „Tak, i włosy, schodzą niżej na skronie niż zazwyczaj. Niesamowite!”

Przestali już szeptać. Być może nie zdawali sobie sprawy, ile księżna rozumie z ich języka. A ona wprawdzie mówiła nim nie najlepiej, ale rozumiała wszystko.

Podobieństwo? Niesamowite podobieństwo? O czym oni szepczą, o co im chodzi?

Do kogo jestem podobna? Przecież nie do Habsburgów, wdałam się w ród mojej matki. Może znają kogoś z nich? Czyżbym miała usłyszeć o kolejnym skandalu wśród arystokracji? Wszak skandale to ulubiony temat dworskich rozmów.

Co mnie to wszystko obchodzi?

Ci dwoje znów wymieniają jakieś uwagi. Nie będę się im przysłuchiwać, tylko

udawać, że rozmawiam z tym tajemniczym Mórim. Ale postaram się równocześnie uważać na nich.

„I najważniejsze, ona wydaje się sympatyczna. Musimy zrozumieć jej rezerwę. Jesteśmy dla niej obcy, nie wie, czego chcemy”.

Młody Müller zwraca się wprost do mnie:

— Wasza wysokość. . . Sprawa, z jaką przybywamy, jest nadzwyczaj delikatnej materii. Mam nadzieję, że uwierzy pani nam na słowo: pragniemy wyłącznie pani dobra. Nie chcielibyśmy pani zranić, ale tak wielu rzeczy nie rozumiemy, a nasza sytuacja, szczególnie jednej osoby spośród nas, stała się niezwykle trudna. Okoliczności nas zmusiły, by panią odszukać.

Theresa odrobinę, nieznacznie, jakby się cofnęła.

— Jak mogę wam pomóc? Chcecie pieniędzy?

— Och, nie, nie o to chodzi — pospiesznie zaprzeczył Erling. — To. . . nie, nie jestem chyba właściwą osobą, by wyłuszczyć nasz problem. Spróbuj ty, Móri.

Znów zapadła chwila kłopotliwego milczenia. Poturbowana księżna przeniosła wzrok na Islandczyka. Boję się, czego oni ode mnie chcą? To wszystko zaczyna mnie przerażać.

Móri, człowiek, którego nazwałaby czarnoksiężnikiem, tak, to właściwe określenie, nabrał powietrza w płuca.

— Wasza wysokość, wiele pani wycierpiała, czytam to w pani twarzy, i nie chodzi mi wcale o zranienie podczas dzisiejszego upadku. Dla nikogo z nas nie jest przyjemnością niepokojenie pani, lecz zostaliśmy do tego zmuszeni. Aby panią przygotować, coś pani pokażę.

Tiril, która do tej pory tylko się przysłuchiwała, otrząsnęła się z szoku. O, nie, nie rób tego, Móri, poprosiła w duchu. Odłóżmy to jeszcze na jakiś czas, nie dojrzałam do tej chwili, ona wygląda na miłą, ale co będzie, jak się na mnie rozgniewa? Jeśli nie będzie chciała się do mnie przyznać? Wstrzymajmy się, chodźmy stąd!

Móri jednak nie wysłuchał jej błagalnych myśli.

Księżna Theresa wyczuła niepokój, jaki ogarnął jej rozmówców. Czego oni chcą, co robi ten człowiek?

Móri wyjął kawałek złożonego czarnego aksamitu i rozwinął go. Zalśniły szafiry.

Umysł księżnej nie był w stanie przyjąć informacji, odmówił pracy.

Nie mogła zebrać myśli.

Co tam leży, dlaczego on mi to pokazuje? Coś błyszczący, migocze, nie potrafię zrozumieć, co to jest, wiem, jak to się nazywa, ale nie mogę sobie przypomnieć. . .

Powoli jednak zaczęło do niej docierać, co widzi.

Miała wrażenie, że wokół serca zaciska jej się żelazna obręcz. Czuła, że na twarz występują jej rumieńce, wciąż jednak nie mogła sformułować żadnej myśli, tym bardziej cegokolwiek powiedzieć.

Tamci czekali.

Nagle pokój wokół niej się zakołysał, zakręciło jej się w głowie. Tajemniczy obcy prędko odłożył zawiniątko na stół i mocno pochylił jej głowę.

Zaczęła myśleć jaśniej. Wyprostowała się i głęboko odetchnęła.

— Czego chcecie? — szepnęła ledwie słyszalnie.

— Dowiedzieć się, dlaczego jedno z nas jest prześladowane, dlaczego wciąż musi walczyć w obronie życia — wtrącił się Erling.

— W obronie życia? — powtórzyła przerażona Theresa.

— Proszę się rozejrzeć, księżno — poprosił Móri. — Przyjrzeć się swoim gościom.

Zdumiona ledwie zdołała oderwać wzrok od fascynujących oczu Móriego. Czego oni ode mnie chcą? Przyjrzeć się gościom? Po co? Widzę, że ten człowiek jest niesamowity, prawdopodobnie drugiego takiego nie ma na świecie, ale co to ma znaczyć? Jaki on ma związek ze mną?

Przeniosła wzrok na Erlinga.

Młody szlachcic, Erling von Müller. Nie słyszałam o rodzie o takim nazwisku. Najpewniej niemiecki, nie znam zbyt dobrze niemieckiego almanachu szlacheckiego, tylko austriacki, no i innych, powiązanych z moją rodziną.

Taki przystojny i elegancki, nic nie mówi. Budzi sympatię. Ale nie wiem, do czego zmierza.

Oni mają szafiry. Jak je zdobyli? I co ważniejsze: w jaki sposób dotarli do mnie? Moja tajemnica była pilnie strzeżona. Teraz znalazłam się w ich władzy. Jeśli wiedzą. . .

Wcale jednak nie musi tak być. Mogli zdobyć naszyjnik i rozpoznać go, dowiedzieć się, że przez pewien czas był w moim posiadaniu.

Nie muszą znać prawdy.

Skierowała wzrok na Catherine.

Baronówna Catherine van Zuiden. Słynna w całej północnej Europie. Wydziedziczona, odrzucona przez rodzinę.

Theresa długo, badawczo spoglądała jej w oczy, aż wreszcie baronówna lekko pokręciła głową.

Księżna nie otrzymała żadnej odpowiedzi.

Była z nimi jeszcze jedna osoba. . . Dziewczyna, której nie miała okazji dobrze się przyjrzeć, dostrzegła ją zaledwie kątem oka. Ostatnia z czworga.

Musiała się odwrócić, by móc ją zobaczyć.

Poczuła, że zalewa ją fala gorąca. Podobieństwo, niesamowite podobieństwo.

Znam tę twarz, pomyślała. Jakbym patrzyła na własne odbicie w lustrze.. Tylko ona jest młodsza, bardziej zaokrąglona.

W twarzy dziewczyny dostrzegła rysy swej matki i jedynego mężczyzny, którego kochała. Nic z Habsburgów i, rzecz jasna, ani krzty podobieństwa do Holsteinów- Gottorpów.

Krew wolno odpływała z twarzy kobiety. Poczowała, jak opuszczają ją siły, przed oczami pociemniało. Wciąż jednak widziała dziewczynę, której z oczu spływały łzy, broda się trzęsała.

Ta panna się boi! Czyżby bała się jej, Theresy? Widać było, że stara się nad sobą zapanować, ale nie zdołała powstrzymać łez.

Może myśli, że zostanie odepchnięta? Odepchnięta? Ona?

— Tiril Dahl — spokojnie oznajmił Erling Müller.

Nigdy jeszcze nie doświadczyli takiej ciszy, jaka teraz zapadła. Przez długą chwilę nikt nawet okiem nie mrugnął.

I nagle księżna wybuchnęła głośnym, rozpaczliwym płaczem. Wstała, spróbowała wyciągnąć ręce do Tiril, ale nie miała sił by je unieść.

Tiril odważyła się nieco przysunąć.

— Podejź! Podejź bliżej — wydusiła księżna.

Tiril postąpiła kilka kroków naprzód, Theresa przyciągnęła ją do siebie i zamknęła w rozpaczliwym uścisku.

— Wybacz mi, wybacz — szeptała raz po raz.

— Wiemy wszystko — łagodnie rzekł Móri. — Tiril także zdaje sobie sprawę, że okoliczności zmusiły panią, by ją oddać.

— Nie powinnam była tego robić. Powinnam była pogodzić się z odrzuceniem, samotnością i ubóstwem. To łatwiejsze od żalu. Moje życie stało się jednym pasmem, tęsknoty.

— Była pani młoda i zagubiona — powiedział Móri ze, zrozumieniem.

— To prawda, zbyt młoda. Ale to nie jest żadne wytłumaczenie. Konwenanse tkwiły we mnie zbyt głęboko, ulegałam woli innych.

Ujęła twarz Tiril w dłoń i przyglądała się jej, choć niewiele mogła zobaczyć przez zasłonę płynących nieprzerwanym strumieniem łez. Serce jej wypełniły nowe, cudowne uczucia. Towarzyszyła im rozpacz nad zmarnowanymi latami.

— O dziecko, dziecko — szepnęła. — Ukochane, wytęsknione dziecko. — Nagle zdrętwiała. — Mój mąż! W każdej chwili może przyjść, pytać o mnie. . .

— On raczej się nie pokaże — z chłodnym spokojem oświadczyła Catherine. — Kiedy go widzieliśmy, był bardzo. . . zajęty.

Theresa popatrzyła na nią zgasłymi oczyma.

— Ach, tak, rozumiem. W takim razie dziś wieczorem go nie zobaczymy.

Poprosiła, by usiedli. Tiril musiała zająć miejsce tuż obok, na kanapie.

— Taka jesteś śliczna — uśmiechnęła się Theresa, otarłszy oczy koronkową chusteczką. — Ale mało w tobie podobieństwa do Habsburgów.

— Moim zdaniem jesteście bardzo do siebie podobne — stwierdziła Catherine.

Księżna popatrzyła na nią.

— Owszem, ale ja nie jestem typową Habsburżanką, wdałam się w matkę. Tiril także. W dodatku odziedziczyła pewne rysy po. . .

Urwała i zaczęła mówić o czym innym.

— Wspomnieliście, że grozi wam niebezpieczeństwo. Czyba nie Tiril?

— Właśnie o mnie chodzi — wyjaśniła dziewczyna. — I niczego nie możemy pojąć.

— Tobie coś grozi? Nie można do tego dopuścić! Jak wam pomóc?

— Potrzebujemy wyjaśnień — odparł Erling.

— Oczywiście, powiem wszystko, co wiem.

Wszyscy jednak myśleli o tym, co księżna już przemilczała. Nie chciała zdradzić, do kogo jeszcze podobna jest Tiril.

Odgadli, że chodziło jej o ojca dziewczyny. Kim on mógł być?

Rozdział 8

Theresa nie mogła się napatrzeć na swą cudownie odnalezioną córkę. Tiril natomiast czuła się oszołomiona, nie potrafiła nazwać swych uczuć, wszystko było takie nowe.

— Jak ci się powodziło, Tiril? — pytała księżna. — Regularnie wysyłałam ci pieniądze, dostawałaś je?

— Sądzę, że moi rodzice... przybrani rodzice je otrzymywali.

— A nie ty? Miałaś dostawać połowę, za każdym razem.

Tiril pokręciła głową.

Wmieszał się Erling:

— Przez kogo wasza wysokość przesyłała pieniądze? Kto przekazywał je Dahlom?

Popatrzyła na niego zdziwiona.

— Sprawą zajął się pewien bankier w Christianii, wykształcony w Niemczech, w Norwegii wszak trudno mówić o bankowości. Zostawiłam mu znaczną sumę, od której narastały procenty. Nie mogłam przecież wysyłać wciąż drobnych kwot z Gottorpu, prędzej czy później by mnie odkryto. Od czasu do czasu kontaktowałam się z zaufanym człowiekiem tutaj, a on wtedy przysyłał mi kwity, potwierdzenia odbioru pieniędzy przez Dahla. Porozumiewaliśmy się umówionym systemem. To bardzo uczciwy, porządny człowiek, nienagannie zawiadywał majątkiem Tiril.

Móri spytał cicho:

— Czy nigdy nie myślała pani o tym, by odwiedzić córkę?

Twarz księżnej ściągnął ból.

— Tysiąckrotnie, każdego dnia! Ale proszę mnie zrozumieć, doktorze Móri, jestem zniewoloną kobietą. Mąż pilnuje każdego mojego kroku. Tak bardzo się cieszę, że mnie odnaleźliście, nie umiem wyrazić swego szczęścia!

Znów wybuchnęła płaczem, ukryła twarz w dłoniach. Tiril pytająco spojrzała na Móriego, skinął głową, więc ostrożnie wyciągnęła rękę i pogładziła matkę po włosach.

Był to dla Tiril ogromnie trudny gest. Wrodzona spontaniczność nakazywała

jej pochwycić nieszczęśliwą kobietę w objęcia, ale matka nosiła tytuł księżęcy, a ją nauczono okazywać szacunek i skromność wobec ludzi z wyższych sfer.

Theresa jednak, spragniona ludzkiej życzliwości i ciepła, przyjęła pieszczotę z wdzięcznością, mocząc piękną suknię Tiril łzami.

Wreszcie zapanowała nad wzruszeniem, zakłopotana otarła oczy.

— Mam wielką prośbę do was wszystkich.

— Słuchamy — z uśmiechem rzekł Erling.

— Czy mogę opowiedzieć o wszystkim Aurorze? Chciałabym na cały świat wykrzyknąć, że oto odnalazłam wytęsknioną córkę, ale tego zrobić mi nie wolno. Wiem natomiast, że Aurora jest godna zaufania, to dobry człowiek, nie zdradzi tajemnicy. Moja pokojówka także powinna się o wszystkim dowiedzieć, towarzyszyła mi wszak wtedy! Tylko im dwóm. . .

Popatrzyli po sobie z wahaniem.

Theresa ciągnęła z zapalem:

— A potem porozmawiamy o wszystkim, co przydarzyło się mojej kochanej Tiril. Jak rozumiem, wciąż zresztą coś się dzieje.

— Wasza wysokość sama najlepiej wie, komu może zaufać — odrzekł Móri.

— Ale wobec tego powinniśmy znaleźć jakieś bezpieczniejsze miejsce. . .

— Zaraz wracam — poderwała się uradowana księżna.

Czekali z niepokojem. Kiedy jednak po chwili trzy kobiety weszły, zrozumieli, że Theresa wiedziała, co robi. Pokojówka głęboko skłoniła się przed Tiril, a Aurora pochwyciła córkę Teresy w swe rozłożyste, miękkie objęcia.

— Cóż za wzruszająca historia — łkała Aurora, najwidoczniej całkiem zapomniawszy o swych dolegliwościach. Móri poprosił, by zachowała spokój; usłuchała go z pełnym zaufaniem i podziwem.

Żartobliwie pogroziła księżnej palcem:

— No, no, Thereso, w co za romanse tyś się wdała! Nikt by się tego po tobie nie spodziewał!

Theresa uśmiechnęła się zawstydzona.

— A zresztą — zamyśliła się Aurora. — W twoim przypadku to właściwie rozumiałe. Na twoim miejscu i ja także próbowałabym się wyrwać.

Twarz księżnej się ściągnęła.

— To było znacznie bardziej poważne niż tylko „wyrwanie się”, Auroro. Młodzieńcza miłość, wiedziałam, że nigdy nie dostanę tego człowieka, choć kochaliśmy się gorąco. Ale zmuszono mnie do poślubienia księcia Holstein-Gottorp.

Nic więcej nie chciała powiedzieć. Prędko zmieniła temat rozmowy i odwróciła się do pozostałych.

— Jak mnie odnaleźliście? Jak tu trafiliście? Sądziłam, że zatarłam za sobą wszelkie ślady.

— Rzeczywiście sporo wysiłku nas to kosztowało, wasza wysokość — odparł Erling. — Uważaliśmy jednak, że to konieczne. Tylko pani może nam wyjaśnić,

dłaczego ktoś od wielu lat nastaje na życie Tiril.

— Ja tego nie rozumiem — Theresa zmarszczyła brwi. — Chyba sporo musimy sobie wzajemnie wyjaśnić.

— To prawda — zgodził się Móri. — A czasu mamy mało.

Zatroskani pokiwali głowami.

Książę Adolf Holstein-Gottorp musiał na chwilę przeprosić pannę Uggłę, tę w żółtej sukni. Widocznie ze zbyt dużym zapałem udzielał się w tańcach, bo żołądek znów zaczął dawać mu się we znaki. Ból umiejscowił się po prawej stronie, pod żebrami. Książę odczuwał nieprzemogłą ochotę, by zgiąć się wpół, dokucały mu mdłości, a brzuch miał napięty jak bęben.

Muszę iść do moich komnat, zażyć krople, które ze sobą przywiozłem, lekarstwo, myślał. Bardzo nie w porę, akurat złapałem pannę Uggłę na haczyk. Prawie już dojrzała do tego, by zaprosić mnie do swego buduaru.

Przekleństwo! Dlaczego Pan zesłał na mnie tę chorobę? Naprawdę na nią nie zasłużyłem. . .

Choroby księcia nie spowodowała jednak wola Pana, lecz nieumiarkowanie w jedzeniu i piciu oraz rozpustny tryb życia. Słone, tłuste mięso popijał dużą ilością wina, lecz czyż nie miał do tego prawa? Musiał wszak żyć!

Książę Adolf wędrował korytarzami, przyciskając rękę do nieszczęsnej wątroby. Czy ci przekłeci, prymitywni Norwegowie nie słyszeli nigdy o czymś takim, jak oświecenie mrocznych przejść? Czuł, że goni go za potrzebą, nie miał czasu, by opuścić wcześniej salę balową, musiał wszak nadskakiwać pannie Uggli, kuć żelazo póki gorące. . .

Książę nie chciał sam przed sobą przyznać, że tego wieczora pochłonał całe morze wina. Wściekły mamrotał tylko pod nosem, przeklinając nierówności w posadzce i mury, które na niego wpadały. Potykał się, przewracał i znów wstawał, użalając się nad swym marnym losem.

— Znów będę musiał oglądać tę moją okropną żonę mamrotał. — Patrzy na mnie z wyrzutem, ale czego innego się spodziewała? Miałem oczywiste prawo przywołać ją do porządku, kiedy bezwstydnie ośmieliła się twierdzić, że będę za dużo pił. Do czorta, ale mi niedobrze, czy w tym prehistorycznym zamczysku nie ma choć krztyny świeżego powietrza?

Cóż za straszni ludzie muszą mieszkać w takiej puszczy? Zacołani barbarzyńcy, którzy nawet nie znają słowa kultura. Tacy jak ten. . . ten. . . O czym to ja myślałem? Ten prymityw dookoła nie pozwala się nawet skupić. O, już wiem, ta tabakiera, którą wyciągnął któryś z norweskich oficjeli. Owszem, srebrna, ale taki chłopski wzór! Śmieszne! Do diabła, jakże trudno utrzymać równowagę w tych wieśniaczych korytarzach! A żona drugiego, także Norweżka, zaczęła rozmawiać z sąsiadem, zanim Jego Królewska Mość dał znak!

Cóż za nieprawdopodobny brak kultury!

Nie wspominając już o strojach! Takie staromodne, że...

Ojej, znowu upadłem! Uderzyłem się w moje biedne kolano! Gdzie ja jestem, dokąd idę, to przecież nie Gottorp, do stu piorunów.

Aha, Norwegia! Kraina wieśniaków na północy. Panna Uggla, tak, to sympatyczna dama! Okrągłe biodra... Cóż za nierówne podłogi, nie potrafią nawet zbudować zamku!

Okropnie się czuję, na pewno jedzenie było nieświeże, ale czegoż innego się spodziewać? Pęcherz o mało mi nie pęknie, może szedłem do ustępu? O, tak, to chyba tu. Wspaniale, nareszcie, tylko te spodnie, nienawidzę tego stroju. Przez to czasami zdarza mi się nie zdążyć. Okropne!

Kłopot ze znalezieniem odpowiedniego miejsca do dalszej rozmowy rozwiązała Aurora.

— Musimy wracać na salę balowa, zanim podadzą wieczerzę, inaczej wszyscy zostaniemy oskarżeni o obrazę majestatu. Ale do mojej rodziny należy małeńki zaniedbany dworek w pobliżu Christianii, spadek po kimś, kto się wzenił w ród. Czy nie możemy się tam spotkać... no tak, najlepiej jeszcze dzisiejszej nocy?

— Doskonale — ucieszył się Erling. — Opuścimy Akershus, gdy tylko to będzie możliwe. Hrabianka Aurora, wskaże nam drogę.

Pokojówka ostrzegawczym gestem położyła nagle palec na ustach. Zdrętwieli.

Z korytarza dobiegło ich czyjeś mamrotanie, raz ciche, to znów głośnie, pełne złości. A potem plusk, jakby wylewano coś na mur.

— *Mein Gott*, jego wysokość znów nie trafił do ustępu — szepnęła wzburzona pokojówka.

Theresa na moment przymknęła oczy, ale zaraz otworzyła je przerażona.

— Mój mąż! A mnie nie ma w pokoju! Co robić?

Natychmiast poderwała się Catherine.

— Proszę pozwolić mi się nim zająć. Nie wejdzie do pani komnat, księżno. Zaprowadzę go z powrotem na salę balową. Mogę udawać, że mieszkam w tym pokoju, prawda?

Theresa zatrzymała baronównę.

— Prawdopodobnie przyszedł po swoją miksturę. Jest w szyfonierze, w malej szufladzie z lewej strony.

Załatwię to, proszę mi zaufać!

Nikt nie wątpił w umiejętności Catherine.

Gdy tylko odgłosy z korytarza umilkły, baronówna opuściła pokój. Ujrzała księcia mocującego się ze spodniami. Z wielkim trudem starał się utrzymać na nogach.

— Ach, oto i nasz czarujący książę! — zaszczębiotała Catherine uwodzicielskim głosem. — Jak miło tu pana spotkać!

— Hmm — mruknął książę Adolf. Pomimo ciemności zorientował się, że ma do czynienia z młodą, interesującą damą i starał się jak najprędzej doprowadzić do ładu ubranie.

— Czy wasza wysokość zmierza do księżnej? Właśnie do niej zaglądałam, jej wysokość zasnęła i może nie należy jej przeszkadzać. . .

— Nie przeszkadzać? — oburzył się. — A co ze mną? Potrzebuję mojej mikstury.

— Wiem o tym — ćwierkała Catherine. — Jej wysokość wspominała, na wypadek gdyby książę gorzej się poczuł, że krople są w szufladzie z lewej strony. Czy mam je przynieść?

Książę, który z początku nie mógł pojąć, co ta czarująca dama robi w ustępie, zdołał wreszcie zebrać przesiąknięte oparami wina myśli.

— O, tak, bardzo dziękuję za uprzejmość, rzeczywiście źle się poczułem, a nie chciałbym zakłócać spokoju mojej. . . żony. Z pewnością czymś się zatrąłem.

Catherine okazała mu pełne zrozumienie i jak strzała pomknęła do komnaty księżnej. Książę nie zorientował się, że zabawiła tam dość długo, stracił wszelkie poczucie czasu.

Catherine poufale ujęła pod ramię zataczającego się mężczyznę i poprowadziła go z powrotem ku sali balowej.

— Strasznie tu czuć uryną — stwierdził książę, który zdążył już zapomnieć o swym ostatnim wybryku. — I to ma być zamek? A z kim, jeśli wolno zapytać, mam przyjemność?

Zawsze elegancki wobec pięknych młodych kobiet, zdołał wziąć się nieco w garść.

— Jestem baronówna Catherine van Zuiden, wasza wysokość.

Przystanął gwałtownie i Catherine w ostatniej chwili podtrzymała go, by nie zwałił się na ziemię.

— Co takiego? Mała grzesznica we własnej osobie? — zacmokał uradowany, próbując dłużej zatrzymać na niej wzrok. — Ależ to znaczy, że nie musimy chyba od razu wracać na bal?

— Wasza mikstura, książę — przypomniała Catherine i pociągnęła go dalej. — Oto i karafka z wodą, proszę skorzystać z okazji i zażyć kropelki.

Książę usłuchał.

— Często choruję, panno van Zuiden. Medyk zaordynował mi te krople na wypadek, gdybym poczuł się gorzej.

Skrzywił się, przetykając lekarstwo.

— Faj! Obrzydliwe, gorsze niż zazwyczaj!

Z wielkim trudem dobrnęli wreszcie do drzwi sali balowej. Tam Catherine puściła księcia.

— Proszę wejść do środka, a ja tymczasem troszkę się przypudruję! Zaraz przyjdę. W dodatku na księcia czeka chyba panna Uggla?

— Ugla¹? Sowa? — sapnął. — Jaka sowa?

— Ta w żółtej sukni — łagodnie przypomniała Catherine. Spojrzenie księcia stało się, o ile to możliwe, jeszcze bardziej rozmyte.

— Aaa, panna Uggla! Oczywiście! Phi, a cóż ona nas obchodzi? Nam dwojgu będzie razem o wiele przyjemniej.

Próbował złapać Catherine za ramię, lecz trafił w próżnię.

— Może i tak — uśmiechnęła się kokieteryjnie. — Teraz jednak muszę wracać do siebie. Zobaczymy się podczas tańców, księżę Adolfie!

Wepchnęła go za drzwi sali balowej i pobieгла z powrotem.

Przyjaciół wraz z Aurorą spotkała w korytarzu. Spieszyli właśnie na późną kolację, dołączyła więc do nich. Księżna Theresa wraz z pokojówką zamierzały wkrótce opuścić zamek. Aurora nakazała służącemu, by towarzyszył paniom do jej domu za miastem. Później miał wrócić do pozostałych.

— Wspaniale — pochwaliła Catherine. — Prawie sobie radzicie beze mnie!

— Nieprawdopodobne — mruknął Móri.

Dotarli na salę balową w porę, nie wywołując skandalu. Nawet jeśli ktokolwiek zwrócił uwagę na ich długą nieobecność, to w każdym razie nikt tego nie skomentował.

Tiril, wzburzona, zajęła to samo miejsce, co poprzednio w czasie uczy — między Mórim a Erlingiem. Catherine sprawiała wrażenie ogromnie podnieconej, szczebiotała, śmiała się i flirtowała z sąsiadem, ale Tiril nie była w stanie przełknąć ani kaska. Rozmyślała o długo wyczekiwanym spotkaniu z matką, o tym, że jej życie nagle zostało postawione na głowie. Przyszłość pokaże, czy zmieni się na lepsze, czy na gorsze.

Księżę Adolf stanowił oczywiście nie lada kłopot. Matka i córka nie mogły być razem.

Tiril starała się przekonać samą siebie, że nie wolno jej widzieć wszystkiego w czarnych barwach, najważniejsze, że już spotkała matkę.

Cieszyła się, lecz jednocześnie i bała. Tak wiele należało wyjaśnić.

Nagle przy drugim z długich stołów, za plecami Tiril, powstało zamieszanie. Dziewczyna i jej przyjaciele odwrócili się, żeby zobaczyć, co mają znaczyć nagłe krzyki i gwałtowne odsuwanie krzeseł.

Przy drugim stole jakiś mężczyzna opadł na swój talerz. Ktoś usiłował podnieść jego bezwładną głowę, ale w rękę została mu tylko peruka. Po kolejnej próbie skonstatowano, że ów człowiek nie żyje.

¹Ugle (norw.) - sowa.

— Należało się tego spodziewać — szepnął ktoś cicho, zebrani pokiwali głowami.

Przyjaciele spostrzegli wreszcie, że zmarłym jest małżonek Theresy, książe Adolf von Holstein-Gottorp.

— Och, nie — szepnęła Tiril.

Co teraz będzie z ich potajemnym spotkaniem? Należy powiadomić Theresę, obowiązuje ją żałoba. . .

Móri nie patrząc na baronównę van Zuiden szeptał niemal bezgłośnie:

— To było niepotrzebne, Catherine. Za rok i tak by umarł.

— Za rok? — syknęła w odpowiedzi. — Theresa miałaby czekać aż tak długo? A właściwie o co ci chodzi? — spytała, trochę za późno.

— To jad lub naparstnica albo mieszanka obu ziół. Rozpoznaję objawy. To bardzo bolesna śmierć, Catherine. — Tym lepiej.

Rozdział 9

„Maleńki zaniedbany dworek” Aurory okazał się dworem o standardzie, który w pełni dało się zaakceptować. Położony był na wschód od Christianii w pobliżu przypominającego park lasku. Matka Tiril i jej pokojówka już na nich czekali. Po drodze w tajemnicy zabrali z pensjonatu także Nera.

Uzgodnili, że muszą powiedzieć Theresie o śmierci księcia Adolfa, innego wyjścia nie było. Gdyby przemilczeli ten fakt, mogłoby to ich później postawić w złym świetle.

Weszli do hallu. W środku łatwiej dało się dostrzec, że dom od jakiegoś czasu stał nie zamieszkanym, wyczuwało się to także po zaduchu. Bez wątplenia jednak urządzono go wytwornie i ładnie.

Theresa na wieści, jakie jej przekazali, pobladła.

— To znaczy, że muszę wracać na Akershus. I to natychmiast!

— Zastanówmy się — przerwała jej Aurora, najwidoczniej mistrzyni porządkowania spraw. — Okazało się, że nikt cię tu w Norwegii nie widział. Powszechnie przyjęto, że zostałeś w Gorttorpie.

Księżna nieco się odprężyła, ale w jej oczach wciąż tkwił niepokój.

— Mimo wszystko powinnam jechać. Ze względu na szacunek dla niego.

— Twój mąż za życia nigdy nie myślał o szacunku. Nic mu nie jesteś winna! A teraz z pewnością nie obchodzi go, czy jesteś tam, czy nie. Należy przyjąć, że o niczym nie wiesz, i nie dowiesz się, dopóki jutro nie wrócisz na zamek. Jeśli pojedziesz teraz, trudno ci będzie spotkać się z tymi młodymi ludźmi.

Przekonanie Theresy i uciszenie jej wyrzutów sumienia zajęło dobrą chwilę, księżna bowiem nie potrafiła szczerze rozpaczać nad śmiercią małżonka i z tego powodu było jej ogromnie przykro.

Po jakimś czasie, kiedy odpoczęła w samotności w ciemnym pokoju, dołączyła wreszcie do pozostałych, zgromadzonych w skromnie umeblowanym, zakurzonym salonie.

— Nie chcę rozmawiać o śmierci mego męża — oświadczyła kategorycznie.

— Zajmę się tym jutro. Teraz najważniejsi jesteśmy my.

— Doskonale, wasza wysokość — rzekł Móri. — W pełni rozumiemy pani

trudną sytuację i nie będziemy już więcej o tym wspominać.

— Dziękuję — odparła, dostojnym gestem wskazując, by zajęli miejsca. Jasne dla wszystkich się stało, że całym sercem i duszą jest Habsburżanką, osobą z cesarskiego rodu. — Najpierw chcę poznać historię mojej córki. Wiedźcie, że wszelkie informacje, jakie otrzymywałam na jej temat od mego zaufanego człowieka, nie pozostawiały wątpliwości, iż Tiril nie mogła trafić lepiej.

Po długiej, kłopotliwej chwili milczenia, jakie zapadło, zorientowała się, że tak nie było. Westchnęła z drzeniem, przygotowując się na usłyszenie przykrej prawdy.

— Chyba niczego mi nie brakowało — zaczęła Tiril w zamyśleniu. — Oprócz miłości, czułości i zrozumienia. Moimi jedynymi przyjaciółmi byli siostra Carla i Nero.

Księżna słuchała zdumiona.

— A twoi przybrani rodzice? Dostali jak najlepsze referencje! Twój przybrany ojciec, któremu nadałam tytuł konsula, poza regularnie przekazywanymi wpłatami za zajęcie się tobą otrzymał pokaźną sumę.

Pokręcili głowami. Tak ciężko było rozpocząć opowieść, księżna już tyle wycierpiała. Przez te lata pocieszała ją jedynie pewność, że córka dorasta w bezpiecznym domu.

— Carla, przybrana siostra Tiril, przed kilku laty popełniła samobójstwo — rzekł w końcu Erling. — Z powodu ciężkiej sytuacji w domu.

— Co wy mówicie? — jęknęła Theresa. — I przecież psa, Nera, nie możesz mieć od dawna?

— Od jakiegoś czasu — odparła wymijająco dziewczyna. Nie chciała na razie wyjawiać, że Nerowi przedłużono życie.

— Jak strasznie musiałaś być samotna! — wykrzyknęła Theresa z rozpaczą. — A ja nic o tym nie wiedziałam!

— Wasza wysokość — przerwał jej Erling. — Musimy się dowiedzieć, kto był pani pośrednikiem. Tak wiele pozostaje niejasności.

Theresa podniosła głowę; na twarzy, okaleczonej przez księcia, lata udręki zostawiły wyraźne ślady. Popatrzyła na Erlinga.

— Dlaczego chcecie to wiedzieć? — spytała ze smutkiem.

— Ponieważ ten człowiek musiał mieć za długi język. Przynajmniej dwie osoby wiedzą o wszystkim.

— Trzy — poprawił go Móri. — Na dzisiejszej uczcie był jeszcze jeden, ważniejszy.

— Nic z tego nie rozumiem.

— To znaczy, że pani pośrednik, bankier, nie został zaproszony na zamek?

— On jest już za stary na bale. Ledwie się rusza.

Popatrzyli po sobie. Kolejna teoria legła w gruzach.

Nocny mrok przyklejał się do szyb, twarze siedmiorga oświetlał blask świec. Pokojówka także się do nich przyłączyła, uprzednio napaliwszy w kominku. Jesienne chłody dawały się już we znaki.

— Opowiedzcie mi o życiu Tiril — zażądała Theresa. — Chcę poznać całą prawdę.

Niechętnie zaczęli mówić, nawzajem uzupełniali własne słowa. W końcu zarysował się obraz młodziutkiej, samotnej dziewczyny, niepodobnej do nikogo z rodziny, miłej, wesołej, życzliwej ludziom, potrafiącej oddać odepchniętym i potrzebującym wszystko, co miała, czasami nawet rzeczy będące własnością przybranych rodziców. Jedną z jej charakterystycznych cech była miłość do zwierząt, a szczególnie do Nera. Theresa pochyliła się i pogłaskała psią głowę, ocierając przy tym oczy przemoczoną łzami chusteczką. Tragedia Carli wstrząsnęła nią do głębi.

O lichwiarzu jednak księżna nic nie wiedziała.

— No tak — kiwnął głową Erling. — Właściwie już wcześniej byliśmy przekonani, że konsul Dahl wygadał się podczas jakiejś libacji, może przy okazji ciągnięcia pożyczki u lichwiarza. Z pewnością pożyczał od niego gotówkę, prowadził wystawne życie, wydawał okazałe uczy, by przypodobać się bergeńskiej śmietance. Ale lichwiarz nie miał bezpośredniego związku z całą sprawą, natomiast jego nieustępliwość zmusiła zapewne konsula do wyłudzenia pieniędzy od kogoś innego z kręgu znajomych waszej wysokości. A kiedy okazało się, że lichwiarz wiedział za dużo o pochodzeniu Tiril, musiał zginąć.

Theresa spoglądała na nich wstrząśnięta. Słyszała o tym wszystkim po raz pierwszy.

A kiedy doszli do napaści konsula na Tiril, nie mogła już dłużej nad sobą panować. Przytuliła córkę, błagając ją o wybaczenie.

— Powinam była przyjąć na siebie wstyd i upokorzenie — powtarzała. — Dla konwenansów poświęciłam swe jedyne dziecko. Ach, jakże gorzko tego żałowałam!

Słyszając, jak Erling i Móri niemal jednocześnie zaopiekowali się Tiril, starając się jej pomóc, Theresa, by wyrazić swą wdzięczność, chciała oddać im cały swój majątek.

Nie potrafiła jednak wyjaśnić, dlaczego dwaj nieznajomi mężczyźni prześladowają Tiril i za wszelką cenę chcą ją zabić. Jasne było, że w murze tajemnicy powstała wyrwa, ale gdzie, w jakim miejscu?

Coraz bardziej oczywiste się stawało, że muszą porozumieć się z osobą, za której pośrednictwem Theresa przekazywała konsulowi środki na utrzymanie córki. Postanowili zająć się tym nazajutrz.

Theresa, Tiril i Móri siedzieli razem na jednej kanapie, Erling, Catherine i Aurora na drugiej, a pokojówka przycupnęła na krześle. Wszyscy słuchali z uwagą.

Opowiadali teraz, jak doszło do wmieszania się Catherine w całą historię i jak dzięki jej pomocy udało im się odnaleźć właściwą akuszerkę.

— A więc to od niej dostaliście naszyjnik? — dziwiła się Theresa. — Tiril nie zabrała go ze sobą do Bergen?

— Akuszerka w wyniku nieporozumienia nie przekazała szafirów — wyjaśnił Móri i dodał bardziej surowym głosem: — Ale Tiril w spadku po waszej wysokości otrzymała coś jeszcze.

— Coś jeszcze? — powtórzyła zdziwiona Theresa. Wyglądała jak jeden wielki znak zapytania.

— Kawałeczek figurki demona.

Księżna nic nie pojmowała. Widać było, że z całych sił usiłuje wydobyć z pamięci obrazy przeszłości.

— Zdaje się, że to pamiątka po rodzie Habsburgów.

— Habsburgów?

W końcu twarz jej rozjaśnił uśmiech.

— Już wiem! Zmyliło mnie określenie „figurka demona”. Nie wiedziałam, że ten kamienny odłamek był częścią czegośkolwiek. Dał mi go mój ojciec na łożu śmierci. Jedyna z jego dzieci byłam wtedy przy nim. Sądziłam, że to zniszczona zabawka, którą mój ojciec chciał przekazać kolejnym pokoleniom, podarowałam ją więc mej nowo narodzonej córce.

— To nie zabawka — oświadczył Erling. — Częstka miała o wiele większe znaczenie.

— Może i tak. Może w istocie była ważna — rzekła Theresa w zamyśleniu. — Ojciec podkreślał, że za wszelką cenę nie powinna wpaść w niepowołane ręce.

— To bardzo interesujące! Wymieniła też pani przy akuszerce nazwę Tistelgorm.

— Naprawdę? — spłoszyła się. — Nic z tego nie pamiętam, ale... Mogłam to zrobić. Rzeczywiście, ojciec mój wspomniał o Tistelgorm... Chociaż nie, to brzmiało jakoś inaczej!

— Tiersteingram — odpowiedziała Tiril.

— O, tak, właśnie tak. Ojciec opowiadał tyle baśni, głównie one mi się z tą nazwą kojarzą. A wówczas, leżąc na łożu śmierci, wspomniał o Tiersteingram, dając mi ten kawałek kamienia. Nie wiedziałam, o co mu chodziło, ale bardzo prawdopodobne, że powtórzyłam to słowo przekazując odłamek memu jedynemu dziecku. Może nawet powiedziałam „Tistelgorm”.

Erling pokiwał głową.

— Okazało się, że ten kawałek kamienia w istotny sposób wiązał się z Tiersteingram.

Theresa popatrzyła nań pytająco, ale wtrąciła się Catherine.

— Powiedziała pani także: *Andenken ihres Vaters*.

— Chodziło o szafiry — pospiesznie wyjaśniła Theresa.

— Nie ma to nic wspólnego z odłamkiem.

Najwyraźniej nie chciała w ogóle mówić o ojcu Tiril, albo też i nie miał on widać żadnego związku z zamczyskiem w Tiveden ani z prześladowcami Tiril.

Erlinga zirytowało nieco odejście od tematu.

— Mówiliśmy o figurce demona — przypomniał. — O Tiersteingram.

— Ależ moi drodzy — księżna nie mogła się połapać. — Czy mamy teraz czas na takie rozważania?

— Niestety, ta historia zdaje się mieć bardzo istotne znaczenie, jeśli chodzi o nagonkę na Tiril — wyjaśnił Erling. — Niewiele z tego rozumiemy, dlatego prosimy waszą wysokość o pomoc. Co ojciec na łożu śmierci powiedział o tym kawałku kamienia?

Księżna starała wziąć się w garść.

— On... Zaraz, zaraz... mamrotał coś, zrozumiałam jedynie, że częśćka figurki znalazła się w posiadaniu Habsburgów już pod koniec jedenastego wieku, kiedy Ita, córka Wenera Pierwszego z Habsburga, poślubiła grafa Rudolfa von Tierstein. Podobno ojciec grafa był potężnym czarnoksiężnikiem, tak jak drugi z jego synów, brat Rudolfa...

Skinieniem głowy potwierdzili jej słowa. Oni także już to odkryli. Nareszcie jednak mogli umiejscowić budowę Tiersteingram w czasie.

Theresa podjęła:

— Ojciec podkreślał, że muszę przekazać kamień w spadku memu pierworodnemu dziecku. Ach, moi drodzy, jak mogłam o tym wszystkim zapomnieć? Dobrze, że pomogliście mi wydobyć wspomnienia z pamięci, zwłaszcza jeśli ma to związek z tym, co dzieje się wokół Tiril.

Podczas całej tej rozmowy księżna co rusz wybuchała płaczem. Teraz znów zalała się łzami. Cierpliwie czekali, aż się uspokoi, zdawali sobie sprawę, jak bardzo musi być jej trudno. Odnalazło się wszak jej wytęsknione dziecko.

— Tiersteingram... Nie bardzo pamiętam tę baśń.

— To także jakaś baśń? — spytała Catherine na poły z rozczarowaniem. — Przekonaliśmy się już, że to znacznie...

Erling uciszył ją gestem.

— Co to za baśń? — spytał łagodnie.

Czekali w spokoju. Płomienie świec ani drgnęły w ciszy, jaka zapadła. Aurora, która od dawna już nie powiedziała ani słowa, siedziała w swoim kątku kanapy i przyglądała się Theresie z życzliwą ciekawością. Pokojówka z całych sił starała się skupić. Tiril ledwie śmiała oddychać. Nawet Catherine usiłowała się nie wiercić. W fascynującej twarzy Móriego pod czarnymi kędziorami płonęły oczy.

— Czy tę baśń opowiadał waszej wysokości ojciec, kiedy była pani małą dziewczynką?

— Tak, byłam jeszcze dzieckiem.

— Nic dziwnego więc, że niewiele pani pamięta. A może jest pani śpiąca, księżno?

— Śpiąca? Teraz? O, nie, daleko mi do snu.

Erling uśmiechnął się ze zrozumieniem.

— W tak ważnej chwili opowiadanie baśni może się waszej wysokości wydać niemądre, lecz proszę mimo wszystko spróbować. Podejrzewam, że rozwiązanie zagadki dotyczącej Tiril może tkwić właśnie w niej.

Theresa pokiwała głową i zaczęła mówić.

— Było kiedyś morze...

Popatrzyli po sobie.

— Brzeg? — cicho spytał Móri. — *Ufer*?

— Tak — odparła zdziwiona. — Rzeczywiście, chodziło jakiś szczególny brzeg. Mówiłam już, że ojciec opowiadał mi tę baśń, kiedy byłam dzieckiem, i niestety wszystko mi się miesza.

— Potrafimy to zrozumieć — uspokoił ją Erling. — A gdzie znajdował się ten brzeg?

— Morze — poprawiła go, sięgając głębiej do pamięci.

— Dobrze, jak pani sobie życzy. Brzeg morza. Gdzie się on znajdował?

— Ależ przecież to tylko baśń!

— Tiersteingram wcale nie było baśnią. Odnaleźliśmy zamczysko, tylko później nazwano je Tistelgorm.

Theresa usiłowała się skupić.

— Kiedy tak rozmawiamy, coraz bardziej rozjaśnia mi się w głowie. Baśń opowiadała, że ludzie mieszkający w okolicach zamku nazywali go właśnie Tistelgorm. Jest więc bardzo prawdopodobne, że tego właśnie określenia użyłam przy akuszerce. Naprawdę odnaleźliście to baśniowe zamczysko? Gdzie?

— Dojdziemy do tego, najpierw prosimy opowiedzieć nam baśń.

Znów przyszło im czekać. Zza okna dobiegał szum deszczu, pomyśleli o gościach, którzy w uroczystych strojach muszą się po balu dostać do domu.

— Zacznę chyba od śmierci mego drogiego ojca — oznajmiła wreszcie Theresa. — Lepiej już pamiętam wydarzenia jej towarzyszące, lecz z pewnością nie będzie to idealny obraz.

— Czy wasza wysokość była bardzo przywiązana do ojca?

— Właściwie tak. Ale on wcześniej zdecydował, że poślubię księcia von Holstein-Gottorp, i przez to popadłam z nim w konflikt. Co prawda w tym czasie nie spotkałam jeszcze... nie spotkałam... ojca Tiril.

Zniżyła głos i pochyliła głowę tak, by nie mogli widzieć jej twarzy.

Erling spróbował oderwać ją od przykrych wspomnień.

— Ile lat miała wasza wysokość, kiedy jej ojciec zmarł?

Zastanowiła się chwilę.

— Dwanaście, może trzynaście.

— Rzeczywiście trudno jest przypomnieć sobie wydarzenia z tak wczesnej młodości.

— To prawda, ale postaram się.

Usiadła wygodniej. Szczupłą dłoń wyciągnęła w kierunku Tiril, dziewczyna nieśmiało się przysunęła. Księżna ujęła córkę za rękę.

— Wezwano mnie do ojca. Wyglądał strasznie. Twarz miał poszarzałą, wymizerowaną, ciężko oddychał. Mówienie przychodziło mu z ogromnym trudem, dlatego tak niewiele pamiętam.

— Oczywiście — uspokajał ją Móri.

Na wargach księżnej pojawił się cień uśmiechu, dziękowała za zrozumienie.

— Powiedział — pamiętajcie, nie przekazuję wam tego dosłownie — że jako jedyna z jego dzieci przebywam w zamku Hofburg, pozostali nie zdążyli dojechać. Słabnącą dłonią wskazał na nocny stolik, na którym leżał ten kawałek kamienia. „Pamiętasz baśń o morzu, które nie istnieje?” — spytał niewyraźnie. Potwierdziłam.

— Morze, które nie istnieje? — powtórzyła Aurora, równie zaciekawiona jak pozostali, choć nie bardzo wiedziała, o co w tym wszystkim chodzi. Ale i oni także niewiele rozumieli.

— Tak brzmiały słowa baśni. Szepnął potem: „Przełącz to w spadku... twemu pierworodnemu dziecku...”

Na twarzy Theresy pojawił się wyraz goryczy.

— Urodziłam tylko jedno dziecko, którego nie wolno mi było zatrzymać przy sobie. Pamiętałam jednak o obietnicy złożonej ojcu i kiedy potajemnie przyjechałam do Norwegii na czas połogu, zabrałam ze sobą kamienny odłamek. Wraz z naszyjnikiem z szafirów, mą najdroższą pamiątką. Dziecko miało go dostać... gdyby okazało się dziewczynką.

Erling wtrącił jak najdelikatniej:

— Zrozumieliśmy, że wasza wysokość nie życzy sobie rozmowy o ojcu Tiril. Mam tylko jedno pytanie: Czy on wie o dziecku?

— Nie — prędko zapewniła go Theresa. — Powiadamanie go nie było moją sprawą. Mimo wszystko jednak musiał zrozumieć... ale nie! To nie było moją sprawą!

Cóż za niezwykle słowa! Nikt jednak nie pytał o nic więcej.

Spostrzegli, że księżna pomimo opuchlizny i sińców na twarzy jest piękną kobietą. Wróciła do swej opowieści.

— Wybaczcie tę dygresję, mieliśmy mówić o Tistelgorm. Tak więc mój ojciec tuż przed śmiercią wymienił tę nazwę. Powiedział, że z Tistelgorm łączy się fragment kamienia. Odrzekłam mu, że chyba nic rzeczywistego nie może łączyć się z baśnią, na co on mi odpowiedział, że Tistelgorm należy do dwóch różnych epok, które mimo wszystko wiążą się ze sobą. Więcej nie chciał mi wyjaśniać, wiedział, że jego czas na ziemi dobiega już końca. Leżał na wznak, wpatrywał

się w sufit i wymawiał już tylko pojedyncze słowa: „Brzeg, Thereso. Brzeg nad morzem. W północnych krajach. Tam jest Tistelgorm”

— Wszystko się zgadza! — ożywiła się Catherine. — Byliśmy w Szwecji i znaleźliśmy Tistelgorm, czy jak tam zwać to przekłete zamczysko. Ale nie było tam żadnego brzegu nad żadnym morzem!

— No tak, trudno o morze w środkowej Szwecji — odezwała się Tiril. — Są tam jeziora, Wener i Wetter. Ale do mórz stamtąd daleko.

— W jaki sposób odnaleźliście Tistelgorm? — z zainteresowaniem spytała Theresa. — I co tam znaleźliście?

Opowiedzieli o trzech częściach figurki demona. Kiedyś przed wiekami otrzymali je trzej bracia von Tierstein. Jedna trafiła do rodu Habsburgów i w ten sposób do Tiril, druga znalazła się w posiadaniu Catherine, a trzecia musiała pozostać tam, gdzie mieszkał trzeci brat, czarnoksiężnik, i tak w istocie było.

Theresa, zdumiona, zwróciła pokiereszowaną twarz do Móriego, który mówił jako ostatni.

— A więc mamy Tiersteinów, złych czarnoksiężników, ojca i syna. Ten z braci, który wżenił się w nasz ród, był, zdaje się, spokojnego usposobienia. Usiłuje sobie przypomnieć coś więcej, lecz mój umysł odmawia współpracy.

— Noc jest już późna.

— Naprawdę? To nie ma żadnego znaczenia. Ale co tam znaleźliście?

Opowiedzieli jej całą historię, o tym jako mały włos Catherine i Tiril nie padły ofiarą młodszego hrabiego, a raczej jego ducha. I o ostatnich odkryciach Móriego, napisach na starych zwojach pergaminu. Znaleźli tam słowa, częściowo zapisane pismem runicznym: ERBE, dziedzictwo, UFER, brzeg, i niezrozumiały urywek ... IMVR.. a może ... EMUR... Więcej odcyfrować nie zdołali, bo pergamin był zniszczony. No, i jeszcze rysunek promienistego słońca.

— Wszystko się zgadza, to wręcz okropne — zadrżała Theresa.

— Znaleźliśmy też coś jeszcze — rzekł z wahaniem Móri i wyjął kawałek papieru, na który przeniósł wzór narysowany na tylnej ścianie drewnianka z magicznym znakiem. — To właśnie wyryto na ścianie w komorze grobowej starego hrabiego. Tiril i ja doszliśmy do wniosku, że relief przedstawia jakiś labirynt.

Wszyscy pochylili się nad stołem.

— Może i racja, że kiedyś przedstawiał labirynt — stwierdził Erling. — Ale teraz większość linii już się zatarła.

— Nie! — gwałtownie zaprotestowała Theresa. — Baśń! To jest ta baśń!

Patrzyli na nią nic nie rozumiejąc.

— To nie jest wcale labirynt — mówiła z zapałem. — Naprawdę nie widzicie, co to kiedyś było?

Jedyną odpowiedzią było jeszcze większe zdumienie zebranych.

— Przynies mi pióro — poprosiła pokojówkę coraz bardziej podniecona. — I kawałek papieru. Uzpełnię rysunek o brakujące kreski, a nie chcę niszczyć

oryginału.

Rozpoczęto poszukiwania i już wkrótce księżna otrzymała potrzebne przybory. Siedem głów o włosach rozmaitych odcieni pochyliło się dookoła stołu.

Księżna pewną ręką naszkicowała rysunek Móriego. Nie poprzestała jednak na tym, uzupełniła zatarte fragmenty wzoru.

Theresa miała zdolności do rysunków, lecz nie to było w tej chwili najważniejsze. Na ich oczach, za kolejnymi pociągnięciami piórka, ukazywał się imponujący szkic, wąski a długi, taki jak ten, który widzieli w krypcie w Tistelgorm.

Brzeg morza. Stylizowane fale, przedstawione w sposób przypominający technikę japońskich mistrzów.

Z morza, z kolejnych przybijających do brzegu fal, wyłaniały się szeregi dumnych postaci, wszystkie pod ostrym kątem zwracały twarze ku oglądającemu rysunek. Na samym przedzie dostojne, wysokie istoty w udrapowanych, długich do kostek szatach. Krocząca przodem niosła w dłoniach olbrzymią kulę. Za nimi maszerowali mężni wojownicy, odziani w identyczne stroje: krótkie, skórzaste tuniki, szerokie naramienniki. Nogi mieli gołe. Wszyscy zmierzali na brzeg, pierwsze oddziały wyszły już z wody, ostatnim nad powierzchnię wystawały dopiero głowy. Na niebie unosiły się kłębiaste chmury, to one wraz z falami stwarzały złudzenie labiryntu. Od kuli rozchodziły się promienie.

Theresa zakończyła dzieło.

Głęboko westchnęli.

— I cóż to ma wyobrażać? — zachodziła w głowę Catherine.

— Skąd wasza wysokość mogła to wiedzieć? — dopytywał się Erling. — Czy księżna była w Tistelgorm?

— Nie, nie. Widziałam ten rysunek już jako dziecko. — Theresa uśmiechnęła się widząc ich zdumienie. — Był wygrawerowany na wielkim srebrnym kielichu, który mieliśmy w domu, w Hofburgu. Motyw biegł dookoła kielicha, dlatego narysowałam go jako długi, wąski pasek.

— Taki sam był podłużny relief w komorze grobowej — mruknął Erling.

— Kielich niestety zniknął. Długo go szukano, rodzina bowiem uważała go za bardzo cenny. Został skradziony podczas pobytu jakichś gości, kogoś widocznie skusiła baśń, odwzorowana na prastarym naczyniu. Nikt nie wiedział, ile kielich mógł liczyć sobie lat, był własnością rodu, odkąd sięgano pamięcią.

Móri szepnął coś, tylko Tiril zrozumiała słowa:

— Pudełko w pudełku, w pudełku, w pudełku, w pudełku. . .

Tym razem skłonna była się z nim zgodzić. Im bardziej udawało się im zbliżyć do rozwiązania jej zagadki, tym więcej nowych zagadek się pojawiało.

— Najlepiej chyba będzie, jeśli wasza wysokość opowie nam teraz całą baśń — stwierdził Móri ze złowieszczym spokojem.

— Tak mało z niej pamiętam. Zbyt mało. Ale spróbuję przekazać przynajmniej to.

Tiril miała wrażenie, że serce jej się zaciska. Cała sytuacja sama w sobie była nierzeczywista, a teraz jeszcze mieli słuchać baśni!

Theresa z całych sił starała się skoncentrować, w końcu westchnęła zirytowana.

— Niestety, to niemożliwe! Wspomnienia nie chcą się połączyć, już wydaje mi się, że złapałam jakąś nić, ale zaraz się urywa.

Móri popatrzył na Catherine.

— Pomożesz mi? — spytał cicho.

Uradowała się, aż łzy zakreśliły się jej w oczach.

— Oczywiście, Móri! Dziękuję za zaufanie!

Islandczyk zwrócił się do księżnej.

— Wasza wysokość... czy zezwoli pani, że potrzymamy ją za ręce? To może wzmocnić pani pamięć.

Zdumiona podała im dłonie. Zamienili się na miejsca, Móri i Catherine usiedli po bokach Theresy.

W saloniku zapadła cisza. Księżna przymknęła oczy. Czekali.

— Ojej! — szepnęła zaskoczona. — Napływają wspomnienia! Hofburg, mój piękny Hofburg, Wiedeń, ile to już lat! Ogień na kominku w sali, z której korzystaliśmy zimą. Moja matka odłożyła haftowanie, bo zapadł już zmierzch, a ona miała słaby wzrok. Ojciec zebrał nas wokół siebie...

Głos jej przeszedł w szept.

— Baśń o morzu, które nie istnieje... Nie wszystko mi się przypomina, ale fragmenty opowieści... Kielich. Kielich w dłoniach mego ojca. Jego głos, kiedy przesuwał palcami po rysunku na srebrze.

Nagle księżna zaczęła mówić inaczej, jak gdyby usiłowała naśladować ojca. Trudniej ją też było teraz zrozumieć, używała bowiem więcej niemieckich słów.

— Kiedyś dawno, dawno temu w wielkim, potężnym królestwie żył król. Jego poddani byli mądrzy, wiele potrafili, otrzymali bowiem moc od gwiazd. Dostali od nich także pewien klejnot, drugiego takiego nie było na świecie.

— Kulę? — wyrwało się pokojówce. — Czy to chodziło o „słońce”?

Uciszyli ją ostrzegawczym szeptem.

— Ale on nie był szczęśliwy — mówiła dalej Theresa jak transie. — Był najbardziej samotnym ze wszystkich królów, wiedział bowiem, że jego królestwo czeka zagłada. Ludzie w swej pysze sami je zniszczyli. W niewłaściwy sposób spożytkowali swą wielką mądrość, marzył im się postęp, działali zbyt szybko i bezmyślnie.

Móri i Tiril wymienili spojrzenia. Czyż nie taką samą przyszłość wróżyły duchy? Zapowiadały, że ludzie powtórzą swój błąd.

A jeśli chodzi o niewidzialnych towarzyszy Móriego... Zarówno księżna, jak i Aurora oświadczyły w pewnej chwili, że w starym dworze musi chyba straszyc, obie miały bowiem wrażenie, że czują się obserwowane, pokojówka raz po

raz lekliwie zerknęła przez ramię. Czwooro przyjaciół zwróciło na to uwagę, woleli jednak nie ujawniać prawdy o towarzyszach Móriego. Dość już wyjaśnień zaplanowano na tę jedną noc.

Theresa podjęła:

— Ojciec nigdy nie chciał się w to zagłębiać, lecz wspomniał, że ci ludzie zmarnowali swe genialne zdolności, ale brzmiało to tak dziwnie, że nie chcę tego drażnić. Zresztą nie mogę, bo nic ponad to nie wiem. W każdym razie wielkie, bogate królestwo uległo zagładzie, musieli opuścić je na zawsze. Król zebrał najzdolniejszych, najbardziej wartościowych poddanych i powędrowali przez ziemię, niosąc swe drogocenne skarby. Zabrali także ów najcenniejszy, ten, który otrzymali od gwiazd, podobno niezwykły, ale na czym owa niezwykłość polegała, ojciec nie potrafił powiedzieć. Sądzę, że rysunek słońca przedstawia właśnie ten skarb.

Móri i Erling popatrzyli na siebie ze zdziwieniem. Próbowali coś zrozumieć, ale nie bardzo mieli na czym budować nowe teorie.

— Wędrowali długo — ciągnęła Theresa — ale wszędzie napotykali opustoszałe krainy. Nie spotkali żywej duszy, człowieka ni zwierzęcia, nic.

W końcu dotarli do morza. Zbudowali statek, by móc nim popłynąć. Widzieli bowiem już wszystko, co jest na ziemi, lecz powodowani wrodzonym pragnieniem człowieka zdobycia jeszcze większej wiedzy, chcieli zobaczyć więcej. Uważali, że gdzieś w jakimś miejscu muszą znaleźć inne żywe istoty. Długo żeglowali. Wiatr i prądy morskie wiodły ich na północ, chłód stawał się coraz dotkliwszy. Tęsknili za brzegiem, z którego wypłynęli, lecz stracili orientację.

Towarzyszyły im tylko ptaki, z krzykiem, mocno bijąc skrzydłami, przelatywały nad statkiem. Ale wraz z pojawieniem się jeszcze zimniejszych wiatrów i ptaki zniknęły.

Kiedy zapasy pożywienia już się skończyły, ludzie opadli z sił, a burze niemal całkiem zniszczyły statek, w pewien chłodny przejrzysty ranek ujrzeli na horyzoncie ląd. Im bliżej podpływali, tym bardziej pusty wydawał się brzeg.

Tiril, obdarzona żywą wyobraźnią, zadrżała, zdjęta nagłym chłodem.

— Co się stało, Tiril? — spytała łagodnie księżna.

— Przeszedł mnie taki nieprzyjemny dreszcz — odpowiedziała dziewczyna. — Widok morza i samotnego brzegu niemal przyprawił mnie o płacz. Pusty brzeg nad bezkresnym morzem. Rozkołysane fale uderzają o piach, rok za rokiem, stulecie za stuleciem, tysiąclecie za tysiącleciem. Na brzegu nigdy nie pojawił się ślad człowieka ani zwierzęcia. Morskie fale nigdy nie spotkały niczego poza pustymi plażami, skałami, wśród których nigdy nie zabrzmiał ludzki głos ani krzyk ptaka. Tylko lód w mroźne zimy...

— Fantazjujesz, Tiril — uśmiechnął się Erling. — Ale może to wcale nie takie niemądre.

— Ona ma rację — orzekł Móri.

Nikt nie śmiał mu się sprzeciwić.

Theresa podjęła opowieść:

— Próbowali skierować statek ku brzegowi, lecz zatonął, zanim dopłynęli. Ruszyli więc wplaw, tak jak przedstawia to relief. Byli jednak wycieńczeni, a na brzegu morza nie znaleźli pożywienia poza jakimiś drobnymi małżami. Wiedzieli, że nie mają przed sobą długiego życia. Z wielkich kamieni zbudowali ołtarz, położyli na nim kulę, którą otrzymali od gwiazd. Modląc się do niej, zniknęli. Nie wiadomo, gdzie. Powiadają jednak, że ich duchy pokazały się w starożytnym Rzymie. Dlaczego akurat tam, nie wiadomo.

Czworo przyjaciół spoglądało na siebie z coraz większym niedowierzaniem.

No, ale przecież to tylko baśń!

Theresa westchnęła, jak gdyby wyczuwając ich dystans.

— Ale znalazł się wśród nich jeden, prosty wojownik, nie tak uzdolniony jak pozostali. Oddalił się od swych towarzyszy i z pewnej odległości obserwował ich poczynania. Widział, jak kula się rozżarzyła, jak jego pobratymcy jeden po drugim znikają. Jego przodkowie mieszały się z małpokszałtnymi istotami i dlatego odczuł strach na widok owego tajemniczego rytuału. Zdumiony i przerażony powędrował w głąb owej pustej krainy i dotarł wreszcie do ludzkich siedzib. Mieszkańcy tych okolic okazali się nadzwyczaj prymitywnym ludem, lecz on ich zaakceptował. Przyłączył się do nieznanego plemienia, spłodził dzieci z ich kobietami. Właśnie jego potomkowie z pokolenia na pokolenie przekazywali sobie tę baśń. Żołnierz na starość gorzko żałował, że nie zdecydował się towarzyszyć swym pobratymcom do gwiazd. Powędrował więc w stronę morza, chcąc odnaleźć ołtarz i cudowną kulę, połączyć się ze swymi dawnymi przyjaciółmi.

Nigdy ich jednak nie odnalazł. Brzegu ani morza już nie było. Nowi współplemieńcy podczas jednej z długich wypraw łowieckich znaleźli go martwego na pustkowiu. I tak się kończy baśń o morzu, które nie istnieje.

Księżna przestała mówić, zapadło milczenie. Móri i Catherine puścili jej ręce.

— To dziwna baśń — zauważyła Aurora.

— Rzeczywiście — zgodził się z nią Móri. — Tak niezwykła, że niemal wydaje się prawdziwa.

— No tak, baśnie zwykle bywają bardziej spójne, zawierają morał albo jednoznaczne zakończenie — głośno myślała Tiril. — W ludowych baśniach często występuje trzykrotność. „Byli sobie trzej bracia, w trzecim królestwie, w trzeciej krainie” i tak dalej. Tu nic takiego nie ma.

— A kielich? — dopytywał się Erling. — I relief w Tistelgorm? Jak one się do tego mają? W baśni okoliczni mieszkańcy nazywali zamczysko Tistelgorm.

— Nie wiem — bezradnie odparła Theresa. — Kielich znajdował się w posiadaniu naszej rodziny do chwili, gdy odwiedzili nas krewni i przyjaciele. Podejrzewaliśmy, że ktoś z nich go zabrał. A relief w Tistelgorm? Rzeczywiście, tajemniczy zamek w jakiś sposób łączył się z baśnią, ale dlaczego, nie wiem.

Tiril dyskretnie ziewnęła.

— Ach, moi drodzy — poderwała się Theresa. — Noc już mija, musicie być zmęczeni.

Zdecydowanie pokręcili głowami.

— Dopiero teraz poczułam się nieco znużona — wyznała Tiril z uśmiechem. — Jakby ktoś nagle mnie czymś omotał.

— Wobec tego musimy się pożegnać — postanowiła księżna. — Gdzie mieszkanie?

Popatrzyli po sobie. Odpowiedział Móri:

— W Christianii zatrzymaliśmy się w niedużym pensjonacie. Ale na stałe Catherine mieszka w Krokskogen, o dzień drogi stąd, Erling w Bergen. A my...

Wzruszył ramionami.

Theresa popatrzyła na córkę.

— Odziedziczyłaś chyba dom w Bergen?

— Tak, ale...

Erling ją wyręczył:

— Tiril nie chce tam wracać. Obiecałem, że zajmę się sprzedażą domu.

— Rozumiem. To znaczy, że... nigdzie nie mieszkasz?

— A Móri jeszcze mniej — dodała Tiril.

Księżna zwróciła wzrok ku niemu. Odparł:

— Nie mam domu od najwcześniejszych młodzieńczych lat. Właściwie od dzieciństwa.

— Ależ to okropne! — przeraziła się Theresa.

— Nie bardzo też chcemy wracać do pensjonatu, bo prześladowcy Tiril odkryli naszą obecność — dodał Erling.

Zapadła chwila kłopotliwego milczenia.

— Oczywiście zaopiekuję się tobą, Tiril, kiedy już załatwię wszystkie sprawy, jakie wiążą się ze śmiercią mego męża, i będę mogła na zawsze opuścić zamek Gottorp — oświadczyła Theresa. — Ale w tej chwili...

— Ja się tym zajmę — rzekła Aurora. — Wy czworo zostaniecie naturalnie tutaj na tę noc, a raczej na ten kawałek nocy, bo właściwie już świta. Panie przenocują w prawym skrzydle, panowie w lewym. Pokażę wam cztery sypialnie, mam nadzieję, że możecie się sami o siebie zatroszczyć. Nie ma tu służby, a Theresa w tych ciężkich chwilach zapewne będzie potrzebowała swej pokojówki.

— Damy sobie radę — zapewnił Erling. — Dziękujemy za życzliwość, panno Auroro!

— Nie skończyliśmy jeszcze tej rozmowy — przypomniała Theresa. — Czy możecie po południu przyjechać na Akershus? Aurora i ja będziemy miały czas na zastanowienie się. Musimy się znów wszyscy spotkać jak najszybciej! Rozstali się, umówiwszy porę spotkania. Nero spokojnie podreptał za Tiril. Spodobał mu się ten wielki nowy dom, obiecująco pachniało tu myszami.

Rozdział 10

Móri miał kłopoty z zaśnięciem o poranku; blade światło dnia sączyło się przez ciężkie, z pewnością zakurzone kotary. Dwór tak długo pozostawał nie zamieszany, że pustka zaczynała już nabierać w nim kształtu.

Nie miał okazji porozmawiać z Tiril, chociaż tak bardzo mu na tym zależało. Chciał jej przekazać, czego dowiedział się od swych towarzyszy: obiecali, że nic złego ją nie czeka, jeśli się pobiorą i dopełnią małżeństwa. Stało się jednak tak, że Tiril spotkała swą matkę i z jednej strony było to najlepsze, co mogło się zdarzyć, z drugiej jednak musiał teraz prosić księżną o rękę Tiril, a to natychmiast wydawało się trudniejsze.

Wszystkie marzenia, jakie snuł mu się po głowie...

W końcu pomimo wzburzenia zdołał zapaść w sen.

Tiril obudziła się, bo Móri delikatnie nią potrząsał. Poderwała się, niepewna, gdzie jest.

— Minęło już południe — oznajmił. — Erling i ja wybieramy się do starego bankiera, który pośredniczył pomiędzy twoją matką a konsulem Dahlem.

— Pójdę z wami.

— Nie, ty i Catherine pojedziecie do Akershus. Spotkamy się tam za godzinę.

— A co mamy robić w Akershus?

— Wesprzeć twą matkę w przygotowaniach do transportu zwłok księcia i dotrzymać jej towarzystwa. Erling już tam był i pomógł jej w załatwieniu kilku praktycznych spraw. Potem będziemy dalej rozmawiać.

— Za długo pozwoliliście mi spać!

— Potrzebowałaś tego. Przeżyłaś trudne, pełne napięcia chwile. — Przysiadł na brzegu jej łóżka. — Życzliwa panna Aurora i twoja matka ustaliły jedno: będziemy mogli tu zamieszkać we czwórkę, dopóki nasza przyszłość się nie wyjaśni.

— Doskonale — uśmiechnęła się Tiril.

— Prawda? Księżna Theresa musi towarzyszyć trumnie ze zwłokami aż do zamku Gottorp, ale później tu wróci. Zorientowałem się także, że Aurora również

chętnie by tu zamieszkała, zamiast zostawać u wdowy-jędzy. To jednak najwi-
doczniej okazało się niemożliwe.

— Wszystko jest takie niepewne — rzekła Tiril ze smutkiem. — Bądź przy
mnie, Móri.

Po chwili wahania pogładził ją po policzku.

— Wiedz, Tiril, że nigdy cię nie opuszczę.

Tyle jej miał do powiedzenia, najpierw jednak musiał porozumieć się z księż-
ną Theresą. Tiril przestała już być biedną samotną dziewczynką z Bergen. Była
Habsburżanką, panną cesarskiego rodu, jej matka nosiła tytuł księżnej. Przysługi-
wał też chyba Tiril. Móri nie bardzo się znał na dziedziczeniu tytułów szlachec-
kich, zwłaszcza gdy chodziło o pozamałżeńskie dzieci.

W głębi serca miał nadzieję, że Tiril nie odziedziczy żadnego tytułu. . .

Tiril ubrała się w swój odświętny strój, nic innego wszak ze sobą nie miała,
i wraz z Catherine wyprawiły się do Akershus. Erling i Móri wyruszyli razem
z nimi z zamiarem odwiedzenia starego bankiera, mieli też zabrać wszystkie ich
rzeczy z pensjonatu. Nero towarzyszył panom, uznali, że tak będzie najbezpiecz-
niej.

Bankier mieszkał w okazałym domu w najlepszej dzielnicy Christianii. Suro-
wa gospodyni wprowadziła ich do środka, upomniawszy, by zbytnio nie męczyli
pana. Obiecali, że długo nie zabawią.

Staruszek przyjął ich w salonie urządzonej typowo po męsku. Stały tu meble
obite skórą i ciemne półki z książkami. Ani śladu modnych, jaśniejszych kolorów.

Bankier sprawiał wrażenie osoby niezwykle kruchej. Nie wezmę go za rękę,
pomyślał Erling, bo cała rozsypie się na drobne kosteczki.

Staruszek wytrzymał jednak powitanie i poprosił, by usiedli. Obserwował ich
z dziecinnym zdziwieniem w oczach.

— Wybaczcie, lecz mego ojca nie ma w domu, ja go zastępuję — oznajmił
cienkim głosem. — Rozumiem, że przychodzicie w związku z zamierzoną przez
króla Christiana przebudową Akershus, prawda?

— Nie całkiem — odparł Erling, postanawiając nie wyprowadzać staruszka
z błędu, że Jego Królewska Mość panujący od dwudziestu lat nosi imię Frederik.
— Pragniemy pomówić o pewnej dziewczynie z Bergen, Tiril Dahl. . .

Stary rozjaśnił się.

— Ach, oczywiście, owoc błędu księżnej Theresy! Mam nadzieję, że panowie
nie mają mi nic do zarzucenia w związku z zadaniem, jakie mi powierzono, za
które otrzymałem sowite wynagrodzenie? Wywiązywałem się z obowiązków jak
najlepiej, zapewniam panów!

Panowie na moment zaniemówili. A więc tak oto przedstawiała się sprawa!
„Moja tajemnica jest całkowicie bezpieczna u bankiera!”, twierdziła Theresa. Kie-
dyś, owszem. Teraz jednak staruszką zawładnęła skleroza. Przepuszczał sekrety
jak sito wodę, nie pytając nawet, kto się nimi interesuje!

— Wcale w to nie wątpimy — prędko zapewnił Erling. — Chcemy jedynie wiedzieć, czy ktoś poza panem zna tę historię?

Stary przeraził się, dłonie roztrzęsły mu się ze wzburzenia.

— Na mój honor! Coś takiego byłoby niedopuszczalne!

No cóż, przyjacielu, a co zrobiłeś przed chwilą? — rozgniewał się w duchu Móri. Głośno zaś powiedział:

— Ale odwiedzali pana ludzie, którzy o nią wypytywali?

— Czyżby? — zmieszał się bankier. — Doprawdy, nie pamiętam. Agato!

Surowa gospodyni majestatycznie wpłynęła do salonu niczym czarna zjawa.

— Agato, czy ktoś pytał o Tiril Dahl? Jejmość Agata jest moją asystentką, z natury rzeczy więc wie wszystko.

Dobry Boże, pomyśleli Móri i Erling. Ilu zaufanych ma ten człowiek?

Gospodyni odparła zaś:

— Nie, nikogo takiego nie było.

— Tak właśnie myślałem — odpowiedział bankier z ulgą.

Młodzi mężczyźni jednak zauważyli wiele mówiące spojrzenie gospodyni. Najwyraźniej wiedziała o czymś, o czym i oni powinni się dowiedzieć. Już mieli wstać i podziękować za wizytę, by z nią porozmawiać, ale zatrzymały ich słowa staruszka:

— Ogromnie przykra historia z kurierem!

— Z kurierem? — Erling natychmiast wzmógł czujność. Agata nie opuszczała gabinetu.

— Tak, zginął niedaleko Christianii, w drodze do Bergen. Wiózł półroczną kwotę Tiril. Na szczęście mój drogi przyjaciel, hrabia Henrik, wrócił i szlachetnie podjął się wypełnienia tego zadania.

— Wrócił?

Pytanie zaskoczyło bankiera, widać było, jak bardzo jest zdezorientowany.

— Kiedy zginął kurier? — spytał Móri.

— Jaki kurier?

Wtrąciła się pani Agata:

— Muszę panów przeprosić, najwyższy czas, by jaśnie pan nieco odpoczął. . .

Nie opierali się. Ponieważ gospodyni dała im znak, by zaczekali, zostali w hallu, dopóki nie odprowadziła swego chlebodawcy do sypialni i położyła do łóżka. Wkrótce do nich wróciła.

— Przykro mi, panowie — powiedziała cicho. — Mój drogi pan, którego tak bardzo cenię, utracił jasność myśli.

— Zorientowaliśmy się — życzliwie odparł Erling. — Nie można go o nic obwiniać. O ile jednak dobrze rozumiem, zauważyła pani coś w związku z Tiril Dahl?

— Niestety, najpierw jednak muszę się dowiedzieć, czy mogę wam zaufać.

— Oczywiście. Oto list księżnej Theresy do bankiera, wyjaśnia w nim, kim jesteśmy. Nie uznałem za konieczne okazać go pani chlebowdawcy.

Pokiwiała głową i prędko przeczytała list. Potem zaprowadziła ich do mniejszego pokoju, służącego zapewne niegdyś bankierowi za gabinet. Starannie zamknęła za sobą drzwi i poprosiła, by usiedli.

— Chcielibyśmy dowiedzieć się czegoś więcej o wypadku kuriera. Kiedy dokładnie się to stało? I co pani chlebowdawca miał na myśli mówiąc, że hrabia Henrik wrócił?

Uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

— Widzę, że panowie od razu zaczynają od tego, co najistotniejsze. Na kuriera, który co pół roku jechał konno albo płynął statkiem do Bergen, napadnięto. Było to...

Obliczyła, jak dawno temu miało miejsce wydarzenie. Mężczyźni popatrzyli po sobie. Tiril musiała liczyć wtedy szesnaście lat. W roku, kiedy rozpoczęło się polowanie na jej życie.

— A więc hrabia Henrik był tutaj przed wypadkiem kuriera? — spytał Erling.

— Tak, niedługo przedtem. Wrócił wkrótce po otrzymaniu przez mego pana wieści o śmierci zaufanego człowieka. Pan mój bardzo ubolewał nad tym, co się wydarzyło, ale hrabia był mu wielką pociechą i podjął się tego zadania na przyszłość.

— Bez wątpienia — rzekł Erling z kwaśną miną. — Proszę wybaczyć mi pytanie, ale czy pani chlebowdawca już wtedy stracił zdolności kojarzenia?

— Niestety tak, lecz ja nie miałam powodów, by podejrzewać hrabiego Henrika o złą wolę. Dopiero później zaczęłam przypuszczać, że nie wszystko jest jak być powinno.

— Hrabia Henrik... Nosi nazwisko Russ, prawda?

— Tu w Norwegii tak. Naprawdę nazywa się Heinrich Reuss von Gera, jest potomkiem książęcego rodu, w którym wszyscy mężczyźni noszą imię Heinrich. Wszyscy bez wyjątku, wszyscy bracia! Bardzo niepraktyczne, ale to nie mój kłopot. Henrik Russ nie jest księciem, bo pochodzi z bocznej gałęzi rodu, ale miał bardzo zacnych przodków. Było wśród nich dwóch Wielkich Mistrzów Zakonu Krzyżackiego, kilku udzielnych książąt. Wywodzą się od Henryka Pobożnego, który żył chyba w dwunastym wieku, nie bardzo się na tym wyznają.

— Moim zdaniem doskonale się pani orientuje — Erling uśmiechnął się z uznaniem. — Ale Henrik Russ nigdy nie pokazywał się w pojedynkę. Zawsze towarzyszył mu młodszy mężczyzna.

— Owszem, także cudzoziemiec, z pochodzenia Duńczyk.

— Nosi imię Georg?

— Tak, ale jak nazwisko? Chyba Wetlev.

Wetlev? Mężczyznom zaświeciły oczy. Georg Wetlev musiał być krewnym Gustafa Wetleva, tego, w którego posiadaniu znalazła się jedna z części figurki

demon. Gustaf Wetlev zmierzał do Tiersteingram, ale po drodze wpadł w szpony Mai i Kai. Kawalek figurki trafił do Catherine van Zuiden. . .

Wiedzieli, że potomkowie trzeciego z braci von Tierstein przez małżeństwa nosili nazwisko Wetlev.

Kawałki układanki z wolna trafiały na swoje miejsce. Jasne też było, że Georg Wetlev nie zdawał sobie sprawy, że Catherine ma należąca do jego krewnego cząstkę figurki demon. A więc i Henrik Russ nie miał o tym pojęcia.

Ale co wiedzieli o cząstce, która przypadła w spadku Tiril? Wiele pytań pozostawało bez odpowiedzi. Nie było jednak sensu zadawać ich jejmości Agacie, bo z pewnością nie słyszała o Tiersteingram.

Wciąż nie mogli się w niczym połapać. Czego poszukiwali Henrik Russ i Georg Wetlev? Dlaczego chcieli zabić Tiril? I z jakiego powodu zgładzili małżonków Dahl?

Erling zwrócił się do gospodyni:

— Czy słyszała pani przypadkiem rozmowę pani chlebodawcy z hrabią Henrikiem jeszcze przed napaścią na kuriera?

— Owszem. I skłamałam twierdząc, że nikt nie pytał o Tiril Dahl. Nie chciałam poniżyć mego drogiego pana.

— Zrozumiałe! To hrabia Henrik wypytywał o Tiril, prawda?

— Tak. Nie wiedział chyba, że słucham, ale zawsze musiałam przebywać w sąsiednim pokoju na wypadek, gdyby mój pan potrzebował pomocy.

— Powinna się pani cieszyć, jak przypuszczam, że hrabia nie zdawał sobie sprawy z pani obecności, pani Agato — stwierdził Móri.

— Może i tak — pokiwała głową. — Słyszałam, jak mój pan opowiada wszystko o Tiril Dahl. Wymienił nazwisko jej przybranych rodziców. Odniosłam wrażenie, że to bardzo zainteresowało hrabiego Henrika. A potem wyszło na jaw coś niezwykłego: hrabia wiedział, że Tiril jest córką księżnej Theresy Holstein-Gottorp z rodu Habsburgów!

— Co takiego? — wykrzyknęli Erling i Móri jednogłośnie.

— Mnie także wydało się to nader dziwne. Nikt bowiem poza moim panem — no i, rzecz jasna, księżną, jej pokojówką i akuszerką — nie wiedział o istnieniu dziecka.

— Czy pani chlebodawca nie wygadał się wcześniej przed hrabią?

— O, nie, hrabia po raz pierwszy odwiedził bankiera, przedtem się nie znali, gotowa jestem przysiąc. A mój biedny pan dopiero niedawno zaczął mieć te starcze kłopoty z pamięcią. Przedtem jego umysł był przejrzysty jak kryształ. Nie, Henrik Russ musiał usłyszeć o występkę księżnej z innego źródła.

Móri i Erling bliscy byli rezygnacji. Cała sprawa stawała się coraz bardziej zagmatwana.

— Czy księżna miała wielkie kłopoty z tego powodu, że poznano jej tajemnicę? — delikatnie spytała pani Agata.

— Tiril Dahl miała większe. Henrik Russ i jego kompan Georg Wetlev usiłowali ją zabić. Zamordowali konsula Dahla i jego małżonkę, a także jeszcze jednego człowieka z Bergen, nie mającego żadnego szczególnego znaczenia w tej sprawie.

— Ależ dlaczego? — zdumiała się gospodyni.

— Właśnie próbujemy się tego dowiedzieć. Nie wie pani przypadkiem, czy hrabia Russ mógł rościć sobie prawa do jakiegoś spadku i Tiril mu w tym przeszkadzała?

— Nic mi o tym nie wiadomo. Ale jeśli sobie tego życzyście, mogę pokazać wam dokumenty związane z jej sprawą.

— Z wielką chęcią skorzystamy z pani uprzejmości. Bardzo pani dla nas łaskawa.

— Nie chcę, abyście mieli zły obraz mego pana. Wolalabym jednak, żebyście nie zabierali papierów stąd. . .

— Oczywiście, obejrzymy je na miejscu.

Przyniosła tekę i parę zwojów, opatrzonych pieczęciami. Prędko przejrżeli zapiski. Zdumiała ich wielkość kwoty przeznaczonej dla Tiril. Była ogromna, a co pół roku wypłacano tylko odsetki.

W okresie dzieciństwa Tiril pieniądze pobierano w jej imieniu, co było naturalną rzeczą. Konsul Dahl podpisem zaświadczał, że je otrzymał. Teraz jednak dziewczyna już dorosła, nigdy jednak nie słyszała o żadnych pieniądzach, choć według słów księżnej połowa miała trafiać bezpośrednio do jej rąk.

— Wątpię, by konsul ulokował gdzieś część należącą do Tiril — mruknął Móri.

— Sprawdzalem to — odparł Erling. — Nic nie zapisano na jej nazwisko. Ciekawe, jak się sprawy miały po śmierci konsula. . .

Przejrżeli nieliczne kwity, większość z nich miała Theresa. Z początku nazwisko pierwszego kuriera zapisywano wyraźnie, a pod nim widniał zawsze podpis konsula Dahla. Potem jako kuriera odnotowywano Henrika Russa, lecz podpis konsula się zmienił. W zamierzeniu miał zapewne przypominać oryginał, ale tak nie było.

— Od tej pory Henrik Russ, a może Georg Wetlev, podpisywał się za konsula, ufając, że bankier jest już za stary, by odkryć fałszerstwo. Wciąż twierdzą, że Tiril nieważnie się dobrze.

— A więc zabierali pieniądze Tiril do własnej kieszeni — z goryczą rzekł Móri.

— Głównej sumy nie ruszono, sprzeniewierzyli tylko odsetki — uspokoił go Erling. — Pani Agato, czy sądzi pani, że możemy przyprowadzić tu Tiril, aby pieniądze mogły jej zostać wypłacone? W obecnej sytuacji istnieje ryzyko, że Henrik Russ w jakiś sposób zdoła wyciągnąć całą kwotę.

— Uważam, że powinna tu przyjść — odparła gospodyni. — Mój pan na pewno by to sobie cenił.

— Czy napisano, kiedy można uruchomić pieniądze? — zainteresował się Móri. Erling sprawdził.

— Chodzi ci o to, co lichwiarz powiedział konsulowi? Że szczęściem nie „ta druga dziewczyna”, czyli Tiril, umarła? Rzeczywiście, jest klauzula. Zobaczmy... Pełna suma może zostać wypłacona Tiril, kiedy ukończy ona dwadzieścia lat. Już skończyła. A gdyby zmarła wcześniej, cała suma miała przypaść przybranym rodzicom. A więc dlatego konsul przyszedł do jej pokoju z długą chustką czy też czymś podobnym! Jak zwykle brakowało mu pieniędzy. Zmitygował się jednak, nie chciał posuwać się do morderstwa. Móri, jesteś taki nieobecny, o czym myślisz?

Móri podniósł głowę.

— O Tistelgorm. W jaki sposób baśń łączy się z zamczyskiem. Ojciec Theresy mówił, że obie baśnie wiążą się ze sobą, choć dotyczą różnych epok.

— Wiem, o co ci chodzi.

— Bardzo chciałbym poznać wiedzę dwóch czarnoksiężników na temat „morza, które nie istnieje” i tej niezwyklej kuli. Ale jak się tego dowiedzieć?

— No właśnie, w tym kłopot. Theresa nic na ten temat nie wie.

— Zastanawiam się... — Móri zapatrzył się w dał. — Zastanawiam się, czy mogę kogoś poprosić o radę.

— Uważam, że powinienesz to zrobić — odparł Erling, nie rozumiejąc, co przyjaciel ma na myśli.

— Już raz w tym tygodniu mi pomogli — mówił Móri do siebie. — Ale może wystawiam ich na zbyt ciężką próbę...

— Powinniśmy chyba zakończyć nasze sprawy w tym miejscu — upomniał go Erling. Móri powrócił do rzeczywistości.

W drodze powrotnej Erling, czując przyływ nowej energii, spytał:

— Czy nie uważasz, że sporo się wyjaśniło?

— Ależ skąd! — zaprzeczył Móri. — Moim zdaniem cała ta historia staje się coraz bardziej zawiłana.

— Mam na myśli prześladowców Tiril, tego, kto się za tym kryje. Chcę powiedzieć, że są trzy grupy osób, które wiedziały o narodzinach dziecka. Oczywiście wykluczam akuszerkę i pokojówkę księżnej. Głowę dam sobie uciąć, że zachowały się lojalnie.

— Ja też jestem tego pewien.

— Pozostają więc trzy możliwości: ktoś, kto stoi za Theresą, a więc Habsburgowie. Albo też ktoś z Holsteinu-Gottorpu. Lub ojciec Tiril, o którym nie wiemy absolutnie nic.

— Najbardziej podejrzani wydają się Gottorpowie, jako że może chodzić o jakieś kwestie spadkowe. Być może Tiril przeszkadza komuś, powiedzmy jakiejś

kuzynce, w odziedziczeniu, na przykład, zamku.

— I ja się nad tym zastanawiałem. Jeśli chodzi o Habsburgów, musimy sprawdzić, kto wie o figurce demona. Oczywiście i w tym przypadku w grę mogą wchodzić jakieś walki o spadek.

— A po trzecie musimy się dowiedzieć, kto jest ojcem Tiril — oświadczył Móri. — A to z pewnością nie będzie łatwe. — Chyba masz rację. Nero, chodź tutaj! Nie ruszaj boa z lisów tej damy! Nero! Nero!!! Na miłość boską, ależ będzie awantura!

Rozdział 11

W cieniu wielkich drzew otaczających Akershus stali dwaj mężczyźni, zatopieni w rozmowie. Jednym był Heinrich Reuss, którego w tak upokarzający sposób usunięto z zamku. Drugi, człowiek o surowej, ponurej twarzy, nazywał się von Kaltenhelm; on także znalazł się poprzedniego wieczoru na dworskim balu. Właśnie jego obecność Móri wyczuwał, lecz nie mógł go wytropić.

— Delirium — ostrym głosem stwierdził von Kaltenhelm.

— Ależ nie, zapewniam was, panie — przekonywał go Heinrich Reuss. — Nie wypięłem wiele, zresztą wino nigdy nie miało nade mną władzy. Nie rozumiem, co się stało, nagle wokół mnie pojawiło się pełzające robactwo, przy talerzu, w jedzeniu...

— Nonsens! Zachowałeś się skandalicznie, a przede wszystkim zwróciłeś na siebie uwagę. To niewybaczalne!

Reuss, któremu po zgoleniu koziej bródki marzył dół twarzy, starał się zmienić temat, choć zdawał sobie sprawę, że wieści nie zadowolą przełożonego.

— Georg Wetlev nie żyje — westchnął z drżeniem. — Jego zwłoki znaleziono za miastem.

— Wiem o tym — niemal krzyknął von Kaltenhelm.

— Zastrzelony od dołu?! Jak mogło do tego dojść?

— Wmieszła się w to jakaś nieczysta moc — stwierdził Heinrich Reuss tajemniczo.

— Nieczysta moc? Przestań gadać bzdury!

Potem jednak von Kaltenhelm zamyślił się.

— Na uczcie rzeczywiście był pewien młody człowiek. Ciarki przechodziły mi po plecach na jego widok, zupełnie bez powodu.

Reuss natychmiast się ożywił:

Tak, ten mroczny cudzoziemiec. Właśnie o niego mi chodziło. To nasz najgorszy wróg z Bergen. Po mieście rozniosły się pogłoski o czarach, poszukiwano czarownicy, lecz ja myślę, że to właśnie on krył się za wszystkimi niesamowitymi wydarzeniami.

— Co to za jeden?

— Towarzysz Tiril Dahl. Nie pochodzi z Norwegii, ale nie wiem, kim albo czym jest.

Twarz von Kaltenhelma ściągnął gniew.

— Chcesz powiedzieć, że przez tyle lat w Bergen nie zdołałeś się dowiedzieć, kim jest ten człowiek?

— To nie takie łatwe — mruknął Reuss wymijająco, osłaniając nagą brodę przed chłodnym jesiennym wiatrem. — Dziewczyna ma dobrą ochronę, czuwa nad nią posiadający szerokie znajomości młodzieniec z hanzeatyckiego rodu, ów poganin-cudzoziemiec, a teraz jeszcze osławiona baronówna van Zuiden. Oraz połowa Bergen.

— Wiemy o tym. Zdajemy sobie także sprawę, że najistotniejsze jest, aby ta dziewczyna, Tiril, nie nawiązała kontaktu z księżną Theresą z Gottorp. Wiem, wiem, są rzeczy jeszcze dla nas ważniejsze, ale jesteśmy bardzo niezadowoleni ze sposobu, w jaki ty i Georg Wetlev wywiązaliście się ze swego zadania. Nie złapać młodej panny przez tyle lat! Do ciebie więc będzie należało poinformowanie naszego Mistrza o śmierci Georga — zakończył von Kaltenhelm ze złośliwym triumfem. — Ja tego nie zrobię.

Reuss wyraźnie pobladł, wręcz pozieleniał.

— Przecież ja muszę śledzić dziewczynę — wyjąkał śmiertelnie przerażony.

— Zaangażujemy do tego innych ludzi. Ty zmarnowałeś wszystkie swoje szanse.

— Zapewniam...! Podwoję wysiłki, będę bardziej nieubłagany, dziewczyna zginie szybką, skrytobójczą śmiercią...

— Za późno — lodowatym tonem oświadczył von Kaltenhelm. — Poza tym dobrze wiesz, że pragniemy najpierw przesłuchać dziewczynę. Czyż nie zostałeś surowo upomniany, kiedy już raz próbowaliście ją zabić, przed laty, w Bergen?

— To prawda, ale mogę...

Gestem pełnym niezmierzonej pogardy von Kaltenhelm oddalił Heinricha Reussa, mówiąc:

— Masz ostatnią szansę. Potem...

Reuss postawił kołnierz i wtulił głowę w ramiona. Ruszył między drzewami ku Akershus, ku starej twierdzy. Zęby zacisnął tak mocno, że zdrętwiały mu szczęki. Doprawdy, potrafili nim komenderować, posyłać raz tu, raz tam, zlecać wykonanie całej brudnej roboty, chociaż wywodził się z książęcego rodu i należał mu się szacunek.

To ostatnie polecenie jednak było najgorsze.

Jak, na miłość boską, ośmieli się opowiedzieć o klęsce? I o śmierci Georga Wetleva?

Poczuł lodowate ukłucie strachu i o mało się nie rozpłakał. Uciekaj, Heinrichu, uciekaj!

Ale dokąd mógł uciec, gdzie się schować?

Nigdzie. I tak go odnajdą.

Stara wdowa-smoczyca wbiła przenikliwy, świdrujący wzrok w córkę.

— Auroro! Nie waż mi się sprzeciwiać! Myślisz, że o niczym nie wiem? Że nie słyszałam o wstydzie, jaki sprowadziłaś na swą biedną matkę? Widziano cię na balu wraz z dwoma mężczyznami!

— Ależ, droga mammo, oni byli tacy...

— Jesteś naiwną gęsią! Nie wiesz, za czym gonią mężczyźni? Jesteś świetną partią, lecz nie wydałam cię na świat po to, byś opuszczała biedną schorowaną matkę, gdy tylko pierwszy lepszy mężczyzna kiwnie palcem. Urodziłam czterech synów, każdy z nich po ślubie otrzymał dwór, zabezpieczyłam także przyszłość twoich dwóch starszych sióstr, tobie natomiast od początku wyznaczono rolę towarzyszenia mi w jesieni życia. Pięknie by to wyglądało, gdyby córka nie chciała zostać u swej dobrej matki i wspierać jej na stare lata!

Czy tylko po to się urodziłam? — chciała zapytać Aurora, lecz zacisnęła zęby. Dobrze wiedziała, że tak właśnie jest. Przyszła na świat dużo później niż reszta rodzeństwa i całe jej wychowanie polegało na przyuczeniu jej do spełniania zachcianek matki. Teraz panna Aurora skończyła już czterdzieści lat, w jej życiu było wiele trudnych chwil. „Nie zerkaj na mężczyzn, zachowuj się przyzwoicie, dziękuj odmownie za wszystkie zaproszenia, myśl o matce!”

Aurora urodziła się, bo kiedy okazało się, że stan zdrowia ojca jest bardzo zły, matka zdecydowała się na jeszcze jedno dziecko, o którym z góry przesądono, że pozostanie w domu.

Domowa córka, tak nazywano Aurorę. Dziewczyna, potem kobieta, obdarzona niepoślednią inteligencją, której nie pozwolono się kształcić. Pełna inicjatywy, posiadająca zdolności przywódcze, nie mogła ich nigdy wykorzystać. Jej jedyne zadanie polegało na towarzyszeniu matce i wysłuchiwaniu narzekań na bliźnich.

Ojca Aurora nie знаła, zmarł w pierwszym roku jej życia.

Nowe wydarzenia, kontakt z księżną Theresą i czwórką młodych ludzi sprawiły, że Aurora rozkwitła. Życie nagle okazało się takie ciekawe!

— Nie zjadłaś jeszcze — z wyrzutem rzekła wdowa-smoczyca. — Jedz! Zjadaj wszystko!

— Jestem już syta.

— Nie wolno niczego zostawiać na talerzu.

Aurora słyszała to od dziecka. Dopiero w wieku około trzydziestu lat zrozumiała, że matka tuczy ją celowo, by dziewczyna poczuła się bezwartościowa, brzydka i niechciana. Wszelkie rozpaczliwe próby poprawienia figury niweczyły ciągłe upomnienia matki: „Jedz! Nie zostawiaj niczego na talerzu”, nakładającej jej kolejne porcje.

Mieć pełną kontrolę nad córką. Tak brzmiała pierwsza zasada jędzy.

Tego dnia jednak Erling i Móri zlecieli pannie Aurorze pewne zadanie. Miała nadzieję, że zdoła skierować myśli matki na inny tor.

— Droga mamó, ty, która tak wiele wiesz o rodach szlacheckich. . .

— Oczywiście — napuszyła się jęcza.

— Jak to właściwie jest z Holsteinami-Gottorpami? Kto dziedziczy po śmierci księcia Adolfa?

— Jego żona, księżna Theresa, z domu Habsburg, to przecież jasne.

— Dobrze, a po niej? Byli przecież bezdzietni.

— W takim wypadku spadek przechodzi na kogoś z jego krewnych. Pozwól mi się zastanowić. . . Nie ma nikogo bliższego niż pokrewieństwo trzeciego stopnia. To będzie. . . Fredrik albo Christian? Nie, zbyt daleko.

Aurora sama już zdążyła to obliczyć. Tak więc Holsteinowie-Gottorpowie nie mogli mieć nic wspólnego ze spadkiem, należało zatem ich wyłączyć.

Ataki na Tiril musiały przyjść z innej strony.

Lizuska, jak Aurora nazywała pokojówkę matki, szepnęła coś swej pani do ucha. Stara dama wyraźnie się zirytowała.

— Co? Co ty mówisz, dziewczyno? No tak, rzeczywiście, dziedziczyć może też ktoś z Habsburgów, ktoś z rodzeństwa Theresy. Dajcie mi się skupić. W rachubę wchodzi jej siostra Konstancja.

Kwestie spadkowe przestały już jednak interesować Aurorę, usłyszała bowiem, że przyszły jej nowe przyjaciółki. Przeprosiła matkę i pobiegła im na spotkanie.

— Dobrze, że jesteście — z ulgą, lecz nie bez strachu przywitała Tiril i Catherine, przybyłe wraz z księżną Theresą. — Moja droga matka miała ciężką noc, żołądek bardzo jej dokuczał, jest więc dziś. . . nie w nastroju. Nie zdążyłam jeszcze spytać, czy możemy dysponować dworem.

— Jak ją rozweselić? — życzliwie spytała Theresa.

— Dowiedziała się od tej okropnej Lizuski, która bezustannie jej o wszystkim donosi, że wczoraj widziano mnie z dwoma mężczyznami. Uważa, że pan von Müller i doktor Móri zarzucają na mnie sieci, chcą mnie uwieść i zagarnąć mój majątek. A przecież możliwe jest, że przyjaciele-mężczyźni wcale nie mają takich zamiarów prawda?

— Naturalnie — odparła Theresa, która poczuła w sobie nową siłę i godność po śmierci dręczącego ją męża i odnalezieniu wytęsknionej córki. — Chodźmy, spróbujemy z nią porozmawiać.

Stały przed obliczem wdowy-smoczycy, wielkiej, opastej i zgryźliwej, w czerni, choć upłynęło już czterdzieści lat od czasu, kiedy małżonek rozstał się z życiem u jej boku dla znacznie spokojniejszego życia wiecznego. Wszystkie linie w tej, wydawało się, pozbawionej konturów twarzy — orle oczy, nos, przypominający dziób drapieżnego ptaka, nalane policzki, opadały w dół. Cera barwą

przypominała ciasto drożdżowe. Siedziała niezgrabnie rozparta, z rozchylonymi kolanami, by pomieścić brzuch.

Aurora przedstawiła gości po kolei. Księżnej Theresie łaskawie pozwolono zająć miejsce na krześle vis-a-vis, natomiast młodym damom smoczyca chciała się przyjrzeć bliżej.

Nazwisko Tiril wywołało w niej irytację. Nigdy nie słyszała o szlacheckim rodzie van der Dalen i potraktowała to jako osobistą zniewagę. Catherine zaś zaatakowała z zapalczywością, która wprawiła pozostałe panie w osłupienie. Nazywała baronównę na przemian grzeszną kobietą, niegodnym człowiekiem, ladacznicą, a potem nakazała opuścić komnaty zacnych ludzi. Aurorze także się dostało za to, że zadaje się z szumowinami.

Jędza nie wiedziała, rzecz jasna, że Tiril jest córką Theresy. To ucieleśnienie plotkarki i jej węsząca pokojówka zostały pozbawione okazji rozgłoszenia wszem i wobec informacji o życiu księżnej i możliwości złośliwego komentowania szczęśliwej odmiany w jej losie.

— Obie panny są moimi przyjaciółkami i znajdują się pod moją opieką — oznajmiła Theresa, z trudem zdobywając się na uprzejmość. — W tym ciężkim dniu służyły mi wielką pomocą.

Wdowa złożyła księżnej nieco spóźnione kondolencje i zaraz powróciła do swego zwykłego zrzedliwego tonu.

— Moją córkę sprowadzono na manowce, wasza wysokość! Napastowali ją mężczyźni. Ród von Müllerów nie istnieje! To oszust, szarlatan! Chce odebrać Aurorę, tę biedną dziewczynę, matce, chociaż wszyscy wiedza, jak bardzo jej potrzebuję, stara i schorowana. Wydałam ją na świat w bólach, nie wspominając już o uprzednich nieprzyjemnościach małżeńskiego łoża, nie po to, by mnie zostawiła dla pierwszego lepszego łajdaka!

W wieku Aurory trudno raczej mówić o pierwszym lepszym kandydacie na męża...

Dobrze, że nie było z nimi Móriego i nie mógł zobaczyć wyrazu twarzy Catherine. Z pewnością szepnęłyby: „Nie, Catherine, nie możesz tego zrobić jeszcze raz. Dość tego, co uczyniłaś księciu Adolfowi. Ona jest zbyt niebezpieczna. Ta jej obrzydliwa pokojówka widzi wszystko!”

Westchnąwszy głęboko Theresa podjęła decyzję i postanowiła spytać o nie zamieszkaną dwór. W oczach wdowy, węszącej dobry interes, pojawił się wyraz zainteresowania. Ale nie zakończyła jeszcze rozważań na temat almanachu szlacheckiego. Wyczuwała, że między Theresą a Aurorą nawiązała się nić przyjaźni, którą za wszelką cenę postanowiła zniszczyć. Aurora była jej dziewczyną na posyłki, nie wolno jej się wiązać z nikim innym.

Z fałszywym uśmiechem powiedziała:

Słyszę, że moja córka zainteresowała się rodem Habsburgów, wasza wysokość. To drogie dziecko chciało dowiedzieć się wszystkiego o waszych krewnych,

księżno.

— Ależ... mammo! — jęknęła przerażona Aurora. Theresa popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

— Tak, tak — gruchała jęcza. — Pytała, kto dziedziczy po waszej wysokości. Nie ma pani bezpośrednich spadkobierców, inaczej niż ja, matka czterech synów i trzech córek, niemile to wspominam, bo to, do czego trzeba się zmuszać, by wywiązać się z obowiązków podtrzymania rodu... Ale nie wszystkie kobiety są równie ofiarne, mam więc pełne zrozumienie dla... Ale pani, księżno, ma siostrę, Konstancję, prawda?

— Owszem — odparła Theresa z rezerwą. — Choć nie bardzo rozumiem, co ona ma z tym wspólnego.

— To właśnie ją wystawił do wiatru przysły małżonek, prawda? Tak, tak, co za smutna historia! A pani brat, Leopold, czyż nie jest... trochę upośledzony?

— Ależ nie, ma tylko słaby wzrok. Doprawdy uważam, że...

— Aurora chciała także wiedzieć, czy to prawda, że Otto, wuj waszej wysokości, brat jej matki, nie jest w stanie wypełniać swych małżeńskich obowiązków.

— Ależ, mammo, nigdy przecież nie pytałam...

— A z kolei pani kuzynkę, Marię Józefę, przyłapano na gorącym uczynku z jej kuzynem, w dodatku w skrzydle dla służby.

Aurora zaczęła płakać. Lizuska szepnęła coś swej pani do ucha, oczy dziewczyny zabłysły złośliwością.

— Och, tak, rzeczywiście, zapomniałam o tym — kiwnęła głową stara jęcza. — Ojciec sprawił Marii Józefie lanie na gołą skórę i wyrzucił ją z Hofburga. Bardzo stosowna reakcja. Uwiodła biednego chłopaka, młodszego o dwa lata...

— Oboje byli dorośli — surowo odrzekła Theresa.

Przerażająca matrona udawała, że nie słyszy.

— Nie będę też wspominać, czego dopuściła się babka waszej wysokości. I ona poniosła sprawiedliwą karę. Umarła!

— Rzeczywiście, w wieku siedemdziesięciu czterech lat — mruknęła Theresa zażenowana. Odwróciła twarz, nie mogąc znieść takiej złośliwości.

— Thereso, zapewniam cię... — szepnęła zrozpaczona Aurora.

— Wiem, nie musisz nic mówić — odszepnęła księżna.

Wdowa grzmiała dalej:

— Tak więc nawet w najlepszych rodzinach wiele jest zgnilizny. Ja osobiście zawsze wysoko nosiłam sztandar, mogę przysiąc z ręką na sercu.

Przechyliła się na bok i wydała z siebie nieprzyjemny naturalny dźwięk, świadczący o tym, że zabiegi medyczne nie bardzo zaradziły dolegliwościom. — Ale wasza wysokość interesowała się naszym dworem tu w Christianii. Przedstawia on dla nas najwyższą wartość i bardzo nie chcielibyśmy się z nim rozstawać. Ale jeśli ustalimy jakąś rozsądną cenę, być może dojdziemy do porozumienia...

Rozdział 12

Móri powziął niezłomną decyzję. Postanowił jeszcze raz zwrócić się z prośbą o pomoc do swych niewidzialnych towarzyszy. Musiał się dowiedzieć, w jaki sposób prastare zamczysko Tiersteingram łączy się z baśnią o morzu, które nie istnieje, morzu z epoki jeszcze dawniejszej niż zamek.

I co ważniejsze: chciał też ustalić, co właściwie wydarzyło się w Tiersteingram za czasów dwóch niemieckich czarnoksiężników.

Ale jak tego dokonać?

Może duchy udzielą mu odpowiedzi? Może któryś z nich był tam wówczas?

To jednak mało prawdopodobne.

Dzień chylił się już ku zachodowi. Po kolacji na dworze zapanował spokój. Tak, powrócili do dworku Aurory, doszli bowiem do porozumienia ze starą jędzą. Zażądała wprawdzie za dwór horrendalnej ceny; gdy usłyszała, że Habsburżanka zainteresowana jest kupnem posiadłości, chciwość wzięła w niej górę nad rozumem. Theresa nie mogła przystać na tak jawne oszustwo, stanęło więc na tym, że wynajęli dwór na czas nieokreślony. Wydawało się, że księżna snuje jakieś inne plany związane z córką, na razie jednak ten dom musiał im wystarczyć.

Aurora wytłumaczyła się przed matką koniecznością zaopiekowania się nowymi lokatorami. Stara jędza natychmiast dostała ataku boleści i z jękiem zawodziła, błagając, by Aurora nie opuszczała umierającej rodzicielki.

Tym razem jednak córka pokazała, na co ją stać. Posłała po nadwornego medyka i oddała rozgniewaną staruchę pod opiekę Lizuski. Matka zdumiewająco szybko doszła do siebie, zdążyła jeszcze obrzucić przekleństwami wychodzącą córkę.

Bo Aurora po prostu wyszła.

Towarzyszące jej przyjaciółki zrozumiały, że oto są świadkami niesłychanego wydarzenia. Ale to właśnie ich obecność dodała Aurorze odwagi.

Przybywszy na dwór dała upust swej długo tłumionej energii. Zatrudniła służbę dla gości, sprowadziła żywność i przyzwoitą pościel, zjadła nawet razem z nimi kolację.

Theresa i jej wierna pokojówka również przyjechały, cóż bowiem miały po-

cząć na Akershus? Nocować tam, gdzie ustawiono trumnę?

Móri po wieczornym posiłku wyszedł na dziedziniec. Pragnął zostać sam ze swymi myślami. Czy poważy się jeszcze raz kłopotać swych towarzyszy?

Uznał jednak to za konieczne.

Również tego wieczoru wiał dość silny wiatr. Ciężkie od chmur niebo zawisło nad ziemią, lecz ostry żółty pas pod nimi, tuż nad horyzontem, wskazywał, gdzie zaszło słońce.

Czuło się chłód, ale Móri nie mógł przecież wezwać duchów do domu. Dokąd więc iść? Do lasu? Za daleko. Na pola? Tam będzie zbyt widoczny. Nie zrobiło się jeszcze dostatecznie ciemno.

Naraz drgnął. Ktoś szedł przez dziedziniec, osobie towarzyszył radośnie merdający ogonem pies.

— Tiril! Co ty tu robisz, gdzieś była?

— Cóż, jak to powiedzieć... A jakie zwykle miejsce się odwiedza tuż przed położeniem się do łóżka? O czymś takim jak nocniki nie pomyślano w naszym nowym domu.

Uśmiechnął się, głaszcząc Nera.

— Szczerze mówiąc, nie znoszę tego — wyznała Tiril. — Lodowate wichry owiewają człowieka od spodu, ciemno, strach. Dlaczego nikt jeszcze nie wymyślił jakiegoś zacisznego, przyjemnego kąta pod dachem?

— W wielkich zamkach już są takie przybytki.

— Owszem, maleńkie przybudówki przy królewskich sypialniach, a potem to spada z wysokości... Wolałabym tamtędy nie przechodzić. Wrócisz ze mną do domu?

— Nie, mam jeszcze coś do załatwienia.

Zatrzymała się.

— Co takiego, Móri? Wydajesz się nieobecny duchem.

Westchnął.

— Muszę znów zwrócić się do mych strażników. Pragnę dowiedzieć się czegoś więcej o Tiersteingram. Może któryś z nich znał zamczysko za życia?

— Chcę przy tym być.

— Co ty mówisz!

— Czyż nie znam ich równie dobrze jak ty? Czy nie zaprzyjaźniłam się ze Zwierzęciem? Z Nidhoggiem? I z dawnymi czarnoksiężnikami? Gdzie się z nimi spotkasz?

— Tego właśnie jeszcze nie wiem, próbuję ustalić. Na razie nie znalazłem odpowiedniego miejsca.

Rozejrzała się dokoła.

— Zimno mi, ale do domu wrócić nie możemy, zarówno w głównym budynku, jak i w bocznych skrzydłach są ludzie. Za to stodoła jest pusta. A może na stryszku na siano?

Móri zamyślił się, powiódł wzrokiem ku imponującym wierzejom.

— Hm, stryszek na siano — powtórzył cicho. — Tam nikt nie przyjdzie. Byle tylko drzwi nie zaskrzypiały.

— Jakoś się prześlizgniemy — uśmiechnęła się Tiril.

Przecież ty nie możesz w tym uczestniczyć, chciał zaprotestować. Milczał jednak. Poznał już Tiril i wiedział, że za nic nie puści go samego. Tak czy inaczej postarałaby się z ukrycia obserwować jego poczynania.

Uległ jej zatem, i mądrze zrobił.

Kiedy szli do okazałej stodoły, dziewczyna zadrżała z zimna, objął ją więc za ramiona i okrył peleryną. Przytuliła się jeszcze mocniej. Nero coś wytropił i pędem ruszył przed siebie.

Prawie nie mieliśmy czasu, żeby być razem, Móri i ja, pomyślała Tiril. Ale coraz mocniej przywiązujemy się do siebie. Wśród wszystkich tych dramatycznych wydarzeń nauczyliśmy się porozumiewać wzrokiem, czujemy, że jesteśmy przyjaciółmi.

— Lubisz moją matkę?

— Bardzo — odparł. — A ty?

— Och, tak! Tylko nie zdążyłam jeszcze oswoić się z myślą, że ją odnalazłam. Oto prawdziwa matka pada nagle człowiekowi w ramiona i wszystko staje się jednym wielkim chaosem. Ale mogło przecież być znacznie gorzej.

— Oczywiście. Rozumiem jednak twój dystans. Mimo wszystko porzuciła cię, pozostawiła swemu losowi.

— Już jej wybaczyłam — prędko zapewniła go Tiril. — Słyszałeś wszak, jak Lizuska i ta stara jęcza mieszały z błotem „grzeszne” kobiety. Młodej dziewczynie trudno było stawić temu czoło.

— Zamieniłbym parę słów z twoim ojcem — powiedział Móri nie kryjąc gniewu. . . — Ale mężczyznom podobne historie zawsze uchodzą na sucho. Wybacza się im, wręcz twierdzi, że uwiedzenie dziewczyny przydaje im męskości. Kobiety natomiast karane są przez prawo i kościół.

Udało im się otworzyć ciężkie wrota bez zbędnego hałasu. Z podestu stodoły posiadłość prezentowała się majestatycznie. Wiatr szumiał w rosnących wzdłuż między zaroślach olszyny i w podwórzowym drzewie — brzozie o kilku pniach. Zdumieli się, jak dobrze utrzymany jest dwór, ani w podeście, ani w ścianach stodoły nie było spróchniałych desek.

Weszli do środka i zagłębili się w ciemność.

Jestem sam na sam z Mórim na stryszku do siana, zachichotała w duchu Tiril. Musiała przyznać, że już na samą tę myśl jej ciało ogarnęło rozkoszne drżenie. Móri jednak zdawał się wcale tego nie zauważać. Ostrożnie prowadził ją po nierównej podłodze strychu. Tu i ówdzie leżały jeszcze kępki suchej trawy, szeleściły cicho, kiedy po nich stąpali. Wiedzieli, że gdzieś musi być otwór, którym zrzucono siano na dół, i kiedy go odszukali, mogli bezpiecznie iść dalej, aż wreszcie

stanęli pod jedynym okienkiem w dachu. Nero zniknął w mroku.

Przez świetlik sączyło się do środka słabe jesienne światło. Tiril widziała zarys sylwetki Móriego, znów poczuła, że darzy go bezgraniczną miłością. Ale on myślał tylko o czekającym go zadaniu — wezwaniu duchów.

— Przecież one są z nami przez cały czas — szepnęła Tiril.

— Ale muszą się pokazać nie tylko jako cienie. Chcę z nimi porozmawiać.

Ten profil, który rysuje się na tle ściany, akurat tak pada światło. Czyste, wręcz delikatne linie, usta, które mogłyby być ustami młodzieńczego chłopca, ale przeczy temu czoło i ostry zarys nosa. Czarne kędziory, kaptur skrywa kształt głowy, peleryna otula ciało. . .

Jakiż on tajemniczy, niesamowity!

I ani odrobinę nie zainteresowany moją obecnością.

Co on robi? Wyciąga ręce, spodem dłoni zwraca je w górę. Wzywa swych towarzyszy.

Kocham go, lecz nie wolno mi tego okazać. A ostatnio stał się taki dziwny, pełen rezerwy. Jakbym już go nie obchodziła. A może co innego stanęło na przeszkodzie?

Tiril nie rozumiała, że w ciągu ostatniej doby ona sama stała się kimś innym. Fakt, że pochodzi z książęcego rodu, nie miał dla niej żadnego znaczenia, w ogóle się nad tym nie zastanawiała.

Móri jednak świadom był zaszłej zmiany. To ona nagle się od niego oddaliła, nie odwrotnie, choć nie zdawała sobie z tego sprawy. Teraz była jedną z potężnego rodu Habsburgów. Trudno pozostać obojętnym wobec dynastii, która wydała czternastu cesarzy i inne wielkie osobistości. . .

Tiril nie zdawała sobie z tego wszystkiego sprawy. Uważała się za pozamałżeńskie dziecko z Bergen, zbłąkaną istotę, która ma wspaniałych przyjaciół, a teraz jeszcze matkę, życzliwą jej, lecz wciąż obcą.

Nagle poderwała się słysząc, że wokół niej coś się dzieje.

Miała wrażenie, że porywa ją wir powietrzny. Ale powiew wichru nie był zimny, nie unosił jej też z miejsca. Wiatr po prostu wirował wokół niej i Móriego. Wyciągnęła rękę w poszukiwaniu jego dłoni, lecz czarnoksiężnik nie miał dla niej czasu, ramiona wciąż wznosił w górę i wzywał kogoś, teraz już na głos.

Wzywał swych niewidzialnych towarzyszy, prosząc, by pomogli dowiedzieć się czegoś o minionych czasach, o zamczysku zwanym Tiersteingram albo Tistelgorm. Móri nie znał baśni o zamku, wiedział jedynie, że wiąże się ona z opowieścią o morzu, które nie istnieje, i że wokół Tiersteingram mieszkali kiedyś ludzie, którzy uprościli nazwę zamczyska na Tistelgorm.

Czy ktoś z jego niewidzialnych towarzyszy, których przywiódł z otchłani, był w owych czasach w leśnych ostępach Tiveden?

Zapadła głucha cisza. Tiril i Móri czekali. Islandczyk wolno opuścił ręce, Tiril pośpiesznie ujęła jego dłoń.

— Nie powinnaś przy tym być — mruknął.

— Ależ ja chcę — odszepnęła.

Właściwie jednak nie była do końca przekonana, bo nagle ziemia zatrzęsała się pod jej stopami i rozległ się głęboki huk, który jakby, o dziwo, dochodził z wnętrza jej ciała. Jak gdyby potrzęsnęła nią potworna siła, która chciała rozerwać ją na strzępy.

Ścisnęła Móriego za rękę, przygarnęła ją mocno do siebie. Byli oto dwojgiem marnych ludzi zapuszczających się do świata, którego nikt nie znał.

Nero, przypomniało się Tiril. Gdzie Nero?

Wiedziała jednak, że na psa nie działa nigdy obecność niewidzialnych towarzyszy Móriego. Prawdopodobnie oni sami starali się go przed tym uchronić.

Zapanował spokój.

— Móri z rodu islandzkich czarnoksiężników! — rozległ się głos, który echem odbił się od ścian pustej stodoły. — Jesteśmy tutaj!

Tiril dostrzegła ich postacie. Trzymali się z daleka od nędznego pasma światła wpadającego przez otwór w dachu, ale ich sylwetki wyraźnie rysowały się w ciemności. Widziała jakąś niską istotę, która z pewnością nie była Nerem, i kogoś, kto się nad nimi pochylał.

— Słyszeliście moje pytanie — powiedział Móri. — Czy potraficie mi pomóc? Może ktoś z was żył w tym samym czasie co niemieccy czarnoksiężnicy z Tiersteingram?

— Nie, żaden z nas nie był im współczesny — odrzekł czarnoksiężnik z Hiszpanii, Nauczyciel.

Nadzieje się rozwiały. Jak wobec tego zdołają...

— Dlaczego nie miałbyś sam tego zbadać? — zagadnął ktoś wesoło.

Tiril poczuła, że Móri drgnął.

— Co macie na myśli? — spytał niepewnie.

— Sam udaj się w to miejsce i w tamten czas!

— Nie wierzę w podróże w czasie.

Nauczyciel westchnął ciężko.

— Czyż nie mógł nam się trafić bardziej chętny do współpracy i obdarzony większą fantazją człowiek, kiedy już zmuszono nas do powrotu na ziemię? Czy musimy służyć ponuremu, nudnemu uparciuchowi?

Takich uwag Móri nie mógł puścić mimo uszu, zwłaszcza w obecności Tiril. Nauczyciel najwidoczniej na to liczył.

— Nie powiedziałem, że się boję — rzekł przygnębiony. — Tylko że w to nie wierzę.

Na chwilę zapadła cisza, po czym znów rozległ się głos Nauczyciela:

— To znaczy, że nie uwierzyłeś także w to, co ci powiedzieliśmy przed kilkoma dniami, licząc według ludzkiej rachuby czasu? W naszą obietnicę, że nie po-

ciągniesz swej ukochanej w otchłań śmierci, jeśli pojdziesz ją za małżonkę i zbliżysz się do niej?

I Móriemu, i Tiril zaparło dech w piersiach. Dziewczyna była zaskoczona, on urażony.

— O tym nie wolno wam mówić. Nie miałem jeszcze czasu, by porozmawiać o tym z Tiril.

— Czasu miałeś dość.

— Nie. Poza tym ona znalazła się teraz poza moim zasięgiem.

— Wcale nie — energicznie zaprotestowała Tiril.

— Sam słyszysz — roześmiał się Nauczyciel. Wyczuli, że i pozostali się uśmiechają. — To ty jesteś niezdecydowany, nie ona.

— Tiril stała się teraz kobietą wysokiego rodu.

— To zwykle nie stanowi przeszkody dla mężczyzn pragnących osiągnąć swój cel. Ani też dla owych wysoko urodzonych kobiet. Jeśli jednak upierasz się, by zupełnie niepotrzebnie kroczyć wąską i krętą ścieżką cnoty, to pomów z jej matką. Radzę ci jednak się pospieszyć, bo dziewczyna płonie, i ty, i my dobrze o tym wiemy.

Tiril uznała, że rozmowa staje się dość krępująca. Wtrąciła więc pytanie:

— W jaki sposób dostaniemy się w epokę Tiersteingram? Jako niewidzialni obserwatorzy, czy też naprawdę włączymy się w tamten czas?

— To niemożliwe, bo zmienilibyście bieg historii. Waszym jedynym zadaniem będzie obserwować i uczyć się.

— Czy takie przedsięwzięcie jest tego warte?

— Chyba tak. Pamiętajcie jednak, że macie do czynienia z potężnymi mocami!

— Chodzi o tę siłę, która sprowadzi mnie tu z powrotem? — spytał Móri.

— Nie.

— A ty co masz na myśli, mówiąc „sprowadzi mnie z powrotem”? — wtrąciła Tiril. — Chcesz mnie tam zostawić?

— Nie. Nie zamierzam cię tam zabierać.

Zanim zdążyła otworzyć usta, by się bronić, inny z towarzyszy Móriego odezwał się chrapliwym głosem, po ciemku nie zorientowała się, który to z nich.

— Zabierz ze sobą swoją kobietę, Móri z rodu czarnoksiężników! Ona pozostaje pod naszą ochroną, nie możesz ciągle usuwać jej na bok. Nigdy jeszcze nie wypróbowałeś jej możliwości.

Teraz Tiril już wiedziała, że to mówi Nidhogg. Był jej wiernym przyjacielem od czasu, kiedy powitała go z wielkim szacunkiem i usiłowała poczęstować własnym skromnym pożywieniem.

Miała pewność, że będzie bezpieczna.

Jeszcze ktoś włączył się do rozmowy.

— Móri, pokochałeś Tiril, bo jest wyjątkową dziewczyną, prawda?

— Tak.

— Ale na czym polega jej wyjątkowość?

— Hmm... tego nie wiem.

— Bo nigdy nie starałeś się sprawdzić. Wypróbuj teraz jej siłę! Zabierz ją w podróż przez epoki, być może okaże się, że posłuży ci wsparciem i pomocą!

— Przez cały czas będę się niepokoił o jej bezpieczeństwo.

— To całkiem zbędne — zniecierpliwiał się Nauczyciel. — Będziecie tylko obserwatorami.

— A ta moc, o której mówiliście, panie?

— Rzeczywiście jest potężna.

— Ale wy pozostaniecie przy nas przez cały czas? — prędko spytała Tiril.

— Owszem, jeśli sobie tego życzyacie.

— Bez was sobie nie poradzimy — uśmiechnęła się dziewczyna.

— Ty też tak uważasz, Móri?

— Oczywiście — odparł.

Poczuł, że przestaje panować nad sytuacją. W głębi ducha podziwiał odwagę Tiril. Nie zdawał sobie sprawy, że podczas gdy on odnosił się do swych towarzyszy z lekko agresywnym dystansem, ona rozmawiała z nimi życzliwie i naturalnie.

— Musimy jednak wiedzieć, w jaki czas i w jakie miejsce was przenieść.

— Miejsce określić nietrudno, wiecie już, o co mi chodzi — odrzekł Móri. — A czas? Jak sądzisz, Tiril?

Dziewczyna zawahała się.

— Czy nie doszliśmy do wniosku, że Tiersteingram zbudowano w jedenastym wieku?

— To bardzo nieprecyzyjne — wtrącił któryś z duchów. Irytujące było, że w ciemności nie mogli się zorientować, z kim rozmawiają. — Musimy znać rok, dzień i godzinę.

— Może rok tysiąc pięćdziesiąty? — zaproponowała Tiril.

— Dobrze. Dwudziesty lipca roku tysiąc pięćdziesiątego — zdecydował Móri.

— Lato, wtedy jest najprzyjemniej. I na pewno w południe.

Wszyscy uśmiechnęli się ze zrozumieniem.

— Co będzie, jeśli trafimy w niewłaściwy okres? — dopytywała się Tiril.

— Przeniesiemy się trochę w przód. To żadna sztuka. Aż w końcu natrafimy na odpowiedni moment.

— A jak wrócimy? — zainteresował się Móri.

— Podróże w czasie można odbywać na wiele różnych sposobów — odparł najprawdopodobniej duch opiekuńczy Móriego, jego ojciec, Hraundrangi-Móri. — Zwykle podróżuje się przy wykorzystaniu siły myśli. Wy dwoje jesteście uprzywilejowani, bo znacie nas. Moglibyśmy przenieść was tam cieleśnie, namacalnie, sądzę jednak, że to byłoby dla was zbyt silnym przeżyciem. Pozostaniemy więc raczej przy podróżowaniu myślą. To potężniejsze niż się wam wydaje.

Pozostałe duchy mrużąc przyznały mu rację. Któryś powiedział:

— Pilnujcie się jednak, by nie ingerować w to, co zobaczycie! Będziecie tylko i wyłącznie obserwatorami, pamiętajcie o tym. Inaczej możecie spowodować katastrofę.

— Ale przeniesiemy się w przeszłość jedynie myślą?

— Jak już mówiliśmy, siła myśli jest niezwykle potężna, tylko ludzie dotychczas nie odkryli tego faktu.

Tiril wyobraziła sobie, jak wmieszają się w jakieś minione wydarzenia. Na przykład zmieniają coś, co dopiero w przyszłości ludzie nauczą się robić lepiej. I zniszczą przy tym wszystko na ziemi, bo jeden element okaże się niewłaściwy. Jak chora komórka w ciele. Uroczyście obiecała, że nic nie zrobią, ani nie pomogą, ani nie zaszkodzą.

— Co więc teraz mamy zrobić? — spytał Móri.

Tiril wtrąciła się przestraszona:

— A co z Nerem?

— On poczeka tutaj — odparł chyba Duch Zgasłych Nadziei.

— Nie może przecież tak długo być zamknięty na stryszku na siano!

— Kochana Tiril! — roześmiał się któryś z najpotężniejszych. — Nie zabawicie w podróży dłużej, niż trwa zwykła psia drzemka. W dodatku wasze ciała zostaną tutaj. Nero nie zdąży za wami zatęsknić.

Dziewczyna odetchnęła z ulgą, choć po prawdzie niewiele z tego wszystkiego rozumiała.

— Podróż nie potrwa długo. Do zamczyska w Tiveden nie jest wszak daleko, poza tym, wierzcie mi, myśli poruszają się szybko.

— Wspaniale nareszcie móc się wykazać — oświadczył, czyjś wesóły głos.

— Przy całym szacunku dla twej osoby, Móri, muszę przyznać, że służba u ciebie była nieco nudna.

— Wiem — rzekł, zaciskając szczęki. — Nie omieszkaliście wypomnieć mi tego już wcześniej.

Duchy nakazały, by usiedli oparci plecami o ścianę. Z jakiegoś powodu, którego Tiril nie mogła pojąć, odsunęły Nera, kiedy chciała przytulić go do siebie.

Móri wziął ją za rękę, bardzo ją to ucieszyło. Na polecenie duchów zamknęli oczy. Mieli teraz czekać.

Z początku nic się nie działo. A potem rozległ się dźwięk dobrze już znany: głęboki huk, któremu towarzyszyły gwałtowne wstrząsy, jak gdyby ziemia drżała. Wszystko wokół zaczęło wirować coraz szybciej, aż Tiril zakręciło się w głowie, jednak, o dziwo, było to dość przyjemne uczucie.

Potem zaczęły napływać inne wrażenia.

Najpierw wydawało im się, że spadają przez otwór w podłodze stryszku.

Zabijemy się, pomyślała Tiril.

Nie rozbili się jednak o klepisko, spadali wciąż niżej i niżej, dookoła rozbrzmiewało wycie duchów, które prawdopodobnie im towarzyszyły.

Móri uścisnął dziewczynę za rękę.

— Już kiedyś przeżywałem podróż pod ziemię. To nie jest niebezpieczne.

— Nie boję się.

A więc doświadczali tego samego! Owszem, spodziewali się tego, ale było to mimo wszystko dość dziwne. Tiril czuła, jak przedzierają się przez jakąś miękką materię, stawiającą pewien opór, lecz do pokonania. Zapach natomiast nie był przyjemny. Zapach ziemi i śmierci?

Otworzyła oczy. Prawdopodobnie nie powinna tego w ogóle robić i zaraz pożałowała, nie potrafiła jednak zapanować nad ciekawością. Musiała się dowiedzieć, jak to wszystko się odbywa. . .

Słabe niebieskawe światełko umożliwiło jej widzenie.

Dech zaparło jej w piersiach. Zrozumiała, że widok ten nie był przeznaczony dla ludzkich oczu, ale zerknąwszy na Móriego upewniła się, że i on się rozgląda.

— Sami poniesiecie konsekwencje — ostrzegł jakiś cierpki głos tuż obok.

Mknęli ukosem w dół, przez stulecia cywilizacji. Mijali cmentarze, ale i dawne kultury. Im głębiej się znajdowali, tym coraz dawniejsze widzieli pokolenia; nie archeologiczne pokłady śladów przez nie pozostawionych, glinę, skorupy, odpadki kuchenne, lecz całe środowisko, jakim kiedyś żyli ludzie. Zmieniały się ubiory, twarze, historia. . .

Zrozumieli, że podróż w dół musi odbywać się nieskończenie powoli, a zarazem z szybkością błyskawicy. Byli w stanie wczuć się w mijane okresy, w końcu czas przestał istnieć, znaleźli się w beczasowej próżni.

Straszna to była podróż, przekraczająca granice wyznaczone przez rozum. Na ich oczach ginęli ludzie i zwierzęta, a oni nie mogli temu zapobiec, przedzierali się przez cmentarze, pokłady zmarłych w różnych stopniach rozkładu, zaglądali do lochów, w których skazańcy spędzali lata czekając na śmierć w samotności, gdzie najbardziej dokuczała im pewność, że nikt się już o nich nie zatroszczy, nie zapyta o nich nigdy więcej.

Tiril nie umiała się z tym pogodzić.

Nagle się zatrzymali.

— Rok tysiąc pięćdziesiąty — oznajmił Nauczyciel.

Tiril i Móri rozejrzeli się dokoła. Znaleźli się wśród prymitywnych domostw, ludzie zajmowali się codziennymi obowiązkami, życie toczyło się przede wszystkim pod gołym niebem. Ujrzeni sporo kobiet, z kilku otwartych palenisk unosił się gryzący dym, słychać było płacz dzieci.

To jest przerażająco rzeczywiste, pomyślała Tiril. Ale pewnie, tak jak powiedzieli towarzysze Móriego, siła myśli potrafi dokonać prawdziwych cudów.

Nie mogła się dłużej zastanawiać, bo teraz, trafiwszy we właściwy rok, zaczęli się szybko przemieszczać na wschód, nieustannie poruszając się po roku tysiąc

pięćdziesiątym według ich rachuby czasu. W oszałamiającym tempie mijali wioski podobne do tej, którą ujrzeli najpierw, pola, lasy i jeziora.

To jest jak sen, uznała Tiril. Ale bardzo szczególny, żywy sen.

Wokół niej rozlegało się wycie wiatru, ogłuszające przy takim pędzie, lecz i głosy wydawane przez istoty, które mknęły za nimi. Przeciągły ryk rozbrzmiewał w uszach dziewczyny, przez moment zobaczyła obok blade oblicze Nidhogga, które jednak zaraz zniknęło jej z oczu. Zwierzę, ciężko dysząc, biegło u jej boku, czyżby po to, by ją chronić? A przed nimi gnała gromada niewidzialnych, którzy w matowo błękitnej poświacie zdawali się widzialni.

Pomyślała o Nerze, osamotnionym na stryszku w stodole, ale przypomniała sobie, że przecież ona i Móri siedzą przy nim, oparci o ścianę.

Nie czuła jednak, co się dzieje z jej ciałem, tak rzeczywisty był ten sen. Zrozumiała, że to duchy mają wpływ na to, co roi jej się w głowie.

— To tutaj — stwierdził Nauczyciel. Zwolnili. — Jesteśmy w Tiveden, w krainie Sveów. Stąd będziemy się przesuwać przez pokłady ziemi.

Chociaż wiedzieli, że skorupa ziemska przez ostatnie siedem stuleci nie pogrubiała więcej niż o parę cali, droga w górę wydała im się niezwykle długa, oglądali bowiem wszystkie po kolei pokolenia.

Uścisk dłoni Móriego dawał poczucie bezpieczeństwa. Islandczyk wyprawił się już kiedyś w podobną podróż, był silny i dumny, cieszyła się, że może mu zaufać.

Ujrzeli wreszcie światło dzienne. Znaleźli się wśród olbrzymich skał, przerażone blade słońce schowało się za cienkim welonem chmur, panowała niczym nie zmacona cisza.

— To Tistelgorm — szepnęła Tiril. — Poznają skały otaczające zamczysko.

— Tak — potwierdził Móri. — Ale zamku jeszcze nie wzniesiono.

— A więc za wcześniej — podsumował Nauczyciel. — Trzeba jednak przyznać, że to doprawdy doskonałe miejsce na ukrycie takiej budowli.

Było tu oczywiście znacznie jaśniej niż w stodole, którą zostawili w jakże, zdawałoby się, odległej teraźniejszości. Tiril jednak, choć być może powinna, nie miała poczucia nierzeczywistości. Znała wszak wszystkich, którzy im towarzyszyli. Był wśród nich Nidhogg, trupio blady, o straszliwych długich zębach. Nauczyciel, olbrzymi czarnoksiężnik rodem z Hiszpanii, z potworną, ciężką głową. Zwierzę... Tiril ku swej radości spostrzegła, że przypominająca wilka istota ma się o wiele lepiej, niż kiedy widziała ją po raz pierwszy. Zwierzę ufnie patrzyło na nią oczami, które nie wydawały się już oślepienie cierpieniem, skóra nie była tak poszarpana, a wielkie łapy trochę się wygoiły. Tiril zdawała sobie sprawę, że to jej stosunek do biednego stworzenia, jej współczucie pomogło mu osiągnąć bardziej znośny byt w świecie cieni. Pochyliła się i pogłaskała kudłaty łeb, a Zwierzę otarło się o jej nogi.

Towarzyszył im także ten, który chyba najbardziej ją przerażał, Duch Utraconych Nadziei. Wiedziała, że piękny niegdyś mężczyzna, nadzieja we własnej osobie, przeobraził się z winy ludzi. Tym razem wyczuwała także przykrą obecność Pustki. Panie wody i powietrza uśmiechały się do niej, jakby dodając jej otuchy.

Hraundrangi-Móri stał za swym synem, gotów go bronić. Kobieta-duch opiekuńczy Móriego także była z nimi, choć trzymała się raczej z boku, jakby już przestała interesować się swym podopiecznym.

Nie, nie wolno jej tego robić, pomyślała przestraszona Tiril.

— Musimy przemieścić się w czasie do przodu — stwierdził Nauczyciel. — Ale jak daleko?

— Zamku nie zbudowano w jeden dzień — po chwili namysłu odparł Móri. — Może spróbujemy znaleźć się w tym samym dniu, dwudziestym lipca, tylko w roku tysiąc setnym?

Niech tak będzie — skinął głową Nauczyciel. — Ale przenieśmy się najpierw na skały, stoimy akurat w tym miejscu, gdzie wkrótce wzniesiony zostanie zamek.

— To by dopiero było, gdybyśmy nadziali się na przykład na jakąś wieżę — zażartowała Tiril.

Wszyscy się uśmiechnęli.

Jak dziwnie żeglować w powietrzu, wznosić się na wysokie skały! W jednej chwili cała ich gromada znalazła się na szczycie i spoglądała na zagłębienie w ziemi, w którym miał stanąć zamek. Z góry roztaczał się także widok na ostępy Tiveden.

Nie były to jednak całkiem bezludne obszary. Między drzewami Tiril dostrzegła dachy chat.

Nauczyciel wyciągnął ręce, nakazując ciszę i skupienie na sobie uwagi.

— Dwudziestego lipca roku tysiąc setnego — powiedział.

Trwało to zaledwie moment i zaraz Tiril usłyszała nowe odgłosy. Na wszelki wypadek złapała Móriego za rękę.

Wyruszając w drogę prosili, by u celu podróży towarzyszyło im światło dnia. Chcieli lepiej widzieć, co się wokół nich znajduje. Wyraźnie teraz ujrzeli stare zamczysko, które akurat w tej chwili wcale jeszcze starym nie było.

Chodzili po nim ludzie. . .

— Jesteś, panie, pewny, że nas nie widzą? — szeptem spytała Tiril Nauczyciela.

— Oczywiście! Możesz wołać i machać, ile tylko zapragniesz. Nie istniejesz. Chyba że spróbujesz ingerować w ich czas.

Obiecała, że tego nie zrobi.

Zamek nie wyglądał na budowlę szczególnie imponującą, lecz trudno było tego wymagać w tak ciasnym miejscu. Tiril przejęta pokazała Móriemu, że dokoła

biegnie korytarz, ten sam, którego pozostałościami nie tak dawno temu szli. Wewnętrznego korytarza zobaczyć się nie dało. Móri pokazał jej, że wejście w skałę było teraz znacznie większe, stały przed nim strażę.

Okoliczni wieśniacy, pracujący dla pana na zamku, sprawiali wrażenie smutnych, przygnębionych i udręczonych.

Nagle Tiril drgnęła. Oto z zamku wyszedł zły hrabia von Tierstein, ten sam, który gonił ją przez las, dopóki Móri i stary Fin zaklęciami nie zmusili jego upiora do powrotu pod ziemię.

Towarzyszyła mu żona, szwedzka księżniczka. I ona nie wyglądała na szczęśliwą ani zdrową.

Ale starego hrabiego, ojca pana na zamku, nigdzie nie widzieli.

Kobieta-duch opiekuńczy Móriego zwróciła im uwagę na teren poza skałami. Odwrócili się we wskazanym kierunku.

— Ojej — zdumiał się Nauczyciel. — Coś się tu dzieje.

— Głęboka jama? — z niedowierzaniem powiedział Móri. — Kopia jakiś wielki dół w ziemi.

— Na to wygląda — uśmiechnęła się opiekunka Móriego.

— Kiedy my tu przybyliśmy, jamy nie było — oznajmiła Tiril.

— Jesteście tego pewni?

— Mogę przysiąc — odparł Móri. — Szliśmy właśnie tędy. Podłoże było nierówne, pełne zapadlin i wzgórków, rzeczywiście można sobie było wyobrazić, że ktoś kiedyś tu kopał, lecz dół zasypało.

Przeglądali się pracy w lesie. Zatrudniono do niej wielu ludzi, z mozołem przerzucali ziemię, a strażę z batami nie dawały im ani chwili wytchnienia.

— Traktują ich jak niewolników — posmutniała Tiril. — Czy naprawdę nic nie możemy zrobić?

— Nie! — krótko odrzekł Nauczyciel. — To zabronione.

— Wiem, wiem — mruknęła. — Nie wolno zmieniać biegu historii, bo nastąpi prawdziwy chaos. Przepraszam!

— Nidhoggu — odezwał się potężny czarnoksiężnik, Hiszpan o szerokich barach i wielkiej głowie. — Zejdź na dół i sprawdź, co chowają na dnie!

Nidhogg zsunął się ze skały. Ujrzeni, jak znika w wykopanym dole.

— Idzie hrabia! — ostrzegła. Tiril ze strachem. — Chyba nie wyrządzi Nidhoggowi krzywdy?

— Nie, nie, nikt nie zauważy naszego przyjaciela. Nie można zobaczyć myśli.

Tiril uznała, że to bardzo żywe myśli, skoro potrafią się ze sobą w taki sposób komunikować. Nie chciała jednak prosić, by opuściły jej sen, bo z pewnością poczułaby się wtedy bardzo samotna.

— Pan na zamku jest rozgniewany — stwierdził Duch Zgasłych Nadziei. — Praca posuwa się opieszale.

— No to sam sobie kop, parszywy draniu!

Uśmiechnęli się, tylko Móri sprawiał wrażenie zaskoczonego. Zapomniał już, czego Tiril nauczyła się u Ester.

Powrócił Nidhogg.

Jedno przez drugie pytali:

— I co?

— Oni niczego nie chowają — odparł. — Oni szukają.

— Szukają? Tak głęboko pod ziemią? Czego?

— Nie wiem. Spodziewałem się, że będą o tym rozmawiać, lecz nikt się nie odzywał — powiedział Nidhogg, charakterystycznym chrapliwym głosem.

— Jak głęboko kopią?

— Na trzy, może cztery razy wzrost człowieka. Wygląda na to, że mają zamiar zrezygnować. Poza tym zasypią w dole tych, którzy nie mają już sił pracować.

Tiril nie mogła powstrzymać jęku.

— Nie chcę więcej patrzeć, jak traktuje się tych biednych wieśniaków — oznajmiła. — Czy możemy wejść do zamku?

— Oczywiście. Pamiętajcie tylko: żadnej ingerencji.

Skierowali się do korytarza otaczającego budowlę i odnaleźli wrota. Tiril zauważyła, że napisu „Tiersteingram” jeszcze nie wryto. No tak, przecież księżniczka wciąż żyła.

Kiedy jednak w ciasnym przejściu mijali nieszczęsną kobietę, zorientowali się, że jej żywot dobiega kresu.

Osobom urodzonym pod koniec siedemnastego wieku wewnątrz zamku wydało się mroczne i ponure. Wielkie skóry zwierzęce rozpostarte na posadzkach i ławach nie chroniły przed surowym chłodem, przez otwory okienne wpadał wiatr, hulały przeciągi. Tiril zadrżała, zdjeta lękiem.

— Chciałbym odnaleźć pracownię hrabiego — oświadczył Móri.

— Dlaczego? — spytał Nauczyciel.

— Był czarnoksiężnikiem, musiał mieć oddzielne pomieszczenie, w którym odprawiał swe rytuały, eksperymentował. Może uda mi się czegoś nauczyć.

— Uważam, że zbyt wiele już zajmowałeś się wiedzą tajemną, mój synu — ostrzegł go Hraundrangi-Móri. — Nigdy nie zdołasz opanować sztuki wyznaczania granic?

— Czy w tym istnieją jakieś granice?

— O tym właśnie ty powinieneś wiedzieć najlepiej. Myślę, że tutaj jest pomieszczenie, którego szukasz.

Weszli do niewielkiej izby, będącej najwyraźniej schronieniem osoby uprawiającej mroczne praktyki.

— Musimy też odnaleźć drogę do krypty — stwierdził Móri. — Może zdołamy dowiedzieć się czegoś więcej o reliefie na ścianie. A może o zawartości skrytki, do której otwarcia potrzebne były trzy części figurki. Nic nie powinno być zniszczone.

Tiril nie przejawiała takiego entuzjazmu.

— Nie jest wcale pewne, czy stary hrabia w roku tysiąc setnym przybył już do Tiersteingram — powiedziała. — Może więc...

Urwała. Do pomieszczenia wszedł pan na zamku.

— Widzisz? — szepnął Móri. — Spójrz na jego pierś!

Popatrzyła. Na grubym drogocennym łańcuchu wisiał okrągły kawałek drewna, na którym widniał symbol zwany przez nich „znakiem słońca”.

— Mamy więc nawiązanie do baśni o morzu, które nie istnieje — rzekł Móri cichutko, chociaż mężczyzna nie mógł ich usłyszeć.

— To już wiemy — zauważyła Tiril. — Pytanie raczej: co łączy obie te baśnie?

Hrabia zdjął bat ze ściany i wyszedł. Zacisnęli zęby. Oto kolejny niewinny miał cierpieć z jego powodu.

Gdy tylko opuścił pomieszczenie, Móri zbliżył się do stołu. Ruszyli za nim.

Na stole, między czaszką a kapiącą świecą, leżała nie otwarta księga. Znajdowało się tam jeszcze wiele innych przedmiotów, ale tylko księga zainteresowała Móriego.

— Spójrzcie na nią! — rzekł z namaszczaniem. — Patrzcie na te grube arkusze pergaminu!

— Przyjrzyj się lepiej oprawie — poprosiła Tiril. — Co tam napisano, o czym jest ta księga?

Tekst trudno było odczytać, wyryto go przypominającymi runy literami, po wielu staraniach zdołali go jednak odcyfrować: STAIN ORDOGNO. A poniżej coś, co wyglądało jak DEOBRIGULA.

Nic im to nie mówiło.

Największe jednak zainteresowanie wzbudził znak słońca, umieszczony na samej górze okładki.

— Muszę przejrzeć tę księgę — stwierdził Móri, odruchowo kładąc rękę na grubym tomie, by go otworzyć.

— Nie, Móri, nie! — zawołała Tiril. — Nie wolno nam!

Wielka dłoń Nauczyciela zamknęła się na ręce Móriego.

W okamgnieniu wciągnął ich piekielny wir, szarpnął nimi z dzikim hukiem i ocknęli się, siedząc na stryszku stodoły we dworze niedaleko Christianii.

Przybiegł Nero i radośnie ich obwąchał.

Móri przymknął oczy i westchnął.

— Ależ ze mnie głupiec! Zaprzepąściłem wspaniałą okazję! Sądzę, że nasi przyjaciele nie zechcą nas tam zabrać jeszcze raz.

— Możesz być tego pewien — cierpko rzuciła Tiril, zapamiętała sobie jednak zadowolona, że wyraził się „nasi przyjaciele”. Tak więc czarnoksiężnik Móri poczynił wielki krok naprzód!

Rozdział 13

Księżna Theresa nie mogła zmrużyć oka, choć po dwóch dobach bez snu zmęczenie dawało o sobie znać bólem całego ciała. Dopiero nad ranem udało jej się zdrzemnąć.

Moja córka... Nareszcie spotkałam swe jedyne dziecko. Cóż za przemiłe stworzenie! Śliczne w tak trudny do określenia sposób. Jakby w dość przeciętnych rysach odbijała się piękna dusza.

Tak bardzo już ją polubiłam, gotowa jestem nieba jej przychylić.

Ona jednak okazuje pewną rezerwę. Nie może być inaczej wszak upłynęła zaledwie doba, odkąd się poznałyśmy, lecz i tak jej dystans sprawia ból. Ona wszystko robi z wahaniem. Wprawdzie pozwała mi trzymać się za rękę, pozwała się uściskać, ale zachowuje się biernie, sama nie bierze w tym udziału.

Jak mam do niej dotrzeć?

Jak zdołam wszystko naprawić? Te długie lata, kiedy nawet nie wiedziała o moim istnieniu? Ileż zła doświadczyła!

Ale czy w zamku Gottorp byłoby jej lepiej?

— Nie, z pełnym przekonaniem mogę powiedzieć: nie!

Theresa zorientowała się, że nagle przemówiła na głos. Oby tylko nie usłyszała jej pokojówka w sąsiednim pokoju!

Takie długie pasmo tęsknoty! Skończyło się, nie chcę już nigdy rozstawać się z moim dzieckiem. Nigdy, nigdy więcej!

Ach, wszystko jest takie nowe, dzieje się tak szybko!

Na dobitkę śmierć Adolfa...

Theresa nie chciała precyzować stanu swych uczuć, zastanawiać się, czy odczuwa żal, czy też tylko ulgę. Bała się własnych myśli.

Nie mogła jednak zaprzeczyć, że ogarniał ją niepokój na myśl o tym, co ją czeka w najbliższych dniach.

Dlaczego nie pozwalają mi pochować go tutaj, w Christianii? — zadawała sobie pytanie. Dlaczego krewni nalegają, by złożyć ciało do grobu w Holsteinie-Gottorpie? A jeśli tak bardzo sobie tego życzą, dlaczego sami nie towarzyszą zwłokom? Stwierdzili, że to moja powinność. Prosiłam o dodatkowy powóz, który

mógłby jechać za karawanem, lecz odmówili twierdząc, że tak nie uchodzi. Wdowa musi towarzyszyć zmarłemu mężowi aż do samego domu, przynajmniej tyle powinnam uczynić dla biednego Adolfa, skoro odmawiałam mu dziecka! Ach, jak mało wiedzą! Nie, to nieprawda, wiedzieli o wszystkim. Wiedzieli, że jest bezpłodny, widzieli, aż za często, jak mnie bije. Za wszelką cenę jednak pragnęli zachować pozory. Moim kosztem. Bo jestem z rodu Habsburgów, przewyższam ich urodzeniem, dlatego chcą mnie zniszczyć, zdeptać.

Właściwie nigdy nie wybaczyłam rodzicom, że zmusili mnie do poślubienia księcia Adolfa. Nie chciałam go za męża! Marzyłam. . .

Nie, o tym nie wolno mi myśleć!

A dlaczego? Mój ukochany. Jedyna miłość mego życia. On dał mi Tiril. Dziecko, które musiałam porzucić. Teraz jednak je odzyskałam.

A Adolf nie żyje.

I chociaż muszę towarzyszyć coraz bardziej cuchnącej trumnie do zamku Gortorp, nic więcej pod słońcem nie wiąże mnie już z tym miejscem. Zrobię, co zechcę, a to oznacza, że przyłączę się do Tiril i zatroszczę o jej przyszłość.

Tylko gdzie zamieszkamy?

Ten dwór świetnie by się do tego nadawał, ale stara jędza żąda za niego fortuny.

Aurora. . .

Biedna, zniewolona Aurora, wiem, że i ona chętnie osiadłaby tutaj, z daleka od swej potwornej matki.

Nigdy nie spotkałam osoby równie okropnej jak ta stara czarownica. W dodatku wygląda na to, że dożyje setki.

Przyjaciele Tiril budzą mój niepokój. Zaopiekowali się nią, prawda, i są wobec niej bardzo lojalni. Ale kim oni właściwie są?

Baronównę van Zuiden znają wszyscy, doprawdy nie jest ona odpowiednim towarzystwem dla mojej Tiril. A przecież nie mogę powiedzieć: „Nie wolno ci się już z nami spotykać”. Catherine van Zuiden zbyt wiele uczyniła dla mojej córki.

Dzięki Bogu wkrótce wyjedzie już do Bergen, razem z Erlingiem Müllerem.

Theresa uśmiechnęła się leciutko. Erling Müller! Nazwał się von Müller, byle dostać się na bal! Cóż za śmiałość. Lubię tego człowieka, jest uczciwy, przystojny i bogaty, ma dobry charakter. I tak wiele pomógł Tiril.

Niestety, nie jest szlachcicem.

W dodatku Tiril nie łączy z nim żadne cieplejsze uczucia. Kiedyś bardzo się nią interesował, sam mi to wyznał, lecz uczucie zgasło, nie miało się czym karmić.

I ten ostatni, najdziwniejszy z nich wszystkich! Móri. Doktor Móri. Nie jest właściwie medykiem, przyznał to, gdy opowiadali mi swą historię. Ale kim wobec tego jest? A może czym?

Najgorsze, że Tiril żywi dlań bezgraniczny podziw. Czy nie widzi, że jest niebezpieczny?

Obawiam się, że właśnie ta strona jego natury ją pociąga. Można chyba mówić o swoistej miłości, jaka ich łączy. Jego ciemne oczy niczego nie zdradzają, ale sposób, w jaki jej dotyka. . .

Niepokoi mnie to.

Trzasnęły drzwi wejściowe. . .

Właśnie weszli, razem, słyszę, jak rozmawiają w sieni. Ale Tiril nie zabawiła długo poza domem, zaledwie kilka minut, nie mogli zdążyć. . .

Cóż za paskudne myśli! Sama przecież wiem, jak to jest być młodą i zakochaną. Nie lepiej się zachowałam, miałabym więc ich osądzać?

Na pewno do niczego nie doszło w tak krótkim czasie, głowę dam sobie uciąć.

Rozchodzą się, mówią sobie dobranoc, Tiril przywołuje swego wielkiego psa.

Nero. Naprawdę wspaniały pies, najlepszy stróż dla mojej córki.

Jutro muszę pomówić z Mórim, dowiedzieć się, jak się sprawy mają.

Słyszałam, że w sieni wspomnieli o Tiersteingram. Znów Tiersteingram! Nie rozumiem, jak to się ze sobą, wiąże. I ta stara opowieść, co oni próbują odkryć?

Prosilili, bym postarała się przypomnieć sobie więcej szczegółów. Oczywiście zrobię wszystko, by spełnić ich życzenie, choć nie rozumiem, dlaczego.

Co ten Móri właściwie powiedział? „Sama widzisz, Tiril, pudełko w pudełku, w pudełku, w pudełku, w pudełku. . .”

Co mógł mieć na myśli?

Wymienił też parę dziwnych słów, starała się je zapamiętać. Coś jakby „ordogno”? I „deobrigula”?

Całkiem niezrozumiałe wyrazy.

Theresa mocniej otuliła się kołdrą i próbowała zasnąć. Myśl o podróży do Holsteinu- Gottorpu napawała ją strachem.

Następnego dnia w porze obiadowej pojawiła się Aurora.

Udało mi się wymknąć — mówiła z radością. — Droga matka miała znów ciężką noc, odbijało jej się żółcią, dokuczały gazy w żołądku. Położyła się więc po śniadaniu, na które jak zwykle zjadła za dużo, i zasnęła. Lizuska wyszła coś załatwić, a ja wtedy postanowiłam przyjechać tutaj. Jak się macie?

— Doskonale — odparł Erling. — Móri jest u księżnej, która chciała z nim mówić. I coś jest nie w porządku z wielkim piecem kuchennym, służący narzekają, że muszą przygotowywać posiłki na małym piecyku w przedpokoju.

— To przecież niemożliwe! — zafrasowała się Aurora. — Ale oto pokojówka, spytajmy ją, co da się zrobić.

Okazało się, że jeden ze służących, tutejszy, sugerował, by wezwać sąsiada, zręcznego, znającego się na rzeczy męzczyznę. Aurora poprosiła, by natychmiast się tym zajęli.

— Dobrze. A o czym to Theresa chciała rozmawiać z doktorem Mórim?

— Nie wiem — odparła Tiril żalonym głosem. — Ale chyba się domyślam.

Tiril snuła słuszne przypuszczenia. Rozmowa, która toczyła się w pokoju Theresy, była dość trudna dla obu biorących w niej udział stron.

— Wasza wysokość, pani pytanie zmusza mnie do uprzedzenia biegu wypadków — rzekł Móri. Siedział w obitym jasnoniebieskim jedwabiem fotelu, stanowiącym odpowiednie tło dla jego ciemnej postaci. Theresa zasiadła naprzeciwko w takim samym fotelu.

Spoglądała na swego rozmówcę z wyczekiwaniem. Sińce na jej twarzy zabarwiły się odcieniami żółci i zieleni, natomiast opuchlizna nieco się zmniejszyła. Podobieństwo Tiril do matki stawało się coraz wyraźniejsze.

— Pyta mnie pani o moje zamiary względem pani córki. Czy wolno mi będzie odpowiedzieć szczerze?

— Oczywiście, o to właśnie proszę.

— Gdy ujrzałem Tiril pierwszy raz, a było to w bergeńskiej kuźni, natychmiast zauroczyła mnie jej osobowość. Wiem, że to może zabrzmieć banalnie, lecz było w niej coś, co wywołało moje wzruszenie. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że stanowimy jedność, jesteśmy nierozdzielnie ze sobą połączonymi częściami całości. Czy wasza wysokość to rozumie?

— Sama doznałam podobnego uczucia. Wówczas gdy spotkałam ojca Tiril.

Móri kiwnął głową.

— Z początku usiłowałem trzymać się na uboczu. Próbowałem opiekować się nią tak, by się nie zorientowała, skąd płynie pomoc. To jednak nie było możliwe na dłużej. Okazało się, że Tiril rozpaczliwie potrzebuje wsparcia, opowiadaliśmy o tym już wcześniej. Niemal jednocześnie ze mną pojawił się Erling Müller. I on zakochał się w Tiril, najbardziej prawej osobie, jaką znam. Ona widziała w nas przyjaciół, w pełni nam zaufała i zawierzyła. Wszystko szło nieźle, starałem się zapanować nad swymi uczuciami tak, aby ona się o nich nie dowiedziała, by się tym nie dreczyła. . . Tak było do czasu wypadków na Islandii. Ta młoda dziewczyna pojechała tam całkiem sama i ocaliła mi życie. Już pani o tym wspominaliśmy.

— Owszem, nigdy jednak nie opowiedzieliście mi, co właściwie spotkało cię na Islandii, Móri. Jesteś bardzo tajemniczą osobą. Mam wrażenie, że wiele przede mną ukrywacie.

Móri zamyślił się. Powoli, głęboko odetchnął.

— Ponieważ rozważamy dość istotne kwestie, dotyczące przyszłości Tiril, chciałbym, aby wasza wysokość dowiedziała się, kim jestem. Na Islandii takich jak ja zwą *galdrameistare*, czyli czarnoksiężnikami. I jeśli wolno mi tak o sobie powiedzieć, jestem potężnym czarnoksiężnikiem.

Theresa nawet się nie skrzywiła.

— Udowodnij mi to!

— Zwykle nie chcę nadużywać swej mocy, lecz dla pani... Proszę wziąć do ręki tę miseczkę, wasza wysokość!

Po chwili wahania usłuchała. Podniosła śliczną chińską czarno-czerwoną miseczkę z laki. Była pusta.

— Proszę teraz na nią spojrzeć!

Theresa przeniosła wzrok na naczynie.

Na jej oczach powoli wypełniało się wodą, która w końcu przelała się przez brzeg i zaczęła skapywać na stół. Zdumiona księżna wypuściła miseczkę z rąk. Naczynko upadło na blat, znów puste, nigdzie nie było widać ani kropli wody.

Theresa zacisnęła usta, starała się oddychać spokojnie, nie mogła jednak nad sobą zapanować.

— Proszę mi wybaczyć, księżno — cicho powiedział Móri. — Z pewnością jednak rozumie pani teraz, dlaczego starałem się okazać wstrzeźliwość w moich stosunkach z Tiril, chociaż nie zdawałem sobie sprawy, że jest ona tak wysokiego rodu.

— Za to ona zaczęła okazywać ci cieplejsze uczucia, prawda?

— Tak. Z początku starałem się skrywać, co do niej czuję, lecz ona i tak wiedziała. To zazwyczaj się nie udaje.

— Wiem o tym.

— Zapewniam jednak waszą wysokość na honor i sumienie, że nigdy jej nie skrzywdziłem. Tiril jest dziewczicą i pozostanie nią, dopóki nie wyjdzie za mąż.

— Dziękuję!

— Muszę jednak przyznać, że kilka razy było mi naprawdę trudno. Zawsze obawiałem się, by nie pociągnąć jej za sobą w mroczne światy, po których czarnoksiężnik taki jak ja, pokusiwszy się o to, co zrobiłem na Islandii, musi się poruszać. Najstraszniejsze, że z otchłani przywiodłem ze sobą pewne istoty...

— Aha — pokiwała głową Theresa. — Teraz już pojmuję!

— Wasza wysokość wyczuwa ich obecność, prawda?

— Tak, ale nie mogłam zrozumieć, co to jest.

Przygryzł wargi.

— Przed kilkoma dniami poprosiłem je o radę. Uznały, że mogę wziąć na siebie tę odpowiedzialność i poślubić Tiril. Wyraziły swoją zgodę. Wyjaśniły także, że nie spotka jej nic złego, ona bowiem nigdy nie odwiedziła doliny zimnych cieni.

Napięcie księżnej dało się wyraźnie zauważyć. To było dla niej trochę za dużo jak na jeden raz.

— Ale następnego dnia dowiedzieliśmy się, z jak szlachetnego rodu wywodzi się naprawdę moja wybranka. Zrozumiałem, że nie mogę się oświadczyć bezpośrednio jej, tylko muszę zwrócić się do waszej wysokości, prosząc o rękę Tiril.

Miałem zamiar wstrzymać się do chwili, gdy pani wyraźniej wytyczy jej przyszłość, chciałem sprawdzić, jak Tiril zachowa się w nowym otoczeniu. Gdyby się okazało, że w jej nowym życiu nie ma miejsca dla mnie, natychmiast bym się wycofał. Pani pytanie jednak o moje zamiary względem Tiril zmusiło mnie do tych wyznań. Mam nadzieję, że wasza wysokość okaże zrozumienie dla mojej sytuacji.

— Oczywiście, w pełni to rozumiem. Ale nie mogę podjąć żadnej decyzji, na to zbyt wcześnie.

— To bardzo mądra odpowiedź. Dziękuję, że nie wskazuje mi pani od razu drzwi.

— Dlaczego miałabym tak postąpić? Kto z nas dwojga więcej zrobił dla dobra Tiril, ja czy ty?

— Wasza wysokość zrobiła tyle, ile mogła.

Księżna zamyśliła się. Móri widział, że targają nią sprzeczne uczucia, odbijało się to na jej twarzy.

— Tiril jest taka młoda — rzekła z wahaniem. — Nie wolno nam nic czynić w pośpiechu. Rozumiem, że potrzebuje twojej opieki, Móri, zwłaszcza gdy ja wyruszę do Gottorpu, a Erling i Catherine powrócą do Bergen. . .

Uśmiechnęła się.

Nie traktuj mego pytania jak zachęty, lecz co masz zamiar ofiarować Tiril?

I Móri leciutko się uśmiechnął, zaraz jednak spoważniał.

— Bezgraniczną miłość, czułość, troskę i wierność. A poza tym. . . nic! Nie mam nawet domu, do którego mógłbym ją wprowadzić, nie zapewnię jej bezpieczeństwa pod względem materialnym. I kiedy już tak szczerze rozmawiamy, nie należy zapominać o ciężarze, jaki dźwigam na barkach. Czarnoksiężnik nie we wszystkich kręgach jest równie mile widziany, jak już mówiłem, żyję na granicy świata chłodnych cieni, a moi niewidzialni towarzysze mogą wzbudzić trwogę. Ale w Tiril nie budzą przerażenia, sądzę nawet, że darzą ją większą sympatią niż mnie. Nazywają mnie nudziarzem, a dla niej gotowi są chyba uczynić wszystko.

Księżna starała się przyjąć to z godnością i życzliwie, lecz z trudem panowała nad sobą.

— Wdzięczna jestem za twoją szczerą, Móri, choć nie wszystko, o czym mówisz, rozumiem i akceptuję. To świat całkiem mi obcy. O materialne potrzeby Tiril martwić się nie musisz, ja się tym zajmę. Ale niezbędne jej jest kobiece towarzystwo. Wprawdzie ufam ci, ale nie możecie zamieszkać tu tylko we dwoje. Gdybyż Aurora. . .

Urwała.

— Odwiedziliśmy w Christianii pani pośrednika, księżno — powiedział Móri — aby dowiedzieć się, kto ujawnił tajemnicę pochodzenia Tiril. To on, owładnięta nim skleroza. Jego gospodyni natomiast życzliwie udzieliła nam cennych informacji, które naprowadziły nas na ślad prześladowców Tiril. Wspomniała też o czymś, czym wasza wysokość jak najszybciej powinna się zająć: wielka suma,

jaką przed laty przeznaczyła pani dla córki, jest w niebezpieczeństwie. Bankier nie ma już kontroli nad samym sobą i w swej naiwności gotów jest wypłacić wszystkie pieniądze oszustom, w ostatnich latach przechwytyjącym wypłaty.

— Ależ przecież bankier miał zaufanego kuriera! — wykrzyknęła Theresa.

— Kuriera zabili ci, którzy teraz nastają na życie Tiril. Przejeli jego zadanie.

— Cóż za straszna historia! Muszę natychmiast udać się do bankiera.

— Sądzę, że to właściwa decyzja. Uważam też, że Tiril powinna pani towarzyszyć.

Theresa popatrzyła na niego badawczo. Z oczu bił wielki niepokój.

— Ci prześladowcy... Znacie ich nazwiska?

— Owszem. Jeden już nie żyje, trafiony przypadkowym strzałem. Nazywał się Georg Wetlev. Drugi to Heinrich Reuss.

— Heinrich Reuss? Słyszałam, oczywiście, o tym starym rodzie książęcym, w którym wszyscy mężczyźni noszą imię Heinrich. Żadnego z nich jednak nie znam osobiście. Obiecuję, że będę czujna i dam znać, gdy tylko usłyszę coś, co może was zainteresować.

— Doskonale!

— Jeśli natomiast chodzi o odpowiednie towarzystwo dla Tiril na czas, kiedy tu zamieszkacie... Spróbuję znaleźć damę, która się tego podejmie. Poza tym wrócę tu jak najprędzej, gdy tylko uporam się ze wszystkimi sprawami i definitywnie zerwę wszelkie związki z Holsteinem-Gottorpem. W tym czasie na pewno zdołamy się zastanowić nad przyszłością mej córki, i moją także.

Móri zrozumiał, że audyencja dobiegła końca, i pożegnał się dwornie.

Kiedy wyszedł, Theresa długo stała koło łóżka, nakrytego piękną narzutą. Potem uklękła i złożyła dłonie.

— Drogi Ojcze w niebie — wyszeptwała. — Dzięki Ci za to, że pozwoliłeś mi spotkać moją córkę, że będę się mogła nią zająć, tak wiele trzeba nadrobić. Dzięki Ci za to, że strzegłeś jej przez te lata, kiedy ja ją zawiodłam. Tak bardzo ją kocham! Poprowadź mnie teraz, abym zrozumiała, co będzie dla niej najlepsze. Wiesz, Ojcze, że jestem głęboko wierząca. Udziel mi rady, jak mam postąpić wobec tego niezwykłego człowieka, który tak wiele dla niej uczynił, a teraz pragnie pojąć ją za żonę. Obcy jest mojej wierze, a w twoich oczach z pewnością wyklęty, lecz oni się kochają, on pragnie tylko jej dobra. Nie chcę ich zranić, daj mi znak, wskazówkę, jak powinnam postąpić. On nie jest także szlachcicem, to jeszcze pogarsza sprawę. Ale z drugiej strony córka moja to owoc grzechu, w twoich oczach ciężkiego grzechu, arystokracja także nigdy jej nie zaakceptuje. Moje wahanie nie jest więc bezpodstawne.

Umilkła. Długo się namyślała.

— Panie, przyjmij dobrze mego nieszczęsnego małżonka Adolfa! Wiem, że nie zawsze miałam dla niego dość cierpliwości, jak przystało żonie. Teraz, kiedy umarł, lepiej rozumiem, jak trudne musiało być jego życie. Poślubił kobietę, która

nigdy nie zdołała go pokochać. Staralam się być posłuszna, wypełniać jego wolę, rozumiem jednak, że moja zamknięta twarz wiele mu mówiła. Bardzo musiał cierpieć, wiedząc, że nie może spłodzić dzieci, sądzę, że jego humory, brutalność i niewierność w tym właśnie miały swe przyczyny. Boże, naucz mnie boleć nad jego śmiercią, z takim trudem przychodzi mi okazywanie żalu! W głębi serca odczuwam tylko ulgę, a tak przecież być nie powinno! Owszem, współczuję mu, lecz nic ponad to. Daj mi siłę, bym potrafiła okazać wyrozumiałość wobec jego złych cech, pozwól wspominać tylko dobre chwile, które wspólnie przeżyliśmy.

Chociaż żadnej takiej nie pamiętam, pomyślała ze wstydem.

— Panie, daj mi siłę! Uczyń mnie dobrym, pokornym człowiekiem, widzę, że czeka mnie długa droga!

Zakończyła modlitwę:

— I chroń ode złego moje ukochane, tak rozpaczliwie wytęsknione dziecko!
Amen.

Podniosła się z klęczek i wyjrzała przez okno.

— Heinrich Reuss — szepnęła. — Nieznajomy, nie spokrewniony z nami. I Georg Wetlev, nawet o nim nie słyszałam. Dwaj obcy. Dlaczego?

W sieni rozbrzmiewał głos donośny jak dźwięk rogu:

— Tak, tak, panienko Auroro, ten piec zaraz się rozpali, będzie ciągnął tak, że diabli zechcą pożyczyć go do piekła!

— Jak miło, że zgodziliście się przyjść, Mikalsen, pewnie w zagrodzie sporo teraz roboty?

— Nie, nie, panieczka się myli, bo widzi panienska, ja nie jestem gospodarzem, tylko młodszym bratem. A oto moja siostra Seline, przyszła zapytać, czy do czegoś by się nie przydała.

— O, tak miło, że na dworze nareszcie ktoś zamieszkał — zawtórował mu przyjemny kobiecy głos. — Przykro patrzeć na takie ciche, ciemne sąsiedztwo.

Theresa wyszła do sieni, by przywitać nowo przybyłych.

Brat gospodarza odznaczał się niecodziennym wyglądem. Potężny jakich mało, niemal tak samo szeroki jak wysoki, górował nad wszystkimi mieszkańcami dworu zebranych w sieni. Jego siostra, również wysoka, miała wesole, ciekawie spoglądające oczy. Theresa polubiła oboje od pierwszego wejrzenia.

Aurora także poczuła do nich sympatię.

Kiedy się już przywitali, Theresa oświadczyła:

— Oczywiście, bardzo mi się przyda wasza pomoc, pani Seline. Czy pani jest związana jakimiś obowiązkami?

— Nie, mąż nie żyje, a dzieci wyprowadziły się na swoje. Wałęsam się po domu z kąta w kąt, bez żadnego pożytku.

Księżna szczerze się uradowała. Seline prędko wprowadzono w sytuację. Czy zgodzi się pełnić funkcję przyzwoitki dla dwojga młodych, którzy muszą zamieszkać pod jednym dachem? Być damą do towarzystwa młodzianki Tiril? Oczywiście Móri mógłby zamieszkać gdzie indziej, lecz Tiril potrzebuje jego ochrony, bo na jej życie nastają dwaj tajemniczy mężczyźni.

Seline i jej brat, August, zgodzili się zamieszkać we dworze. „Chciałbym zobaczyć tego, który mi się wymknie”, oświadczył olbrzym.

Erling objaśnił, że przestępcy są uzbrojeni w broń palną.

— To znaczy, że będę musiał przynieść swój muszkiet — spokojnie powiedział August.

Wszyscy odetchnęli z ulgą. Wyglądało na to, że sprawy ułożą się jak najlepiej. Theresa i Aurora mogły spokojnie opuścić Norwegię w przekonaniu, że Tiril znajduje się pod dobrą opieką. Obie żywiły nadzieję, że wkrótce tu powrócą. W jaki sposób Aurora miałaby się wyrwać spod władzy matki-jędzy, nie chciała się na razie zastanawiać.

August człapał za Aurorą po domu, słuchając poleceń, co należy zreperować, z miną znawcy obmacywał ściany, piece i zbiorniki na wodę i wypowiadał się ze spokojem na temat napraw. Aurora, niezwykajna męskiego towarzystwa, wsłuchiwała się w jego głęboki głos z radością pomieszaną ze strachem.

Oprowadziła go po wszystkich zakątkach domu, zajrzeli nawet do piwnicy i na strych, tak chciała przeciągnąć te przyjemne chwile. Obsypywała go pytaniami, szczebiotała przechylając głowę i z zachwytem obserwowała potężne mięśnie Augusta, poruszające się pod koszulą.

Ani jednej myśli nie poświęciła przy tym swej wiecznie ubolewającej nad sobą matce.

Kiedy dokonali już przeglądu całego dobytku, Aurora z zarumienionymi policzkami wróciła do sieni, szczęśliwsza niż kiedykolwiek w życiu. Bo czyż August nie powiedział, w związku z pojemnikami na śmieci, które należało odnowić: „Jest pani porządną damą, poznaję to po pani oczach, panienko Auroro”.

Czyż więc należy się dziwić, że spragnionej sympatii kobiecie, skutej przez matkę kajdanami strachu, życie w jednej chwili wydało się wspaniałe?

W końcu dwór opustoszał. Wielkim czarnym karawanem, na którym z tyłu umieszczono trumnę, odjechała Theresa razem z nieodłączną pokojówką. Jedyne myśli o przyszłości i cudownie odnalezionej córce ratowała księżną przed całkowitym załamaniem.

Kilka dni później Aurora siedząc w powozie starała się nie słyszeć nieprzerwanych narzekań matki, jej kąśliwych uwag i mieszania bliźnich z błotem. Próbowwała uchylić drzwi powozu, by wywietrzyć i pozbyć się nieprzyjemnego fetoru, bijącego od smoczycy, lecz stara skarżyła się, że zanadto wieje.

Jak, na miłość boską, zdołam się od niej uwolnić i wrócić do Norwegii? — zastanawiała się przejęta Aurora, kiedy powóz toczył się po błotnistych drogach południowej Jutlandii. Chcę powrócić do moich przyjaciół!

Na nadmiar przyjaciół nigdy nie narzekała.

Zaczęła także snuć nowe marzenia. Marzenia, które czasami ją szokowały, lecz za żadną cenę nie chciała się z nimi rozstać.

Ale przecież on nie jest szlachcicem, starała się myśleć trzeźwo. A zatem to niemożliwe. Chyba jednak wolno mi marzyć?

Lizuska jakby potrafiła czytać w jej myślach. Młoda dziewczyna siedziała na przeciwko, na jej ustach igrał złośliwy uśmiezek, a w oczach zapalał się diabelski błysk.

Erling był gotów do powrotu do Bergen. Musiał jechać, choć miał wielką ochotę zostać w Christianii jeszcze przez jakiś czas. Tym razem miał podróżować statkiem w towarzystwie Catherine, której nie trafiła się okazja rozprawienia się z wdową-jędzą. Zatrószył się o to Móri. Nie żywił cieplejszych uczuć dla starej, podjął po prostu skazaną na niepowodzenie próbę sprowadzenia Catherine na dobrą drogę.

Dla Erlinga.

Wyglądało na to, że wszystko pomału się łoży. Pieniądze Tiril ulokowano bezpieczniej, razem z Mórim radowali się, że oboje nareszcie mają miejsce, które da się nazwać domem. Nero nie mógł się nacieszyć swym nowym rozległym terenem i głośnym szczekaniem ploszył włóczęgów.

Mimo to jednak właśnie teraz Tiril i Móri wpadli w naprawdę poważne tarapaty. Tym najgroźniejszym w dużym stopniu sami byli winni, pozostałe, równie groźne, nadeszły z zewnątrz. Oblicze zła zaczęło wyłaniać się z mroku.

Rozdział 14

Lodowate oczy spoglądały na Heinricha Reussa.

— Pot nad twą górną wargą zdradza, że zmarnowałeś ostatnią szansę — rzekł von Kaltenhelm. — Niewiele czasu upłynęło, odkąd przyniosłeś fatalne wieści o śmierci Georga Wetleva. A teraz przybywasz z równie złą wiadomością, prawda?

— Nie, nie — zaprzeczał zdyszany Heinrich Reuss.

— Spociłem się, bo tak się spieszyłem tutaj, do Akershus.

— No i jak? Pojmałeś Tiril Dahl?

— Nie, jeszcze nie.

— Gdzie ona jest?

— Jakby zapadła się pod ziemię. Dziewczyna, pies i ten groźny cudzoziemiec zniknęli. Ale mam też lepsze nowiny. Wytropiłem dwoje jej przyjaciół. Erling Müller i baronówna van Zuiden zamówili miejsca na statku, który jutro rano wypływa do Bergen. Pozbędziemy się więc dwojga strażników Tiril Dahl!

Z dumą popatrzył na swego groźnego zwierzchnika, ale twarz Horsta von Kaltenhelma ściągnął gniew.

— Czy można być jeszcze większym durniem? Pędź natychmiast do portu, strzeż drogi tam prowadzącej! Nie rozumiesz, że oto stoimy przed niezwykłą szansą?

Reuss popatrzył na niego nic nie rozumiejąc.

— Masz trzy możliwości — oświadczył von Kaltenhelm, przybliżając twarz do twarzy podwładnego-idioty i kładąc nacisk na każdej sylabie, żeby zmusić go do myślenia. — Pierwsza możliwość jest taka, że Tiril Dahl odprowadzi swych przyjaciół na statek. Tak oczywiście byłoby najlepiej, bo wtedy ją pojmasz. Żywą, nie zapominaj o tym! Nasz Mistrz chce wydusić z niej prawdę. Drugie wyjście to śledzić Tiril do jej kryjówki i tam się nią zająć. Trzecia możliwość to pochwycić jedno z wybierających się w podróż i torturami wydusić z niego wszystko, co wie, albo wziąć jako zakładnika i wymienić na Tiril Dahl. I nie Catherine van Zuiden, bo o nią nikt nie zapyta. Ale do tego młodego kupca z Bergen Tiril Dahl jest, zdaje się, bardzo przywiązana. Złapcie jego, bo baronówna nic nie jest warta.

Heinrich Reuss odczuł ogromną ulgę, słysząc, że wywinie się tak łatwo.

— Nie wiem jednak, czy sam sobie z tym poradzę.

Ponury von Kaltenhelm zastanowił się chwilę.

— Pomoże ci człowiek, który zastąpi Georga Wetleva. On ma dość oleju w głowie, bądź mu więc posłuszny!

Jak zwykle von Kaltenhelm upokorzył Heinricha Reussa ostatnią krótką uwagą, rzuconą już w biegu:

— Nasz Mistrz się niecierpliwi. Czas zaczyna się już kończyć.

Za każdym razem, gdy wspomiano Mistrza, Reussa zlewał zimny pot strachu.

Uciekaj, Heinrichu, uciekaj!

Ale przed Mistrzem nie dało się uciec.

Von Kaltenhelm, odszedłszy kawałek, odwrócił się. Popatrzył, jak Heinrich Reuss znika w głębi ulicy, i uśmiechnął się z pogardą.

Wiedział więcej niż inni.

Mistrz naprawdę zaczynał tracić cierpliwość. Gotów był osobiście się włączyć.

Mogło to nastąpić w każdej chwili.

A wtedy... Niech Bóg się zmiłuje nad Tiril Dahl! I nad tym tchórzem, Heinrichem Reussem!

Wyznaczony czas upływał.

Nawet von Kaltenhelm drżał ze strachu. Jeśli Heinrichowi Reussowi nie powiedzie się po raz kolejny, i on, Horst von Kaltenhelm, popadnie w niełaskę.

Rzecz jasna nie miał zamiaru uczestniczyć osobiście w tak prostackich zadaniach jak te, które wyznaczał Reussowi i innym, lecz...

Mistrz nigdy nie okazywał litości.

Tiril i Móri nie odważyli się odprowadzić przyjaciół do samej Christianii. Znaleźli schronienie i nie chcieli zaprzepaścić możliwości pozostania w bezpiecznym miejscu jeszcze przez jakiś czas.

Odwieźli ich kolaską tak daleko jak uznali za stosowne, a tam czekał już drugi, wynajęty, zamówiony przez Erlinga powóz.

Pożegnali się na skraju lasu pod miastem.

— Wrócimy — oświadczyła Catherine. — A kiedy już wszystko się uspokoi, wy też musicie przyjechać.

Erling nie był takim optymistą.

— Nie chcę was porzucać w tak trudnym położeniu — powiedział cicho. — Ale już nazbyt długo zostawiłem, interesy. Uważaj na Tiril, Móri. Wiem, wiem,

nie potrzebujesz moich pouczeń.

Tiril długo ścisnęła przyjaciela, nie mogąc wydusić słowa. Wreszcie powóz odjechał w stronę miasta, a oni milczący i zasmuceni wrócili do dworu. Długi, dobry okres w ich przyjaźni dobiegł końca.

— Mam wrażenie, jakby zostało mnie tylko pół — oświadczyła Tiril.

— Ja także — odparł Móri.

W powrotnej drodze nic więcej nie powiedzieli.

Catherine przez całą drogę do portu usta się nie zamykały, lecz Erling nic nie mówił. Pierwszy raz od wielu, wielu lat był bliski płaczu. Czuł ściskanie w gardle, nie słuchał paplania Catherine, nie mówiła zresztą o niczym ważnym.

Szczęściarz ten Móri, pomyślał nagle. Owszem, on sam kochał się w baronównie, wspaniałej towarzyszce nocnych igraszek, lecz czasami wprawiała go w irytację.

Tiril. . .

Stracił ją, już dawno musiał się z tym pogodzić. Z magnetyzmem i tajemniczością Móriego nawet bogowie walczyliby na próżno. I przecież czuł się szczęśliwy z Catherine. Ale nie zawsze.

Jednego był natomiast pewny. Jej kiepska reputacja nie dotarła do Bergen. Rodzina z otwartymi ramionami przyjmie piękną i światową arystokratkę.

Pozostawało tylko mieć nadzieję, że Catherine nie popełni żadnego głupstwa.

Obiecała, że nigdy już nie będzie się popisywać wątpliwymi czarnoksięskimi sztukami. A Erling nie miał pojęcia o tym, że maczała palce w śmierci księcia Adolfa na balu.

Nagle powóz stanął w ciasnym zaułku koło portu. Woźnica wdał się w kłótnię z dwoma mężczyznami, przytrzymującymi konia za uzdę.

— Puszczajcie konie, do pioruna, nędzne zbóje! Wiozę wielkich państwa!

— No właśnie — rozległ się zimny głos; Catherine, wyjrawszy z prawej strony, rozpoznała Heinricha Reussa. Erling natomiast nigdy przedtem nie widział mężczyzny, stojącego po jego stronie. Catherine prędko powiedziała mu, z kim mają do czynienia.

Erling nie wahał się ani chwili. Upewnił się, czy oba pistolety są naładowane, i jeden podał baronównie.

— Nie strzelaj, dopóki nie będzie to konieczne! — uprzedził i wyskoczył z powozu.

Miejsce ataku zostało wybrane przez niezłego stratega. Po obu stronach ulicy stały tylko puste budy i magazyny portowe.

Heinrich Reuss podniósł ręce do góry i zbliżył się do Catherine.

— Od was osobiście nic nie chcemy — oświadczył dostojnie, ale nie podobał mu się pistolet przed nosem, zwłaszcza w rękach tej kobiety. Nie spodziewał się, że będą uzbrojeni podczas takiej niewinnej podróży. — Musimy tylko zajrzeć do powozu.

Poszukać Tiril, ale tego głośno nie dodał.

— Proszę, do diabła — odpowiedziała Catherine, otwierając drzwi. W tym czasie Erling trzymał na muszce drugiego z mężczyzn.

Reuss zajrzał do środka, a Catherine złapała go za portki i wciągnęła do wnętrza. Twarzą zmiotł kurz z podłogi ekwipażu.

— Dawaj tu tego drugiego — ponagliła Erlinga. — Zawieziemy ich prosto do aresztu.

Drugi z napastników okazał się jednak sprytniejszy niż Reuss i kiedy Erling odwrócił się na moment, by sprawdzić, co też właściwie wyprawia jego szalona przyjaciółka, kopniakiem wytrącił mu pistolet z rąk i trzymaną w dłoni laską uderzył w głowę.

Tiril Dahl nie znaleźli, musieli więc przejść do rozwiązania numer dwa: wziąć Erlinga Müllera jako zakładnika. W jednej chwili napastnik pochwycił zamroczonego potomka Hanzeatów i wciągnął go do powozu od drugiej strony, na Heinricha Reussa, a potem wskoczył na kozioł, zepchnął woźnicę i popędził konie.

Nie brał jednak pod uwagę Catherine van Zuiden, a uczyniłby to, gdyby znał ją lepiej. Catherine przez tylne okno jak wąż wyślizgnęła się na zewnątrz i po kufkach podróжных usiłowała dostać się na dach. Mężczyzna w tym czasie próbował zawrócić konie w ciasnym zaułku.

To właśnie nie było proste. Okazało się, że miejsca na atak nie wybrano wcale najlepiej. Napastnik musiał podjechać prawie do samych nabrzeży, gdzie pełno było tragarzy, ze zdumieniem obserwujących zamieszanie. Catherine, wywijająca nogami przy próbach wdrapania się na dach, zawołała do nich:

— Zatrzymajcie konie! On kradnie mój powóz!

Baronówna była piękną kobietą, a przy akrobacjach rozdarła jej się suknia, odsłaniając ponętą nogę we frymuśnej bieliźnie. Catherine zdawała sobie z tego sprawę, lecz jej zdaniem dodawało to tylko pikanterii sytuacji, a i mężczyźni tym chętniej pospieszyli jej z pomocą.

Kiedy woźnica przybiegł utykając, tragarze zatrzymali już konie, połowa wymieniała sprośne żarciki z baronówną, a druga połowa spuszczała lanie człowiekowi ściągniętemu z kozła. Zajęto się też Heinrichem Reussem. W zapale i Erlingowi trafiło się kilka kuksańców, lecz Catherine w czas zdołała powstrzymać skorych do bitki tragarzy i wyjaśnić nieporozumienie.

Budząc zachwyt tylu mężczyzn, doskonale się bawiła.

— Co mamy zrobić z tymi tutaj? — zapytał jakiś zapijaczony bas. — Wrzucić ich do morza?

— Nie, nie trzeba — odparł Erling, który pomimo opuchniętej wargi odzyskał już godność. — Ale dobrze by było, gdybyście mogli oddać ich w ręce wójta. My już musimy wchodzić na pokład.

Tragarze obiecali zająć się łotrami.

— Ten ma na sumieniu trzy morderstwa — ciągnął Erling. — Drugiego nie znam, ale z pewnością także jest spod ciemnej gwiazdy. Dziękuję, Catherine, za tak szybką reakcję. A teraz musimy już jechać — zakończył, uznając, że atmosfera między portowymi wyrobnikami a jego przyszłą małżonką staje się nazbyt familiarna.

Gdy już znaleźli się w powozie, odwrócił się.

— Nie powinienem jechać. Jak widzisz, niebezpieczeństwo wcale nie zostało zażegnane. Należałoby przestrzec Tiril i Móriego, pomóc im.

— Przecież Reuss jest już unieszkodliwiony — wtrąciła Catherine, którą pociągały nowe przygody, pragnęła podbić Bergen. Pogoń za opryszkami na dłuższą metę ją nudziła.

— No tak — pokiwał głową Erling. — Są rozbrojeni... Ale nie był z siebie zadowolony. Gdyby kto inny mógł się zająć przedsiębiorstwem w Bergen! On powinien zostać tutaj, towarzyszyć przyjaciółom do czasu, aż Tiril będzie całkiem bezpieczna. Erling całym sobą się opierał.

Zobaczyli statek.

Porywy jesienno-wiatru uderzały w dom, zawodziły w szparach między deskami stodoły. Tiril jeszcze w sypialni słyszała skargę wiatru, mieszkała bowiem w skrzydle najbliższym budynkom gospodarczym.

Wprawdzie było już późno, ale nie mogła zasnąć. Móri zajmował pokój po przeciwnej stronie korytarza, a pokoje rodzeństwa Mikalsen znajdowały się bliżej schodów, dość daleko od Tiril. Na schodach August zamontował pułapkę, w którą sam pierwszej nocy wpadł z wielkim hałasem. Znaczyło to, że zasadzka jest skuteczna.

Erling i Catherine wyjechali przed trzema dniami. Tiril gorzko za nimi tęskniła, szczególnie za Erlingiem, którego znała już od ładnych paru lat. Z Catherine niewiele ją łączyło i baronówna potrafiła czasami wprowadzić Tiril we wzburzenie, była jednak wesołą, barwną postacią, po jej odjeździe pozostała pustka.

Nagle Tiril usiadła na łóżku.

Ktoś był w pokoju!

Albo... nie, chyba nie, to może...

Umilknij, wietrze, bym mogła się wsłuchać!

Przez cały wieczór nad jej głową rozlegały się szelesty i stukanie. Był tam niski stryszek, nikt chyba nie mógłby się na nim wyprostować, lecz powiew wiatru widać szalał z jakimś okienkiem, a gałęzie drzew uderzały o dach i o ściany.

Tiril próbowała dostrzec coś w ciemności.

Nie śmiała zapalać świecy, wcześniej jej migocący płomień wydał się dziewczynie jakiś straszny, musiała ją zgasić.

Kto ją wołał?

Nie, nie wołał. Poszukiwał. Ochryply głos szeptał:
— *Tiiril! Tiiril Daaahl!*

Jakoś przeraźliwie, przeciągle.
Oko? Miała wrażenie, że obserwuje ją ogromne oko, z góry, jakby z wieży.
Rozglądało się, poszukiwało jej, nie znajdując. Na razie.
— *Tiiril Daaahl!*

Nero uniósł łeb, warknął.
Tiril poderwała się z łóżka i z psem depczącym jej po piętach wybiegła na korytarz, do pokoju po przeciwnej stronie.
— Móri — szepnęła. — Ktoś jest w mojej sypialni! On także jeszcze nie zasnął.
— Wiem, że coś się dzieje — odparł.
Wstał z łóżka i przygarnął ją do siebie. To znaczyło, że naprawdę się boi. Nikt tak jak Móri nie potrafił wyczuć niebezpieczeństwa.
— Witaj, Nero — rzucił przelotnie. — Mów, co się stało, Tiril.
Opowiedziała mu o głosie i o oku.
— A przecież August pilnuje schodów. Nikt nie mógł wejść do środka — zakończyła.
— To nie przyszło schodami — cicho powiedział Móri.
— To coś innego, nie cielesnego. Cicho! Przywędrowało w ślad za tobą aż tutaj.
— Och, nie — zadrżała tuląc się do niego. Poczwała ciepło szczupłego, wręcz chudego ciała.
— Szkoda, że wiatr tak hałasuje.
Stali w milczeniu, nieruchomo. Gdzieś, chyba w budynkach gospodarczych, miarowo stukająca obluzowana deska. Tiril musiała nie domknąć drzwi, bo wiatr świstał w szparze, przywodząc na myśl zawodzenie nieczystego ducha. Za nic na świecie nie odważyłaby się zostawić Móriego i iść zamknąć drzwi. Jego też nigdzie nie puści!

Nero znów zaczął warczeć.
— *Tiiril Daaahl!*

Miała wrażenie, że wołający zużył całe powietrze, jakie miał w płucach, bo słowa kończyły się przeciągłym, chrapliwym westchnieniem, jakby na resztkach oddechu.
— Słyszę — szepnął Móri do Tiril. — Ten głos pójdzie za tobą wszędzie. Ale wołanie wiele go kosztuje. Bez względu na to, co to jest, wyteżę wszystkie siły.
— Mam wrócić do siebie? — zapytała na wpół z płaczem. — Tak, żebyś ty miał spokój?
— Och, nie, oczywiście, że nie. Ale mnie się to nie podoba. To... To...
Nie znalazł odpowiednich słów, co jeszcze bardziej przeraziło dziewczynę.
— *Tiiril Daaahl!*

Oboje wstrzymali oddech.

Móri drgnął.

— Oczy... Czuję je — rzekł cicho i dodał z niepewnym uśmiechem: — To dwoje oczu, nie jedno, jak mówiłaś.

Czy ktoś chce..?

— Tak. Ktoś pragnie cię odnaleźć.

— Czary?

— Owszem. Bardzo potężne.

— Czy nigdy nie dadzą mi spokoju? — jęknęła.

— To coś pragnie przyciągnąć cię do siebie. Odnaleźć cię i sprowadzić. Za skarby świata nie wolno ci odpowiadać na ten zew.

— Nie jestem taka głupia. Chociaż bardzo kusi mnie, by odpowiedzieć.

— Wiem o tym. Stój spokojnie, przytrzymaj Nera.

— Nie zostawiaj mnie!

— Nie odchodzę daleko.

Tiril w ciemności ledwie widziała Móriego, ale go słyszała. Zorientowała się, że szuka czegoś w swej sakwie.

Musiła użyć całej siły woli, by za nim nie pobiec.

On zaraz wrócił. Zaczął wykonywać jakieś niezwykle gesty wokół niej i Nera. Rozpoczął na wysokości głowy, potem wolno opuszczał ręce, jakby rysując niewidzialny płaszcz wokół niej i psa. Rozległy się niezrozumiałe islandzkie słowa, wypowiedane monotonnym głosem.

W zakłęciach Móriego było coś niesamowitego, Tiril zrozumiała, że przyjaciel walczy przeciw niezwykle potężnej sile, która na razie jeszcze jej nie odnalazła, ale tylko czekała, by ona, Tiril, dała się w jakiś sposób, poznać. Najgorsze, że nie wiedziała, jakie niebezpieczeństwo jej zagraża. Zdawała sobie sprawę, że nie wolno jej odpowiadać na wołanie, i miała nadzieję, że zdoła nad sobą zapanować. Nie знаła jednak innych możliwości owej mocy. Mogła nieświadomie popełnić jakiś błąd.

Musiła pomówić o tym z Mórim, lecz jeszcze nie w tej chwili. Teraz zajmował się zakłęciami, nie wolno mu przerywać.

Zbudował wokół niej i Nera nadzwyczaj solidny mur ochronny. Dzięki ci, najmilszy, że pamiętasz o Nerze, ale powinieneś i siebie samego zamknąć za tym niewidzialnym pancerzem zimna, szkła i lodu, z każdą chwilą gęstniejącym. Tiril wyciągnęła rękę, by dotknąć otaczającej ją powłoki, pewna, że coś wyczuje, lecz jej dłoń napotkała próżnię.

Nero także rozumiał, że dzieje się coś niezwyklego. Siedział jak mysz pod miotłą, wtulony w bok swej pani. Tiril po jego oddechu poznała, jak bardzo jest spięty.

— Ponieważ ta zła moc odnalazła dwór... — zaczęła lękliwie, zapominając, że nie powinna się odzywać.

— Odnalazła twoją duszę — szybko odparł Móri, nie chcąc przerywać czarów.
— Nie wie jednak, gdzie przebywa ciało, a na nim właśnie jej zależy. Nigdy do ciebie nie dotrze!

Tego być może nie powinien był mówić. Nie wiadomo, czy to za sprawą jesiennego wichru, czy też owej złej mocy, cały dom zatrzęsł się nagle, zatrzeszczały wszystkie spojenia.

— *Tiiril Daaahl* — nie wiadomo skąd rozległ się przeciągły syk. — *Tiiril Daaahl...*

— Ona wyczuwa twój sprzeciw — szepnęła dziewczyna.

— Tak, wie, że znalazłaś się pod ochroną. Usiłuje przełamać moją wolę.

Dom znów zatrzęsł się w posadach.

— Wejdź do środka, Móri! — ponagliła go Tiril — Chroń i siebie!

Móri zakończył odmawianie zaklęć i opuścił ręce.

Natychmiast jakaś siła odrzuciła go w tył, jakby raził go piorun. Rozległ się ostry huk, lecz błyskawica się nie pojawiła.

— Móri! — zawołała Tiril. Pomogła mu się podnieść. Przyjaciel, schylony, przycisnął rękę do piersi, jakby tam właśnie trafił go cios.

— Chyba sobie z tym nie poradzę — jęknął. — Nie, nie, nic mi się nie stało, ale muszę... poprosić o pomoc.

— O, tak — szepnęła. — Że też nie pomyśleliśmy o tym wcześniej! Zawołaj ich natychmiast, zanim ta moc cię zabije!

Móri wezwał swych towarzyszy, stawili się w jednej chwili.

— Muszę przyznać, że coś zaczyna się dziać — stwierdził Nauczyciel, czar-noksiężnik Maur. — Ostatnimi czasy sporo mamy roboty.

— Móri jest w niebezpieczeństwie — wtrąciła się Tiril. — Pomóżcie mu!

— Nie trzeba się tak denerwować — ze spokojem oświadczył Nauczyciel. — Śmiem twierdzić, że bywałeś gorszych tarapatach, Móri.

— Ale z tym doskonale sobie poradziłeś — pochwalił syna Hraundrangi-Móri, wskazując na ochronną powłokę wokół Tiril.

— Rzeczywiście, imponujące — przyznał Nauczyciel. — Sam lepiej bym tego nie zrobił.

— *Tiiril Daaahl!*

— Zła moc znów się odzywa — rzekł Duch Zgasłych Nadziei. — Z pewnością zmusimy ją do milczenia. Usiądźcie na łóżku, oboje. Przytrzymajcie też psa.

Prędko zawołali Nera i przytulili się do siebie na łóżku, oparli plecami o ścianę.

— Zostańcie tam — nakazał Nauczyciel. — Bo tu może być gorąco. Postaramy się, aby ta potworna moc nie zdołała odkryć, gdzie przebywa Tiril. Nie może teraz do niej dotrzeć dzięki ochronnej aurze, którą ją otoczyłeś, Móri. Lecz jeśli znajdzie to miejsce, może posłużyć się innymi sposobami.

— Kim jest ten, kto przesładuje Tiril? — spytał Móri.

— Nie znamy tej mocy — odparł wymijająco Duch Utraconych Nadziei. — Postąpiła dokładnie tak samo jak wy; otoczyła się tajemniczą osłoną, aby nie zostać odkryta. Czeka ją jednak walka!

— Bądźcie ostrożni — poprosiła Tiril.

— Dziękujemy za troskę! — wesoło odpowiedział ktoś z niezwyklej gromadki.

Nero siedział między Tiril a Mórim. Dziewczyna, mocno obejmując ulubieńca za szyję, wyczuła, jak mocno wali psie serce. Móri otoczył ramieniem oboje, drugą ręką trzymał Nera za łapę na wypadek, gdyby pies postanowił opuścić łóżko. Nero jednak najwidoczniej niczego takiego nie planował.

Jedyne w pokoju okno znajdowało się akurat nad ich głowami, Tiril w dość skąpym świetle, które się przez nie sączyło, lepiej mogła się przyjrzeć towarzyszom Móriego. Na jego wezwanie wyłonili się z cienia. Stali teraz plecami do łóżka, jakby chcieli osłaniać trzy żywe istoty. Przed Mórim stały jego duchy opiekuńcze, piękna jasnowłosa kobieta i ojciec, Hraundrangi-Móri. Przed Nerem ustawiło się Zwierzę.

Nagle Tiril spostrzegła coś nowego.

— Móri — powiedziała najciszej jak umiała. — Jest z nimi jeszcze ktoś! O jednego więcej niż zwykle!

— To prawda — odparł równie cicho. — To twój duch opiekuńczy. Widziałem go już wcześniej, ale teraz ukazał się wyraźniej.

Tiril z zachwytem przyglądała się swemu opiekunowi. W ciemności niewiele mogła zobaczyć, poza tym stał odwrócony do niej tyłem, dostrzegła jednak, że jest wysoki, zgrabny, ma długie do ramion włosy.

— Kto to taki? — szeptem spytała Móriego.

Potrząsnął głową.

— Nie pytaj!

I znów rozległo się przeciągłe wołanie:

— *Tiiril Daaahl!*

To był sygnał do rozpoczęcia walki.

Tiril się przestraszyła. Skuliła się bardziej, rękami zasłoniła głowę i przycisnęła się do Móriego. Nero także się przeląkł, cofnął się, jakby chciał wejść w ścianę.

Byli świadkami niezwyklej sceny.

Rzucane ostrym głosem rozkazy przecinały powietrze niczym wystrzał. Kiedy nadeszła odpowiedź złej mocy, świadcząca o oporze stawianym przez niespodziewanych obrońców, zatrzęsło się przymocowane do ściany łóżko.

Z gardła Zwierzęcia wydobyło się głucho warczenie. Tiril zobaczyła, jak zmarli czarnoksiężnicy wznoszą ręce niby do ciosu, jak uderzają w powietrze dla dodania potęgi swym zaklęciom. Wrażenie nagłej nicości powiedziało jej, że i Pustka przystąpiła do ataku.

Szum i świst towarzyszyły zakłębom wypowiedanym przez piękne panie, Morze i Powietrze, i przez wszystkich pozostałych.

Głos powrócił, znów wzywając Tiril po imieniu. Brzmiał jednak nie tak donośnie, jakby dochodził bardziej z oddali.

Łóżko przestało drżeć, lecz duchy nie zaniechały walki.

Zebrani reprezentowali straszliwą moc, przede wszystkim dlatego, że nie należeli do żywych i nie ograniczała ich cielesna powłoka. Nędzne stadium ziemskiego życia mieli już za sobą, a niektórzy nigdy nie musieli przez nie przechodzić. Cieszyli się swobodą, jakiej nie ma żaden śmiertelnik.

Znów rozległ się głos, lecz tym razem daleki, przypominający krzyk ptaka zza horyzontu. Wypowiadał nowe słowa, nie tylko uprzykrzone *Tiiiril Daaahl!* Brzmiały jak zakłęb, przeciwstawiające się mocy zakłęb duchów, które wzmocniły ofensywę. Daleki krzyk stawał się coraz słabszy, niby wołanie topielca z dna morza, aż w końcu umilkł.

Czekali.

Ledwie słyszalny szept z daleka:

— *Tiiiril Daaahl!*

Czarnoksiężnicy zjednoczyli się w potężnym przekleństwie.

Dźwięk zamilkł i już nie powrócił.

Tiril i Móri odetchnęli z ulgą. Tiril Dahl... Znienawidzę własne imię, pomyślała dziewczyna.

Towarzysze Móriego odwrócili się w ich stronę.

— Moc została pokonana — oznajmili.

— Czy ten głos umilkł na zawsze? — szeptem pytała Tiril, wystraszona nie śmiała się ruszyć.

— Właściwie nie. Ale już tu nie dotrze. Może wołać do ochrypnięcia, lecz ty go nie usłyszysz, wszelkie jego usiłowania pójdą więc na marne.

— Cóż za szczęście!

— Jego? — zainteresował się Móri.

— Słyszeliście chyba, że to męski głos?

— Raczej szept — po namyśle stwierdziła Tiril. — Ale macie rację. To musiał być mężczyzna.

— Na pewno.

— Dziękuję, przyjaciele. — Tiril zsunęła się z łóżka w swej pięknej nocnej koszuli, podarunku od matki. Własnej nie miała już od tak dawna. — Dziękuję. Czy wolno mi uściskać was wszystkich po kolei?

Roześmiali się.

— Bardzo byśmy to sobie cenili — z uśmiechem powiedział czarnoksiężnik z Hiszpanii. — Sądzę jednak, że w kilku przypadkach byłoby to dość kłopotliwe.

— Och, oczywiście, rozumiem. Czy mam teraz wrócić do swego pokoju?

— Po tonie twego głosu poznaję, że to ostatnie, na co miałabyś ochotę. Zostań dziś w nocy z Mórim! A ty, Móri, daj jej czułość i poczucie bezpieczeństwa. Bardzo tego potrzebuje.

Móri tylko skinął głową. I on wyraził im podziękowanie, a w zamian usłyszał wyrazy szacunku za roztropne powstrzymanie zagrożenia. Duchy wyjaśniły, że Tiril jest teraz podwójnie zabezpieczona. Głos nie będzie mógł już do niej dotrzeć, a tym samym jej odnaleźć, poza tym chroni ją aura — dzieło Móriego.

— A my teraz na jakiś czas się wycofamy — oświadczył Duch Zgasłych Nadziei. — Myślę, że nie macie nic przeciwko temu?

— Oczywiście — podejrzenie szybko odparli Tiril i Móri.

Uśmiechnął się leciutko.

— Postanowiliśmy wytropić tę moc, rozpoznać ją i zaczarować, unieszkodliwić po wsze czasy, choć ona potrafi się ukrywać.

Lodowaty chłód ciągnący od podłogi przenikał bose stopy Móriego, lecz on ledwie to zauważał.

— Nic nie wiecie o tej mocy? — spytał.

— Ona płynie od człowieka. Od żywego człowieka.

— Od potężnego czarnoksiężnika — uzupełnił Nauczyciel. — Potrafi on więcej, niż powinien umieć zwykły śmiertelnik. Siła jego magii jest ogromna, tego się nie da zaprzeczyć. Ale jak ją posiadał? Gdzie jest jej źródło?

Pomruk głosów powtórzył pytanie. W jaki sposób ów człowiek zdobył tak niezwykłą moc?

— Sądziłam, że najpotężniejszym czarnoksiężnikiem jest Móri — niepewnie powiedziała Tiril.

— Bo tak jest w istocie — odrzekł Nauczyciel. — Lecz ów nieznajomy posługuje się nieczystymi, niedopuszczalnymi metodami, a to znaczy, że znalazł się w posiadaniu zasobów, jakich nie uznajemy.

— Myślałam, że w waszej profesji wszystko jest dozwolone?

— Nie. Mamy własny kodeks moralny, chociaż często go łamiemy. Ale on wie więcej, niż nam się to podoba.

— Myślicie, że uda się wam go odnaleźć? — spytał Móri.

— Spróbujemy, dobrze się ukrywa, to właśnie jedna z jego największych umiejętności. O jego żądzy władzy nie będziemy mówić!

— Teraz was opuścimy — oświadczyła pani powietrza.

— Wrócimy, kiedy świt przeistoczy się w światło dnia.

— Rodzeństwo w pokojach przy schodach śpi głęboko — porozumiewawczo oświadczył na koniec Hiszpan.

W jednej chwili pokój opustoszał. Był bardziej pusty niż kiedykolwiek od czasu, gdy Tiril odnalazła Móriego na Islandii.

— Naprawdę zostaliśmy sami — rzekła zdziwiona Tiril. Niebawem — westchnął Móri z ulgą.

— Trudno mi w to uwierzyć — mruknęła Tiril.

Nero przeciągnął się leniwie i zeskoczył na podłogę. Swoim zwyczajem ułożył się ciężko, aż jęknęły deski, i sapnął zadowolony.

Teraz już tylko wiatr jęczał i skarżył się wśród ścian. Poza tym dookoła panowała cisza.

Tiril i Móri stali na środku pokoju, jakby nie mogąc dojść do siebie po niesamowitych wydarzeniach.

— No cóż odezwała się wreszcie dziewczyna. — Która może być godzina?

— Jeszcze wcześniej — odpad Móri zakłopotany. — Zmęczona jesteś? Chcesz spać?

— Nie jestem bardzo śpiąca, tylko zmarzłam.

— W nogi, prawda? — uśmiechnął się lekko. — Ja też. Wchodź do łóżka.

Tiril, niepewna, nie ruszyła się z miejsca.

— Tiril... Obiecałem twej matce.

— Wiem. Ze mną także rozmawiała.

W głosie Móriego dało się słyszeć napięcie.

— Co ci mówiła? A może to tajemnica?

— Nieee — przeciągnęła słowo. — Poprosiła, bym jeszcze trochę zaczekała, nie podejmowała pochopnych decyzji. Miałam okazję spotkać tak niewielu mężczyzn. Mówiła, że przedstawi mnie szlachcie.

Nic nie odpowiedział. Czekał.

Wyjaśniłam, że nie jesteś jedynym mężczyzną, jakiego znam. Ze mogłam mieć Erlinga Müllera, ale już dawno temu wybrałam ciebie i nie chcę żadnego innego. To nie była ostra dyskusja, Móri — zapewniła go. — Rozmawialiśmy bardzo spokojnie i przyjaźnie. Matka moja uważa cię za uczciwego, dobrego człowieka, wie jednak, że dźwigasz na barkach ciężar, który i ja mogę odczuć.

— Twoja matka jest mądrą kobietą.

— To prawda — westchnęła przygaszona Tiril.

— Połóż się — nalegał. — Nie możesz tak stać i marznąć. Przyrzekłem twej matce, że pozostaniesz nietknięta do chwili, gdy w obliczu Boga poślubisz odpowiedniego człowieka. Dotrzymam tej obietnicy. Ale wiem, że moi towarzysze byli dzisiaj odmiennego zdania.

— Ja też to zauważyłam — roześmiała się Tiril. — Ale chyba ich zawiedziemy.

Zastanowił się przez chwilę.

— Musimy być razem, spać w tym samym łóżku, tego się nie da uniknąć. Ale łóżko jest szerokie. Owiniemy się każde swoją kołdrą, dobrze? Zaraz przyniosę twoją.

— O, tak! — ucieszyła się Tiril. — Tak będzie najlepiej.

— Ale obiecaj, że mnie nie dotkniesz!

— Ani ty mnie, Móri.

Roześmiał się uszczęśliwiony. — To wiele mówiące słowa. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze!

Rozdział 15

Heinrich Reuss i jego kompan nie dotarli do aresztu. Reuss nie wykazał się szczególną przytomnością umysłu, natomiast ten drugi wiedział, jak przekonać strażników. Miał też przy sobie sporo pieniędzy, a tragarzy portowych nietrudno było przekupić błyszczącymi monetami. Jak mogli się im oprzeć biedacy, mieszkańcy nędznych ruder, mający na utrzymaniu żony i wiecznie głodne dzieci?

Wkrótce więc obaj złoczyńcy odzyskali wolność.

Ruszyli na poszukiwanie swoich koni i wtedy ów drugi, Mondstein, oświadczył:

— Jesteś tak głupi, że dość już mam współpracy z tobą. Jedź, dokąd chcesz. Niniejszym zwalniam cię z zadania.

Heinrich Reuss popatrzył na niego z niedowierzaniem.

— Jestem wolny? Co masz na myśli? Muszę wykonać zadanie, inaczej marny będzie mój los.

— Otrzymasz inne — odparł kompan, odwracając wzrok. — Zleci je von Kaltenhelm.

Reuss nie odpowiedział. Wargi mu zdrętwiały. Myśl o gniewie von Kaltenhelma nie dodawała otuchy.

— Oczywiście nie licz na pochwałę — syknął Mondstein. — Musisz zrelekcjonować, co się wydarzyło.

— Przecież tobie także się nie powiodło — bronił się Reuss. — Tak samo jesteś winien porażki.

— Wcale nie — rzekł Mondstein z godnością. — Miałem pełną kontrolę nad powozem, kiedy ta szalona baronówna wezwała na pomoc pospólstwo. To do niej podobne! Nigdy nie umiała wybrać sobie stosownego towarzystwa.

Reuss już chciał zauważyć, że akurat w tej sytuacji postąpiła słusznie, nie śmiał jednak bardziej rozdrażniać swego towarzysza.

— Mogę się dowiedzieć, skąd przyjechał powóz — podsunął z zapalem.

Mondstein spojrział mu w oczy, z jego twarzy bił chłód.

— Dla ciebie sprawa Tiril Dahl jest już zamknięta. Nasz Mistrz zamierzał osobiście się nią zająć, gdyby nam się nie powiodło. A tak właśnie się stało, i to

przez ciebie. Dałeś się wciągnąć do powozu przez kobietę. Co za niezguła!

Reuss oczyma wyobraźni widział już miecz Damoklesa, wiszący nad jego głową.

— Mogę przecież. . .

— Odejdź stąd lepiej — przerwał mu Mondstein. — Jedź do von Kaltenhelma, jeszcze przez kilka dni zabawi na Akershus. Nie chcę cię już więcej widzieć.

Dotarli do wierzchowców. Mondstein wskoczył na konia i odjechał. Kopyta zadudniły o bruk ulicy. Wkrótce tylko echo pobrzmiwało w zaułkach.

Heinrich Reuss także dosiadł konia. Z daleka widać było zamek. Wiedział, że natychmiast powinien się tam udać, brakło mu jednak odwagi. Zwierzę cierpliwie czekało na polecenie. Wyglądało na to, że jeźdźcowi się nie spieszy.

Wreszcie na twarzy Reussa odmalowało się zdecydowanie. Zdecydowanie i ulga.

Zawrócił konia i ruszył z kopyta w przeciwnym kierunku, do miejsca, w którym nocował.

Tam pozbiierał swoje rzeczy, wcisnął co się dało w juki, i wyruszył w drogę z Christianii.

Na południe. W przeciwną stronę niż Akershus.

Heinrich Reuss obrał cel. Na pewno ukryje się tak, że nikt go nie odnajdzie!

Wiele dni później znalazł się w Danii. Udało się! Nikt za nim nie jechał, jego ucieczka pozostała tajemnicą.

Pewnie żaden z tamtych nie przypuszczał nawet, że zechce i ośmieli się zbiec.

Wrócić w rodzinne strony do Niemiec, do Gery w księstwie Reuss w Turyngii. Marzenie! Znał tam wszelkie możliwe kryjówki, nikt go już nie odnajdzie.

Stał na łące nie opodal zajazdu, w którym zatrzymał się na nocleg. Zmierzch powoli zapadał nad łagodnym duńskim pejzażem. Przed nim lśniło niewielkie jezioro, do Heinricha docierały porywane wiatrem drobiny piany z fal bijących o brzeg.

Wolny! Nareszcie wolny!

Zostawił konia w stajni przy zajeździe, sprzedał go oberżyście. Potrzebował pieniędzy na powrót do domu. Czuł się teraz tak bezpieczny, że mógł jechać dyliżansem albo powozem pocztowym, zmierzającym na południe.

Ach, cudowna wolności!

Oczywiście z przykrością myślał o tym, co z powodu ucieczki przeszło mu koło nosa. Musiał zrezygnować z sowitego wynagrodzenia, które otrzymywali wszyscy wierni Mistrzowi.

Wolał jednak obejść się smakiem, niż doświadczyć gniewu von Kaltenhelma lub, co gorsza, samego Mistrza.

Nagle zdrętwiał.

Czyżby ktoś wołał?

Nie. Słuchać było jedynie szum wiatru i fal.

A może oberżysta pragnął z nim mówić? Trzeba wrócić do zajazdu. Zrobiło się zresztą chłodno, od jeziora ciągnęło wilgocią. W powietrzu wyczuwało się już jesień.

Dobrze, że nie będzie miał więcej do czynienia z tą okropną Tiril Dahl! To poniżej jego godności. Mistrz mógł wyznaczyć mu trudniejsze, szlachetniejsze zadanie.

Georg Wetlev nie żył.

Ale przecież taki był z niego dureń. Daleko mu do bystrości Heinricha.

Odwrócił się, by opuścić brzeg, gdy ponownie rozległo się wołanie.

Zatrzymał się.

Nie, to nie wołanie, raczej szept. Lepiej trzymać się z daleka od toni jeziora. . .

Kto tak szepcze o zmierzchu? Wymawia jego imię tak, że na końcu przypomina to syk węża?

— *Heinriiich Reuss!*

Wołanie zamiera, jakby ktoś wzywał go z ogromnym wysiłkiem, z trudem wyduszał z siebie słowa.

Heinricha przeszedł dreszcz. Co to miało znaczyć?

Kto wiedział, że on tu jest?

Nikt!

Znów się rozległo. Jakże straszne! Jakby. . . czar, zaklęcie!

— *Heinriiich Reuss von Geeeraaaa. . .*

Kto tutaj mógł znać jego pełne nazwisko?

W jednej chwili zrozumiał. Słyszał opowieści innych o Głosie.

— Nie! — jęknął. — Nie! Nie!

Szept zmuszał, by go słuchać.

— Nic złego nie zrobiłem, wywiązałem się z obowiązków. Co więcej, musiałem krążyć po tym nędznym kraju przez wiele długich lat, zasługuję na wynagrodzenie, bo. . .

— *Heinriiich Reuss! Chooodź! Chooodź!*

— Nie, nie, nie chcę, wróć do Norwegii, odnajdę Tiril Dahl. . .

Jak szalony ruszył biegiem do zajazdu. Pozbierał rzeczy i wypadł na dziedzińiec.

Mój koń. Muszę odzyskać wierzchowca, muszę wracać do Norwegii.

Na podwórzcu stał dylizans, gotowy do odjazdu. Siedziało w nim dwoje pasażerów. Heinrich Reuss wskoczył do środka.

— Jadę z wami. Ruszać. Ruszać natychmiast!

Pasażerowie, małżeństwo w średnim wieku, popatrzyli nań ze zdziwieniem, lecz nie protestowali, bo nie był to prywatny powóz, lecz ogólnie dostępny pojazd.

Woźnica popędził konie. Wyjechali z dziedzińca.

Dzięki Bogu udało mi się, pomyślał Heinrich. Trzeba zachować zimną krew, jeśli zamierza się podjąć walkę z tą mocą.

Muszę wracać do Norwegii! Jechać gdziekolwiek, byle nie pod sąd Mistrza! Heinrich widział, jak inni popadają w niełaskę. . .

Nieśmiałym uśmiechem powitał współpasażerów. Zorientował się, że są to Norwegowie. Doskonale, będzie miał towarzystwo przez całą drogę. Poczł przy-
pływ dobrego humoru, prowadził uprzejmą konwersację. Wspomnienie Głosu zbladło. To tylko wiatr, szum fal. Jakże łatwo sobie wmówił!

Niebo pociemniało.

Heinrich Reuss oparł głowę o ściankę powozu i odprężył się. Siedząca naprze-
ciwko niego dama już zasnęła, a jej mąż siedział tak jak on, wyciągnięty, głowa
mu się kiwała w takt podskoków pojazdu.

Heinrich zapadł w sen. Nie dokuczały mu koszmary. Trochę mu było niewy-
godnie, powóz trząsał się na wybojach, lecz powoli posuwali się do przodu.

Obudził się, kiedy słońce zaświeciło mu prosto, w oczy. Dylizans kołysał się
na wszystkie strony, cienie wysokich drzew pojawiały się i znikwały.

Przeciągnął się z uśmiechem zadowolenia.

— Wkrótce dojedziemy chyba do przeprawy promowej? — spytał towarzyszy
podróży, którzy właśnie się przebudzili.

Popatrzyli na niego zdumieni.

— Nie. Minęliśmy przed chwilą granicę Schlezwiga-Holsteinu.

Upłynęła dobra chwila, zanim do Reussa dotarło, co powiedzieli. Wpatrywał
się w nich osłupiały.

— Czy to oznacza, że jedziemy. . . na południe?

— Oczywiście! Wybieramy się w odwiedziny do córki. Mieszka w Dolnej
Saksonii.

Heinrich Reuss starał się oddychać spokojnie, lecz nie mógł zapanować nad
drżeniem. Nic dziwnego, że Głos umilkł! Przecież go usłuchał. Zmierzał prosto
w paszczę lwa.

Rozdział 16

Tej nocy w łóżku Móriego oboje sprawowali się przykładowo. Nawet jeśli ktoś z nich nie mogło zasnąć, bo miało kłopoty z okiełznaniem swoich żądz, wiedziało o tym tylko noc.

Następnego dnia oboje wyczuli, że znów mają towarzystwo. W powietrzu zaroilo się od zaciekawionych duchów, które, jak się okazało, nie odnalazły Głosu.

— Nie wyobrażajcie sobie zbyt wiele — krótko oświadczył Móri. — Złożyłem obietnicę i mam zamiar jej dotrzymać.

Wyraźnie okazali rozczarowanie.

— Dlaczego się wtrącać w moje życie uczuciowe? — wykrzyknął rozgniewany.

Odpowiedzią był tylko bezgłośny śmiech.

— No dobrze — westchnął. — Cieszę się, że okazaliście dyskrecję i trzymaliście się z daleka. Było jednak zbyt wcześnie. Przyrzeknijcie, że zachowacie się tak samo w noc poślubną, jeśli w ogóle kiedykolwiek do niej dojdzie.

Odpowiedziała mu któraś z kobiet:

— Zawsze jesteśmy dyskretni, Móri. Jeśli będziesz chciał kochać się z Tiril, zostaniesz z nią sam. Zawsze!

— Dziękuję! — odparł z kwaśną miną. Nie mógł powstrzymać się od uśmiechu, a oni śmiali się wraz z nim. Przekazał treść rozmowy Tiril. Dziewczynę ucieszyło, że duchy opuszczają ich w chwilach intymności. Prawdę mówiąc, świadomość ich obecności zawsze trochę ją peszyła.

— Nie w każdej sytuacji pragnie się mieć towarzystwo — mruknęła zawstydzona.

— Nie mógłbym się bardziej z tobą zgodzić — odparł Móri gorzko.

Oboje myśleli o tym samym: Nie mieli żadnej pewności, czy kiedykolwiek się połączą. Matka Tiril równie dobrze mogła mieć wobec córki inne plany.

Ale w tych dniach byli tylko we dwoje, starali się spędzać razem jak najwięcej

czasu. Tylko na noc rozchodzili się do oddzielnych sypialni. Dla pewności.

Pozostawał jeszcze von Kaltenhelm. . .

Spokoju nie dawały mu podejrzania, że i jego sytuacja nie jest najlepsza. On wszak był odpowiedzialny za wykonanie zadania przez Heinricha Reussa i Georga Wetleva, tymczasem Wetlev nie żył, Reuss uciekł, a dziewczyna, Tiril Dahl, wciąż pozostawała na wolności.

Nie wyglądało to dobrze, wcale nie.

Musiał sam zacząć działać, inaczej groziło mu, że i on narazi się na niełaskę.

Co jednak można począć, skoro Tiril Dahl jakby zapadła się pod ziemię?

Wiedział, że Mistrz zamierza ingerować osobiście, von Kaltenhelm otrzymał jednak niepokojące wiadomości, że „zaistniały ku temu przeszkody”.

Zaistniały przeszkody? Co to mogło znaczyć? Jakie przeszkody? Czyż Mistrz nie miał możliwości dotarcia do każdego człowieka bez względu na dzielącą go odeń odległość? Nastraszenie Tiril Dahl to najłatwiejsze zadanie, jakie można sobie wyobrazić! Przecież to całkiem zwyczajna dziewczyna!

W każdym razie Horstowi von Kaltenhelmowi polecono działać, i to jak naj-
szybciej.

Rozwiązanie przyniósł nowy kompan Heinricha Reussa, ten, który uczestni-
czył w napaści na powóz Erlinga i Catherine.

Człowiek ów, Mondstein, był na Akershus w dniu balu, choć nie zaproszono
go na uroczystość, wywodził się bowiem ze zbyt niskiego rodu. Matka jego nad
szlachectwo przedkładała pieniądze i poświęciła tytuł dla małżeństwa z bardzo
zamożnym finansistą.

Mondstein jednak dostał się na zamek, dyskretnie trzymał się w tle. W kilka
dni po balu przypadkiem wdał się w rozmowę z dziewczyną, która wyszła po sode
dla swej pani, powszechnie zwanej wdową-smoczyką.

Dziewczyna węszyła skandale, wypytywała go o życie na dworze, on jednak
zachował powściągliwość, nie zdradził się, że nie znalazł się wśród zaproszonych
na bal gości. Zdołał natomiast sporo wyciągnąć od niej.

W tym czasie wszyscy już wiedzieli, że księżna Theresa Holstein-Gottorp by-
ła na Akershus tego wieczora, kiedy odbywał się bal, lecz z powodu doznanych
obrażeń nie mogła się pokazać. Po śmierci męża — udar z powodu przepicia,
oczywiście — księżna musiała wystąpić publicznie pomimo żółtozielonych siń-
ców na twarzy.

„Aurora, córka mojej pani, próbowała sprzedać należący do nich dwór pod
Christianią księżnej Theresie” — oznajmiła mu ciekawska panna, którą rzecz ja-
sna była Lizuska.

„Dlaczego?” — zapytał od niechcienia Mondstein.

„Podobno księżna ma jakichś przyjaciół, którzy nie mają gdzie się zatrzymać.

Lecz matka Aurory się nie zgodziła. To znaczy nie powiedziała tego wprost, wyznaczyła jednak tak wysoką cenę za tę marną zagrodę, że Theresa zrezygnowała z kupna. Głupia baba z tej mojej pani! Chciwiec traci wszystko!”

„Oczywiście!”

Mondstein przeszedł do porządku dziennego nad tą rozmową. Przypomniał sobie o niej dopiero, gdy wraz z von Kaltenhelmem rozważali kolejne możliwości pochwylenia Tiril Dahl. Stali w korytarzu w odległym skrzydle zamku.

— A może księżna i ta dziewczyna Tiril się spotkały? — rzucił Mondstein z uśmiechem. — To by dopiero było!

Von Kaltenhelm zeszywniał jak wysuszona na słońcu ryba.

— Dlaczego wcześniej tego nie powiedziałeś? — wrzasnął.

Mondsteinowi opadły ramiona, twarz mu się ściągnęła.

— Nie dostrzegłem tej możliwości. Zresztą ty także wiedziałeś, że księżna była na Akershus. W tym samym czasie, gdy przebywała tu jej córka — dodał znaczącym tonem.

— Ale nie wiedziałem, że księżna próbuje kupić posiadłość! Dla przyjaciół? A cóż za przyjaciół może mieć księżna Holstein-Gottorp, z domu Habsburg, w Norwegii, tej zapomnianej przez Boga kupie kamieni na pustkowiu? No cóż, bez względu na to, jak się sprawy miały, do sprzedaży dworu nie doszło, a więc to i tak był błędny ślad.

— Nie gadaj tak — nonszalancko odrzekł Mondstein, zły na von Kaltenhelma. Postanowił dać prztyczka w nos temu traktującemu go z pogardą napuszonemu zarozumialcowi. — Niedokładnie się przysłuchiwałem o czym paplała ta przeszłodzona pannica, doszło mnie jednak coś o wynajęciu dworu na pewien czas.

Von Kaltenhelm skamieniał.

— Gdzie leży dwór? — spytał złowieszczym tonem.

— Tego nie wiem.

— A więc się dowiedz! — wrzasnął Horst von Kaltenhelm, aż zadzwoniły miedziane naczynia na ścianach korytarza. — Masz na to jeden dzień. Następnie pojedziemy tam razem, jeśli oczywiście okaże się, że Tiril Dahl tam przebywa. Sądzę, że nareszcie ją odnajdziemy.

Mondstein nic nie powiedział. Był oficerem wysokiego stopnia i bardzo nie lubił, by nim pomiatano.

Horst von Kaltenhelm podszedł do okna zamkniętego żelazną kratą. Założono ją nie po to, by uniemożliwić ucieczkę więźniom, lecz by nikt nie mógł dostać się do środka. Korytarz znajdował się na poziomie ziemi.

— A więc księżna być może spotkała się z córką. To, wielkie niedopatrzienie — rzekł von Kaltenhelm. I dodał złowieszczo: — Źle to wróży księżnej Theresie.

Odnalezienie dworu nie zabrało Mondsteinowi zbyt wiele czasu.

Zdając jednak raport von Kaltenhelmowi, nie przejawiał szczególnego optymizmu.

— Owszem, dziewczyna tam mieszka.

— Doskonale, wobec tego natychmiast wyruszamy.

Mondstein powstrzymał go uniesieniem ręki.

— Dziewczyna jest dobrze strzeżona. Jest z nią ten potworny pies i służba z okolicy, rodzeństwo. Mężczyzna to skory do bitki olbrzym.

— Drobnostka! Mamy przecież broń.

— Nie tylko oni tam przebywają. Towarzyszy im ów cudzoziemiec, którego Heinrich Reuss tak się bał.

— Ten tak zwany czarnoksiężnik?

— Właśnie.

Von Kaltenhelm zastanowił się chwilę.

— No cóż, nie ma niebezpieczeństwa. Nie zapomnij znaku, wsuń go pod koszulę, a nikt nie zdoła cię dopaść.

Mondstein nie lubił nosić znaku, był ciężki niczym z ołowiu, zimny, ocierał skórę.

— Dobrze — zgodził się. Ale przecież mógł go po prostu zapomnieć.

— Móri, rano wydało mi się, że w cieniu drzew widzę jakiegoś człowieka.

Pokiwał głową.

— Wiem, Tiril. I ja miałem wrażenie, że coś jest nie tak. Nero przechodząc obok zabudowań gospodarczych warczał.

— Czyżby nadszedł czas, abyśmy się stąd wynieśli? — zmartwiła się dziewczyna. Dobrze się czuła we dworze, mieszkali tu już od jakiegoś czasu.

— Nie, chyba nie musimy się przeprowadzać, przynajmniej nie tak od razu. Obiecaliśmy też, że zaczekamy na powrót twej matki i ewentualnie Aurory. Musimy jednak sprawdzić, co się dzieje. Może to nic groźnego. Wezmę Nera i Augusta, obejdziemy posiadłość.

— I zostawicie mnie samą z Seline?

— Och, nie. Nie oddalimy się zbyt daleko, cały czas będziemy mieć oko na dom. Ale zamknijcie wszystkie drzwi!

Tiril, nie chcąc pokazać, jak bardzo się boi, próbowała żartować:

— Dobrze, a kiedy zapukacie, nie otworzę. Nie życzymy tu sobie żadnych domokrażców.

Móri uśmiechnął się i pogładził ją po policzku. Rób tak częściej, Móri, pomyślała, lecz nic nie powiedziała.

Mężczyźni wrócili po krótkim czasie.

— Nikogo nie widać — oznajmił August. — Ale ktoś rzeczywiście kręcił się przy zagajniku. Wystawimy w nocy dodatkowe straże.

Kiedy jednak przez trzy kolejne dni nic się nie działo, uspokoiili się.

Nadciągnął mróz, ziemia zmarzła, pokryła się szronem. Jeśli moja matka albo Aurora zamierzają wrócić przed zimą muszą się pospieszyć, myślała Tiril. Niedługo będzie już za późno na tak długą podróż morzem i lądem.

Czwartego dnia po południu Tiril oświadczyła:

— Dość już mam siedzenia w domu przez cały dzień. Czy mogę wyjść z Nerem na wieczorny spacer?

— No dobrze — zgodził się Móri z wahaniem. — Ale pójdziemy przez pola, żeby nikt nie mógł zaatakować nas z ukrycia.

August i Seline sporządzili dla wszystkich czworga solidne kurtki z kilku warstw grubej skóry na wypadek, gdyby ktoś chciał do nich strzelać. Dopóki więc strzelec nie celował w głowę, mogli czuć się bezpieczni, a przecież zwykle mierzy się w serce.

Nero jako jedyny nie miał takiego zabezpieczenia. Spróbowali zrobić dla niego coś w rodzaju kamizelki, lecz pies potraktował to jako obelgę i urażony schował się w kącie. Pozostawało więc tylko mieć nadzieję, że okaże się dostatecznie szybki, by umknąć przed strzałem.

Augustowi i Seline nakazano pilnowanie domu podczas przejażdżki Tiril i Móriego, a gdyby ujrzeli kogoś przemykającego się za nimi, August miał na ostrzeżenie wystrzelić ze swego nieporęcznego, trudnego do nabicia muszkietu.

Móri i Tiril powędrowali przez łąki. Dziewczyna wciągała w płuca ostre powietrze z cudownym poczuciem wolności. Zamknięcie w domu zaczynało ją już wprawiać w irytację.

Ale nie tylko to było przyczyną podenerwowania. I ona, i Móri z wielkim trudem utrzymywali między sobą chłodny dystans. Żyjąc tak blisko siebie i bezustannie tęskniąc, by zbliżyć się jeszcze bardziej, mieli kłopoty z poskromieniem swych uczuć.

Rześkie powietrze pomagało nieco ostudzić emocje.

Szli trzymając się za ręce, zatopieni w rozmowie. Nero zataczał wokół nich coraz szersze kręgi. Pies nie bardzo był zadowolony z przechadzki po otwartym terenie. Co prawda stare norki myszy polnych zainteresowały go na chwilę, ale nie miał przecież przy czym podnieść nogi! Niezauważenie podchodził coraz bliżej lasu, gdzie kusiły go drzewa i nadzwyczaj interesujące zapachy lisa albo kuny. Od czasu do czasu podnosił nos do góry i węszył kolejny nowy zapach, któremu trudno się oprzeć.

Para spacerująca po polach nareszcie się ocknęła.

— Nero! Nero!

Pole było puste.

Móri wsunął do ust dwa palce i gwizdnał przeciągle.

Nero nie przychodził.

— Do licha! — zdenerwował się Móri.

— Zaraz przybiegnie — uspokajała go Tiril.
 — Byle tylko nie dał się złapać.
 — Nero? Przecież byśmy go usłyszeli — stwierdziła Tiril.
 — No tak, chyba masz rację.
 Kiedy jednak pies się nie pojawiał, wystraszyli się nie na żarty.
 — Gdzie widziałaś go ostatnio? — spytał Móri.
 — Nie pamiętam. Kręcił się koło nas.
 — Ja widziałem go przy starym wiatraku. Chodź, poszukamy go.
 Wkrótce byli już przy wiatraku. Zeszli z bezpiecznego pola. Wiatrak stał na wzgórzu, lecz skrzydła miał połamane, las podpełzł aż do niego. Pod stopami chrzęściło.
 Nera nigdzie nie było widać.
 Móri gwizdnął jeszcze raz.
 Bez odpowiedzi.
 — Gdzie go szukać? — jęknęła Tiril.
 — To do niego niepodobne — zafrasował się Móri. W jego głosie dał się wyczuć lęk. — Mógł wrócić do dworu, wpuszczono go do środka, ale...
 Gwizdnął jeszcze raz, i jeszcze raz. Las pozostał niemy. Nie rozległ się żaden dźwięk, żaden szelest, nie słychać było psich łap po zmrożonym poszyciu ani ciężkiego sapania.
 Zwierzę!
 — Móri, wezwę Zwierzę!
 Zawahał się.
 — Nie mam przy sobie magicznych znaków.
 — Co tam znaki! — zniecierpliwiła się Tiril. Zawołała głośno: — Zwierzę!
 Wzywam cię!
 Wkrótce poczuła, że coś ociera się o jej nogi, w nosie zaświdrował smród gnijących ran.
 — Znajdź Nera — poprosiła niewidzialnego przyjaciela. — Bardzo cię o to proszę!
 Znów poczuła na kolanach dotyk szorstkiej sierści. Nagle tuż obok rozległ się chrapliwy, dobrze znajomy głos:
 — Nie przejmuj się Nerem! Myśl o sobie! Zawracajcie!
 Móri także go usłyszał.
 — To Nidhogg — stwierdził zdziwiony. — Chyba rzeczywiście cię pilnuje.
 Sądzę, że powinniśmy go usłuchać.
 — Czy Nero ma się dobrze? — rzuciła pytanie w powietrze.
 — Poradzi sobie. Spieszcie się do domu, jak najprędzej!
 — Chodź! — zawołał Móri. Ujął dziewczynę za rękę i pociągnął za sobą. —
 Nie bez powodu nas ostrzega.
 Zbiegli z wiatrakowego wzgórza.

Krótką drogą na pole zdała się nagle nie mieć końca. Zwłaszcza że zagradzali ją dwaj mężczyźni.

— Poznaję jednego — szepnęła Tiril.

— Ja też! Był na balu! Nazywa się chyba von Kaltenhelm.

— Sprawia wrażenie człowieka wysokiego rodu. To oficer — doszła do wniosku Tiril. — Móri, co my zrobimy?

— Schowajmy się do lasu! Pobiegniemy skrajem tak, by nie tracić z oczu ani pola, ani dworu. Biegnij!

Zaczęli przedzierać się przez zarośla.

Huk wystrzału wstrząsnął powietrzem.

Móri jęknął głośno.

— Móri! Jesteś ranny?

— Nie. Kula odbiła się od skóry łosia. Niech Bóg błogosławi Augusta i Seline za to, że poszyli nam kurtki, chociaż przy każdym ruchu trzeszczą jak drzwi stodoły.

Biegli przez gęsto rosnące krzaki, Tiril musiała przyznać, że skórzany pancerz hamuje ruchy. Skrzypiał, przeszkadzał, a jednak nie mogła się powstrzymać od śmiechu na wspomnienie komicznego ubioru.

Niedługo jednak się uśmiechała, zdawała sobie sprawę z powagi sytuacji. Wróg deptał im po piętach.

— Móri! Mijamy dwór, a musimy się tam schronić!

— Nie możemy wyjść teraz na otwarty teren — odparł w biegu, czując, jak gałązki siekają go po twarzy. — Trzeba ich zgubić. Powinienem być zabrać ze sobą pistolet, który zostawił mi Erling.

Padł kolejny strzał, i ten skierowany był do Móriego. Kula prawie go liznęła.

— Chcą zabić ciebie — wysapała Tiril, wyczołgując się z błotnistej rowu.

— Tak, ciebie najwidoczniej mają pojmać żywą.

— Ach, Móri, zgubiłam but w błocie! Au! Tyle tu kamieni, i tak kłuje! Nie mogę... biec...

— Musisz! Dalej, chodź!

Zdawał sobie jednak sprawę, że przeciwnicy mają przewagę.

Ale nie do końca!

— Moi przyjaciele! — zawołał. — Zróbcie co w waszej mocy!

Horst von Kaltenhelm podniecony gonił zbiegów.

— Mamy ją — sapnął z wysiłkiem. — Łap go, Mondstein!

— Muszę naładować broń — odparł równie uradowany Mondstein. — W biegu.

— Weź mój pistolet! Biegniesz szybciej niż ja.

Jęknął z wysiłku, lecz nie chciał rezygnować. Są już tak blisko! Nareszcie ją dopadł. Mistrz będzie zadowolony. Mondstein przyspieszył kroku z pistoletem gotowym do strzału. Kiedyś zazdrościł Heinrichowi Reussowi i Georgowi Wetlewowi tego, że zyskają pochwały za wykonanie tak prostego zadania, jak pochwycenie młodej dziewczyny. A im się to nie udało. Von Kaltenhelm, ich bezpośredni zwierzchnik, wyznaczył jego, Mondsteina, na miejsce Wetlewa. Pokaże, co potrafi!

Heinrich Reuss także się wycofał. Teraz do złapania dziewczyny pozostali tylko von Kaltenhelm i on, Mondstein.

Czekają ich za to zaszczyty!

Tylko że zadanie okazało się nadspodziewanie trudne. Niby prosta sprawa, a dziewczyna wciąż wymykała im się z rąk. Jak to możliwe? I to w zasadzie przez przypadek. Miał wrażenie, że Tiril idzie przez życie jak lunatyczka, prosto w pułapki, jakie na nią zastawiają, i równie prosto z nich wychodzi. Bez szwanku.

Mondstein nie mógł pojąć, jak to możliwe, że znów spudłował strzelając do tego czarnego diabła, który nie odstępował dziewczyny. Przecież trafił go, a mimo to ten człowiek nadal biegł, jakby kule się go nie imały.

Czary!

Znów czary, to straszne, niepojęte!

Tym razem czary polegały na kurtce z wielokrotnie złożonej skóry łosia, ale tego Mondstein nie wiedział, czuł jedynie, jak zimny dreszcz przebiega mu po krzyżu.

Głupstwa, nie wolno tak ulegać fantazjom. Czyż on, Mondstein, nie był wybranym? Do tej pory radził sobie ze wszystkim.

Uciekinierzy mieli jakieś kłopoty. Dziewczyna się przewróciła, niemal zniknęła w bagnie. Ale podniosła się, utykała. Widać zgubiła but. Mężczyzna, ten cudzoziemiec, podtrzymywał ją, ale teraz biegli znacznie wolniej.

A więc szala zwycięstwa przechyliła się na jego stronę. Jak zwykle, zresztą czy mogło być inaczej?

Podniósł pistolet.

Tajemniczy obcy zatrzymał się. Odwrócił się w jego stronę. Jak można być tak głupim! Jedną ręką objął dziewczynę, drugą wyciągnął w stronę Mondsteina, wykrzykując przy tym kilka niezwykłych słów

— *Vinir mínir, geri? Thad sem Thid geti?*

Co po islandzku znaczy: „Moi przyjaciele, zróbcie co w waszej mocy!”

Mondstein stał wśród zarośli, miał jednak dobry widok na parę taplającą się w bagnie. Przed nim rosły tylko wiotkie wierzby iwy, nie zasłaniały mu widoku, a łatwo się przez nie prześlizgnąć.

Tak mu się wydawało.

W momencie gdy odwiódł kurek, usłyszał w powietrzu świst i ujrzał, jak pęd wierzby okręca się wokół pistoletu i ściąga go w dół, tak że sam postrzelił się

w stopę. Inna smukła gałązka owinęła się wokół jego ramienia. Cienkie pędy nachyliły się nad nim i oplotły całe ciało.

Szarpnął się, żeby się od nich uwolnić, ale więzy tylko jeszcze mocniej się zacisnęły. Zaczął wzywać pomocy, lecz giętka jak drut witka otoczyła jego szyję, dławiąc krzyk, a potem samego Mondsteina.

— Dobry Boże — szepnęła Tiril.

— Uciekajmy stąd — odszepnął równie wstrząśnięty Móri. Nie aż tak skutecznej pomocy sobie życzył.

Odnalazł w błocie but Tiril i rzucili się do ucieczki, przerażeni potęgą sił, jakie uwolnili.

— Czy nie powinniśmy mu pomóc? — wysapała Tiril w biegu.

— Za późno. Zresztą ich było dwóch, dlatego właśnie wciąż nie mam odwagi wybiec z tobą na pole.

Tiril nie odpowiedziała. Zadumała się nad niewidzialnymi towarzyszami Móriego, którzy okazali się groźniejsi niż przypuszczała.

Bardzo ją to zasmucało, byli wszak jej przyjaciółmi. Horst von Kaltenhelm czekał w bezpiecznej odległości. Brudną robotę zostawił Mondsteinowi, i tak jemu przypadnie chwała.

Mondstein nie musiał wiedzieć o jego zamiarach.

Wystrzał! Z pistoletu Mondsteina. Doskonale!

Ale krzyk? Czy to nie Mondstein krzyczał? Co on znów wymyślił? Chyba nie strzelał do siebie?

Von Kaltenhelm uśmiechnął się z własnego dowcipu. Ale... znów usłyszał Mondsteina, przeraźliwy wrzask nie pozostawiał wątpliwości. Był to okrzyk przerażenia, paraliżującego strachu.

Horst von Kaltenhelm nasłuchiwał, zmarszczył czoło ze zdziwieniem.

Teraz zabrzmiało to, jakby kompan usiłował wzywać pomocy, lecz nie zdołał dobyć głosu. Potem zapadła cisza.

Usłyszał w niej kroki zbiegów, oddalające się w głąb lasu.

Do diaska, nie powinien był oddawać swego pistoletu! Musi go odzyskać. Odszukać Mondsteina i gonić uciekinierów.

Ale w lesie robiło się coraz ciemniej. Zapadał wieczór. Nieswój, trochę wystraszony, długimi krokami ruszył w kierunku Mondsteina.

Zatrzymał się powoli. Z wahaniem postawił jedną nogę, przysunął drugą i znieruchomiał.

Cóż na miłość boską...

— Mondstein?

Był tam, lecz tkwił spętany wierzbowymi wtkami. Von Kaltenhelm podszedł bliżej.

Poczuł, że ogarnia go fala mdłości.

Ujrzał Mondsteina. Spomiędzy napiętych, splątanych ze sobą wierzbowych gałązek wystawały kępki ciemnych włosów. Jedna ręka wyciągała się w kierunku, gdzie stał Von Kaltenhelm. Wytrzeszczone oko wpatrywało się w niego błagalnie, rozpaczliwie, z przerażeniem, lecz nic już nie widziało.

Spod rozdartego ubrania wyłaniała się naga pierś, świadcząca o tym, że Mondstein zignorował polecenie zwierzchnika i zapomniał o założeniu ochronnego amuletu. Tak samo jak Georg Wetlev „zapomniał” o swoim. Tylko dlatego, że był ciężki i niewygodny?

Cóż za durnie! Von Kaltenhelm naturalnie nosił znak. Nie śmiał postąpić inaczej.

Kępki włosów, ręka, jedno oko, naga pierś.

Tylko tyle zobaczył z Mondsteina.

Boże!

Zapłacą za to, dziewczyna i ten jej budzący grozę kochanek, czy też kim on był.

Von Kaltenhelm wściekły rzucił się w pogoń.

Nie dotarł daleko, znów musiał się zatrzymać.

Co to takiego?

Odetchnął głęboko.

Co się dzieje?

Nieprzyjazny, dziko rosnący las umilkł. Kroków zbiegów nie było słyhać, ucichły już dawno. Między drzewami dostrzegł dwór, w którym mieszkali, z kominą unosząc dym, wiedział jednak, że tam nie mogli się schronić, cały czas pilnie baczył na dom.

Coś jednak zaczęło się dziać. Coś... Coś...

Von Kaltenhelm stanął nieruchomo. Nastuchiwał, sprawdzał najbliższą okolicę. Dookoła.

Takie to dziwne, nie potrafił zrozumieć, co się stało.

Jestem chroniony, pomyślał. Nikt nie może do mnie dotrzeć. W dodatku sam w sobie jestem niepokonany. Wysokiego rodu, wysokiego stopnia. Zawsze odnoszono się do mnie z największym szacunkiem. Już jako bardzo małe dziecko miałem w sobie godność, dzięki której mogłem traktować innych z góry. Słudzy pełzali przede mną. Krewni podziwiali mnie, okazywali cześć. Jako dorosły nie mam sobie równych, książęta, cesarze, wszyscy najwyżej postawieni szanują mnie za mą wrodzoną władczość.

Tylko jeden stoi wyżej niż ja. I on chce, aby doprowadzić do niego tę nic nie znaczącą dziewczynę, Tiril Dahl...

Jestem chroniony. Nikt nie może do mnie dotrzeć.

Ale co to takiego? Co się we mnie syczy?

Von Kaltenhelma ogarnęło niezwykle poczucie pustki, dotkliwej melancholii, która omal go nie zadławiła.

Co on robi na świecie? Czemu to wszystko służy?

Miał wrażenie, że wypełnia go pustka. Wyłaniała się znikąd, rosła w nim niczym olbrzymia bańka powietrza. Próżnia w nim coraz bardziej się rozszerzała, miał ochotę się rozpłakać, ale człowiekowi jego kalibru nie przystoją łzy, zresztą nie umiał ich ronić.

Spomiędzy mocno zaciśniętych warg wydarł się jęk, jakby nacisk od środka stał się zbyt duży. Musiał spojrzeć na swe ciało, żeby się przekonać, jak kolosalnych wymiarów nabrało, lecz wyglądał całkiem normalnie.

Gorsze jednak od wrażenia, że przeistoczył się w balon, było pragnienie śmierci, jakie nagle go ogarnęło. Uczucie, że nic nie ma już znaczenia, że nie ma po co żyć.

A miał takie wzniosłe ideały (służące jego własnemu dobru), marzył o nieśmiertelnej potędze. Rozwiały się marzenia, pozostał jedynie płacz, który uwiązał w piersiach przed laty i nie mógł znaleźć ujścia.

Wszystko jest bez sensu. Wszystko to pustka. Nie ma nadziei.

Jak można się domyślać, to Pustka i Duch Utraconych Nadziei wspólnymi siłami zaatakowały von Kaltenhelma.

Nagle odniósł wrażenie, że gdzieś niedaleko rozległ się głos. Tak naprawdę jednak nic nie słyszał, głos rozbrzmiewał w jego głowie.

„On jest silny. Ma potężną ochronę”.

O, tak, oczywiście, jest chroniony! Nikt nie może wyrządzić mu krzywdy.

Kolejny głos:

„Dziękujemy za przygotowanie. Teraz my się nim zajmiemy”.

Czyżby zaczął mieć halucynacje słuchowe?

Wszystko jedno, bo uścisk wokół jego duszy zelżał. Niewiara zniknęła, był już wolny.

Czas, aby zacząć działać! W następnej chwili potężna siła, jakby mocny, siarczysty policzek, odrzuciła go na bok.

Rozdział 17

Móri dostrzegł wreszcie jakiś budynek na skraju lasu, dziwną szopę. Tiril była już bardzo zmęczona, posuwała się ostatkiem sił.

Znaleźli drzwi, zamknięte tylko na haczyk, i weszli do środka. W panującym półmroku zorientowali się, że przechowywano tu narzędzia rolnicze. Wzdłuż ścian stały tyczki, widły do przerzucania siana, sierpy. Wszystko sprawiało wrażenie nie używanego od niepamiętnych czasów; pojęli, że szopa musi należeć do dworu Aurory, choć stoi w pewnym oddaleniu od pozostałych zabudowań.

— Strych! — zdecydował Móri. — Chodź, wejdziemy na górę, tam będziemy bezpieczni przed napaścią. Otwór jest tak mały, że morderca nie odważy się wsunąć głowy, żeby strzelić.

— Tu jest okienko! — zawołała Tiril, kiedy weszli na strych, gdzie najwyraźniej wpychano wszystko bez ładu i składu. Móri odrzucił rupiecie na bok i utorował im drogę.

— Mamy stąd dobry widok — oświadczył. Starł się uspokoić oddech po szaleńczej ucieczce, kiedy polowano na nich jak na zwierzynę. — Jak się czujesz, Tiril?

Przykucnęli przy okienku. Tiril wzięła Móriego za rękę i na moment przytuliła głowę do jego ramienia.

— Niepokoję się o Nera — szepnęła. Nie mogła złapać tchu, tak była zmęczona.

— Mówili, żebyśmy się o niego nie bali.

— Wiem. Ale i tak się boję.

— To zrozumiałe.

Móri poczuł zalewającą go falę czułości. Spostrzegł, że Tiril jest bliska płaczu ze zmęczenia, rozpacz i niepokoju o ukochanego psa. To dziecko, które weszło w życie z pełnym zaufaniem i miłością dla wszystkich żywych istot. . . Dlaczego właśnie ją musiało dotknąć całe to niepojęte zło? Co uczyniła, by w ten sposób ją karać?

Wiedział, że nie zrobiła nic poza okazywaniem życzliwości i dobroci ludziom i zwierzętom. To okoliczności spletały jej tak paskudnego figła. Nosiła w sobie

tajemnicę, której nie знаła sama, a co dopiero Móri.

Objął ją, usiedli wygodniej na podłodze, by móc wyglądać przez nisko umieszczone okienko.

Tiril mocniej przytuliła się do niego, ale zaraz się wyprostowała zirytowana.

— Mam odciski pod pachami od tej przebrzydłej kamizelki, kurtki, czy jak ją zwać. Czy mogę już ją zdjąć?

Móri zgodził się i sam też ściągnął dziwną kreację Augusta i Seline. Łosie skóry z trzaskiem upadły na podłogę.

— Ale dobrze, że je mieliśmy — przyznała Tiril. — Uratowały ci życie, prawda?

— Tak. Nie zapomnę podziękować rodzeństwu.

— Właściwie mogłoby być tak przyjemnie — zamyśliła się. — Mamy dach nad głową u dobrych ludzi, jesteśmy razem. Gdyby nie to tajemnicze... Pst — szepnęła. — Słyszę czyjś krzyk! Nasłuchiwali.

— Widać ten drugi — stwierdził Móri. — Pewnie i jego spotkał marny los. Wolałbym, żeby moi towarzysze działali mniej skutecznie! Nie mam jednak nad nimi żadnej władzy.

— Naprawdę? — zdumiała się Tiril. — Twierdzą, że są twoimi sługami.

— Ładni mi słudzy! — prychnął Móri.

— Ja ich lubię — cicho powiedziała Tiril. — Lubię ich mimo wszystko. Choć ten ostatni wyczyn...

Zadrzała, Móri prędko ją uścisnął.

— Wiem.

— Znow krzyczy. Czy zbliża się w naszą stronę?

— Nie, chyba nie — odparł Móri z wahaniem. — Nie... Co oni właściwie z nim robią?

Wkrótce go zobaczyli. Był daleko, wybiegł na pole, jak szalony przed czymś uciekał.

Tiril przymknęła oczy.

— Zabijają go? — spytała zduszonym szeptem.

— Nie, wydaje mi się, że... że nie mogą tego zrobić. Jakby miał coś, co go chroni. Ale rzeczywiście starają się go zadręczyć!

Ośmieliła się wyrzec.

Zobaczyła, że daleko biegnie ten dostojny, wysoko postawiony, pozbawiony poczucia humoru człowiek, którego mieli okazję widzieć już tyle razy. Tym razem trudno jednak było się w nim dopatrzeć dostojeństwa. Jego próby zachowania godności czyniły go jeszcze bardziej żalonym.

Wyglądało to, jakby ktoś dawał mu niewidzialne kuksańce, a raczej uderzał zaściśniętą pięścią, bo zataczał się raz na lewo, raz na prawo. Czasami leciał w przód, z trudem utrzymując równowagę, jakby wymierzano mu cios w tył głowy. Zobaczyli, że nagle łapie się za pośladki, chcąc się przed czymś zasłonić, ale bez

skutku, bo niewidzialna siła kawałek po kawałku zrywała z niego spodnie. Potem przyszła kolej na poły koszuli i krótkiego fraczka. Mężczyzna próbował się zakryć, faktem jednak pozostawało, że miał teraz na sobie jedynie górną część fraka i buty, szlachetne części jego ciała pozostawały więc obnażone.

I nagle poderwał się z ziemi, zatoczył szeroki łuk w powietrzu.

Tiril pomimo przerażenia nie zdołała zachować powagi:

— Oni go kopią! Kopią jak piłkę!

— Widzę — odpowiedział Móri, też rozbawiony. — Najpewniej spodnie ściągnęło mu Zwierzę, ale kto teraz się nim bawi, nie wiem.

— Chyba wszyscy biorą w tym udział. W każdym razie dzięki Bogu, że go nie zabijają.

Na pewno by chcieli, ale nie mogą.

Von Kaltenhelm, podskakując z krzykiem, zniknął w lesie po drugiej stronie pola. Daleko od dworu.

— No, myślę, że na jakiś czas mamy go z głowy — orzekł Móri, oddychając z ulgą.

— Chyba tak. — Tiril plecami odwróciła się do okienka. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, starali się dojść do siebie po wszystkich tych niezwykłych wydarzeniach.

— Czy powinniśmy im podziękować? — zastanawiał się Móri.

— Raczej tak, ale musisz także przywołać ich do porządku.

Nic na to nie powiedział.

— Czy są teraz z nami? — spytała.

— Nie. I dziś wieczorem więcej już nie przyjdą.

— Skąd wiesz?

I tym razem nie doczekała się odpowiedzi.

Tiril poczuła, jak zmęczenie i poczucie beznadziejności powoli bierze nad nią górę. Nie umiała powstrzymać płaczu.

Móri przygarznął ją do siebie, czule pogładził po policzku.

— Nie mam już sił — szepnęła zduszonym głosem. — Co zrobiłam, że spotyka mnie taka kara?

— Nic — odpad bezradnie. — Nic poza tym, że jesteś dobra dla wszystkich. A to nie zawsze jest mile widziane.

— Ale chyba nie tylko dlatego?

— Nie. Jest coś jeszcze. Nie potrafię stwierdzić, co. Oni czegoś od ciebie chcą, może jesteś im do czegoś potrzebna. Bo starają się schwytać cię żywcem. Pierwsza próba zabójstwa, jeszcze w Bergen, była popełnionym przez nich błędem, stwierdziliśmy to wszak. Od tamtej pory usiłują pojmać cię żywą.

— Bez powodzenia. Dzięki tobie i naszym pozostałym przyjaciołom. Ale czuję, że wszystkim przeszkadzam. Mielibyście o wiele spokojniejsze życie, gdybym...

— Teraz mówisz głupstwa — surowo przerwał jej Móri.

— Nie chcę więcej tego słuchać!

Oparła się o niego, zrezygnowana. Powtarzała tylko cicho:

— Nie mam już sił. Nie mam sił.

Móri się nie odzywał, nie miał jej do powiedzenia nic ponad to, co potrafiły wyrazić jego delikatne dłonie.

Powoli Tiril odzyskiwała spokój. Przestała drżeć, słysząc rozbawiony szept Móriego:

— Tak przyjemnie cię obejmować teraz, kiedy już zdjęłaś ten okropny pancerz Augusta. Taka jesteś miękka.

Brzydki, zabałaganiony strych nagle jakby rozświetlił blask słońca. Wybuchnęła śmiechem.

— Wiesz, Móri, te słowa bardzo ogrzały moje serce. Całkiem zapomniałam o użalaniu się nad sobą.

Teraz śmiali się już razem, Móri mocno ją tulił.

Tiril westchnęła, ale w głosie słychać było radość.

— Chciałabym być ładnie ubrana, kiedy tak pięknie do mnie mówisz. Ta stara bluzka jest już taka zniszczona, a spódnica gruba i ciepła. Dzisiaj chciałabym nosić najdelikatniejsze jedwabie, tak jak damy na królewskim dworze. Dla mego ukochanego. Nigdy jeszcze niczego bardziej nie pragnęłam!

Tiril oczywiście przesadzała, bo wielokrotnie marzyła o bardziej istotnych sprawach niż piękne ubranie. Móri doskonale o tym wiedział, ale i jego ucieszyły słowa dziewczyny.

— Co tam stroje — mruknął. — Ty jesteś piękniejsza.

— Masz na myśli bez ubrania? — Tiril ogarnął swawolny nastrój, jak to często bywa, kiedy niebezpieczeństwo zostaje zażegnane.

Móri drgnął. Nie chodziło mu dosłownie o to, ale jeśli ona już to powiedziała... .

— I to także.

Tiril poczuła, jak pod wpływem powagi w jego głosie uśmiech na jej twarzy gaśnie. Powietrze wokół nagle jakby zgęstniało, odebrała jego bliskość w całkiem inny sposób.

Móri natychmiast to zrozumiał i umilkł.

Chyba nic nie szkodzi, jeśli musnę wargami jego szyję, pomyślała Tiril. Nie ma w tym nic złego, okażę tylko, że chcę być przy nim, zawsze podobała mi się jego szyja. Taka szlachetna, o brązowej, lśniącej jak jedwab skórze. Kark taki młodzieńczy, nieczęsto miałam okazję go oglądać, tylko kiedy wiatr rozwiął mu włosy.

Wargi dziewczyny przesunęły się po szyi mężczyzny. Móri zadrżał. Tiril się odsunęła.

— Czy to dla ciebie przykre?

— Nie, och, nie — odparł ciężko oddychając. — Ale nie rób tego więcej! Wiesz przecież, że dałem słowo twojej matce!

Twarz Tiril znów rozjaśnił uśmiech. Serce uderzyło jej mocniej, a w jej cichym śmiechu pojawiła się jakaś diabelsko kobieca nuta. Nie miała szczególnego doświadczenia w miłości, lecz ona i Móri znali się już tak dobrze, poza tym instynkty tkwią w człowieku głęboko. Tiril dokładnie wiedziała, co ma ochotę zrobić, i zrobiła to, chociaż w uszach wciąż dźwięczał jej głos matki. Akurat w tej chwili nic jej nie obchodziło. Liczyła się jedynie dodająca życiu blasku bliskość Móriego.

Przez moment przypatrywała mu się uważnie, obserwowала jego profil na tle okna, zawsze wydawał jej się taki bezbronny. Móri jawił jej się jak człowiek, którego wiek trudno jest określić. Właściwie jego twarz naznaczyła już męska surowość, czasami nawet budził w niej strach. Wydawał jej się dorosłym, od bardzo dawna żyjącym na świecie mężczyzną. Ale profil, zwłaszcza okolice ust, miały w sobie jakieś dziecięce zdumienie, choć przecież nie było w nim słabości. Smutek w oczach także mógł zmylić. Przywodził na myśl bardzo młodego człowieka.

Ale ta szyja tak bardzo kusiła...

Położyła mu dłoń na karku, wsunęła pod włosy, żeby poczuć, czy naprawdę jest taki mocny, jakim go widziała. Przekonała się, że to prawda.

— Co robisz? — spytał z uśmiechem.

Śmiejąc się cichutko koniuszkiem języka dotknęła szyi poniżej ucha. Niczym język węża igrał na miękkiej skórze, pod którą prężył się napięty mięsień.

— Tiril! — zadrżał, protestując. Zdrętwiał przerażony i podniecony.

Tiril zrozumiała, że wykazała zbyt dużą śmiałość, że nie znali się tak dobrze, jak sobie wyobrażała.

— Wybacz szepnęła i cofnęła się. — Naprawdę wybacz, to niemądre z mojej strony, ale tak bardzo chciałam cię poczuć. Od tak dawna już tego pragnęłam.

Móri ukrył twarz. Drżał tak, że i ona to czuła.

Znów wszystko zepsułam, pomyślała. A jednak nie mogła oderwać oczu od jego kształtnych dłoni, obejmujących kolana, takich szczupłych, zgrabnych. Patrzyła na pochylony kark, na linię brody, odcinającą się ciemnobrunatno od bieli koszuli.

Na widok tych szczegółów ciało jej przenikały fale gorąca, wciąż czuła słony smak jego skóry, pulsowanie warg. Musiała zamknąć oczy i głęboko odetchnąć, aby powstrzymać zawrót głowy. Ale żaru w dole brzucha nie dało się ugasić spokojnym na pozór oddechem i kurczowym zaciskaniem dłoni.

Spróbowała wstać.

— Może najlepiej będzie, jak stąd pójdziemy — pisnęła żałośnie.

Jego dłoń mocno zacisnęła się na jej dłoni i zmusiła, by znów usiadła. Oczy Móriego płonęły w półmroku.

Tiril tkwiła nieruchomo jak przyśrubowana. Dłonie Móriego dotknęły jej pleców, wsunęły się pod prostą bluzkę, wpełzły pod pasek spódnicy.

— Móri — szepnęła. — Przyrzekliśmy.

— Wiem o tym. Muszę tylko poczuć twoje ciało przy swoim.

Ręką zmiotł rupiecie z szorstkich desek podłogi, zdjął koszulę i ułożył z niej posłanie. Zanim Tiril zdążyła się zorientować, jak do tego doszło, leżała już w samej bluzce. Móri zerwał z siebie ubranie i wtulił twarz w jej brzuch. Jego gorący oddech ją rozgrzewał, dłonie, drżące, niecierpliwe, były wszędzie.

To się nie może dobrze skończyć, przemknęło jej przez głowę i od tego momentu przestała myśleć.

On poszukiwał jej bliskości, lecz to ona się przed nim otworzyła, żadne z nich już się nie wahało, chodziło wszak tylko o nich dwoje, nikt inny nie miał prawa się do tego wtrącać. Dach z belek, nieistotne, gdzie jestem.

Uszy Tiril były jak ogłuchłe na niskie wibracje, chóralną pieśń głosów zmarłych. Ta pieśń powinna być dla niej ostrzeżeniem, ale nie chciała słuchać, nie mogła, bo cała skupiła się na Mórim, na poczynaniach jego i swoich własnych. Dłonie mocno przyciskała do czarnych, niesfornych kędziorów. On jest mój, mój, a ja jego.

Móri wstrzymywał się z całych sił, ugryzł się w wargę, tak pragnął być wobec niej delikatny.

Widziała oczy błyszczące w ciemności, słyszała podniecone szemranie, lecz go nie rejestrowała, wyrzuciła je ze świadomości, wszystko wokół przestało się liczyć. Czowała tylko, i świat od tego zawirował, że on już zaraz w niej będzie, Móri, czarnoksiężnik, pragnął jej, zwyczajnej, prostej, niegodnej zainteresowania dziewczyny. Nie mogła tego pojąć, ogarnęła ją niewypowiedziana radość, poczuła, jak wielką darzy go miłością. Wyznała mu to szeptem, choć ból wycisnął jej z oczu łzy, ukochany, ukochany. . .

Jak ten zawodzący, zwiastujący śmierć wiatr wdarł się na strych? Ile ich tutaj, wprost roi się od drobnych, okropnych isto t!

Ale te myśli przeleciały jej przez głowę jak powiew wiatru, nie zabawiły długo, w następnej chwili o nich zapomniała.

Bo Móri osiągnął już, czego pragnął, i choć ból targnął jej ciałem, przyjęła go z radością i pokornym podziwem. Pieściła włosy kochanka, nagie ramiona, wąskie biodra. Ukochany, ukochany, ukochany.

A Móri nie wiedział już, co to myśli, co to rozum. Przelotnie pogłaskał ją po policzku, otarł łzy, lecz nie uświadamiał sobie, co robi, ogarnięty pragnieniem, które czyniło go ślepy i głuchy na wszystko. Tiril usłyszała jego jęk, na moment wstrzymała oddech, ale on dał się porwać pragnieniu, aż wreszcie odnalazł spokój, którego szukał.

Wtedy ujął jej twarz w dłonie i pocałował. Oddychał ciężko i zaraz osunął się na jej pierś z zamkniętymi oczami, bezwładne dłonie opadły. . .

— Dziękuję, najmilsza — szepnął.

Tiril nie czuła nic poza bezgraniczną miłością i bólem, który skutecznie zagłuszył dręczące ją wcześniej podniecenie. Wiedziała jednak, że przyjemności, o których napomykała Catherine, przyjdą później. Zrozumiała, jak wspaniałe mogą to być przeżycia.

Dopiero gdy leżeli zmęczeni, starając się odzyskać normalne tempo oddechu, Tiril pojęła, że w tym krótkim czasie gorączki zapomnienia wydarzyło się jeszcze coś. Ból i nieskończona czułość dla Móriego zdominowały wszelkie inne doznania. Teraz jednak z przerażającą wyrazistością przypominała sobie, co zaszło.

Wiatr z zawrotem hulający po podziemnych grotach. Otaczająca ją ciemność, oczy w mroku, świecące, pozwalające się domyślać obecności potwornych istot o skołtunionych włosach i pajęczko długich członkach. Ich podniecone sapnięcia na widok kochanków.

Straszniejsza jednak była samotność owych grot, grobowa, żałobna pieśń tysięcy martwych gardeł.

Świat Móriego.

Zeszła do tego świata, lecz odkryła to dopiero później. Kochała się z przeklętym, z czarnoksiężnikiem wędrującym po siedzibach zmarłych.

Jego niewidzialni towarzysze zapewniali ją, że będzie bezpieczna. Że nie wyruszy na wędrowkę ścieżkami wyznaczanymi przez błady księżyc, że Móri nie pociągnie jej do swego piekła na ziemi.

Bo też i tak się nie stało. Słyszała jednak echo krzyku tych, którzy nie mogą zaznać spokoju, poczuła tchnienie mrocznego świata. Postanowiła odegnąć to wspomnienie.

— Przypuszczam, że powinniśmy mieć wyrzuty sumienia — powiedziała.

— To prawda. Masz?

— Nie. A ty?

— Ja też nie — odparł. — Tego nie dało się uniknąć. Dzisiaj, jutro, w przyszłym tygodniu, i tak by się stało, bez względu na to, jak byśmy się przed tym bronili.

— Nie walczyliśmy zbyt zapamiętale — cierpko zauważyła Tiril.

— Wiem. — Roześmiał się. — To było cudowne! Wiem, że sprawiłem ci ból, ale teraz będzie lepiej. Tylko co my powiemy twojej matce?

— Mamy dwa wyjścia. Albo ją okłamiemy, albo postawimy przed faktem dokonanym. Byle tylko nie zjawiła się z tak zwanym odpowiednim kandydatem, na męża, bo teraz musimy się pobrać, czy tego chcesz, czy nie.

— Raczej czy ona tego chce, czy nie. Ja od początku pragnąłem cię poślubić. Obawiałem się tylko zagrożenia, jakie stanowi mój mroczny świat, a potem twego wysokiego urodzenia.

— A kiedy to pozamałżeńskie dziecko cieszyło się powszechnym szacunkiem? — spytała Tiril.

Móri pomógł jej wstać i ubrać się. Przygotowali się do opuszczenia zagracanego strychu.

— To takie dziwne. — Móri rozejrzał się dokoła. — Zawsze chciałem, aby ten pierwszy raz, miałem nadzieję, że kiedyś nastąpi, był dla ciebie piękny. Aby stało się to w jedwabnej pościeli, na łożu z baldachimem, przy świecach, z winem. Ale, o dziwo, miałem wrażenie, że i tutaj jest pięknie. Tutaj! Wśród tych rupieci, kurzu i...

— Nie mów nic. — Przyłożyła palec do jego ust. — Nie niszczyć obrazu tego miejsca! Czułam jedynie twoją bliskość i miłość, jaka nas łączy. Co, wobec tego, może być brzydkie?

— Masz rację — przyznał Móri. — Ja także właśnie tak czułem.

Ucałował ją delikatnie, chcąc jeszcze raz jej podziękować i potwierdzić swą miłość.

— Porozmawiam z twoją matką — oświadczył, kiedy przez noc wędrowali do domu. — Sądzę, że ona zrozumie. Jej samej nie jest to obce.

Nagle łęk na nowo obudził się w Tiril. Chłód nocy stał się dotkliwy.

— Nero! Zapomniałam o Nerze! Och, nie!

Ale Nero był w domu. Przyprowadził go rozgniewany sąsiad. August i Seline musieli wysłuchać opowieści, jak to ten piekielny pies przypędził w zaloty do jego suki i nie pozwalał im wyjść (I ty, Brutusie, pomyślała Tiril, patrząc na Nera w poczuciu wspólnoty). Po przygotowanej przez Seline dobrej kolacji, obficie zakrapianej gorzałką, sąsiad się udobruchał, kiedy więc Móri i Tiril wrócili do domu, panowała już pełna zgoda.

— Wyszedłem zaraz, bo usłyszałem strzał — opowiadał, August. — Ale mamy sezon polowań i za każdym krzakiem czai się strzelec. Słyszałem też z oddali jakieś krzyki, ale to nie były wasze głosy. Zrozumiałem, że państwo szukają psa, więc przestałem się już tak przejmować. Gdybyście jednak wkrótce nie wrócili, zabrałbym muszkiet i poszedł po was.

— Dobrze, Auguście — powiedział Móri, postanawiając opowiedzieć mu o dwóch napastnikach i losie, jaki ich spotkał, dopiero następnego dnia. August, po wypiciu takiej ilości gorzałki, mógł nie znieść widoku mężczyzny oplątanego wierzbowymi gałązkami. Prawdę, mówiąc Tiril i Móriemu na pewien czas udało się zapomnieć o prześladowcach i bardzo się z tego cieszyli.

Wkrótce jednak będą musieli wrócić do rzeczywistości.

Móri w każdym razie radował się, że Tiril nie stało się nic złego, jak obiecali jego towarzysze. Strach, dręczący go przez tyle lat, okazał się bezpodstawny.

Tak właśnie sądził Móri. Nie patrzył dalej, niż miał ochotę spoglądać.

Tej nocy Tiril nawiedziły niezwykle sny.

Zabarwiło je, naturalnie, przeżycie tego dnia, które miało dla niej największe znaczenie: miłosne spotkanie z Mórim, długo wytęsknione spełnienie.

Raz po raz budziła się, na nowo przeżywając tę wielką chwilę, kiedy ulegli pożądaniu. To było takie piękne, Tiril w samotności w swoim pokoju śmiała się uszczęśliwiona.

Nad ranem jednak sny się zmieniły.

Seline już wcześniej napaliła w kominku, w pokoju było ciepło. Tiril, spocona, odrzuciła na bok kołdrę, żeby trochę się ochłodzić.

We śnie była razem z Mórim, ale nie wszystko działo się jak należy.

Nagle Móri zniknął, lecz ktoś jednak znajdował się przy niej. A może tych istot było więcej? Sen stał się tak niewyraźny, mglisty, a dźwięki stłumione i głucho.

Z daleka usłyszała zawodzący śmiech, drwiący, drażniący, nieprzyjemny. Próbowwała zawołać Móriego, ale spomiędzy warg nie wydobył się jej żaden dźwięk.

Nagle dostrzegła ich dość wyraźnie: wielkogłowego, Nauczyciela — Hiszpana, Ducha Zgasłych Nadziei, któremu właściwie nigdy nie zdołała się przyjrzeć, bo jego widok budził taką odrazę, i bladego Nidhogga o długich zębach i członkach.

Tiril zdawała sobie sprawę, że to sen, i usiłowała się z niego wyrwać. Wyczuwała, że to się może źle skończyć. Nie mogła się jednak obudzić, choć z całych sił starała się unieść powieki. Niemym krzykiem wzywała pomocy.

Nagle uświadomiła sobie własną nagość, roztrzęsionymi dłońmi odnalazła kołdrę, naciągnęła ją pod brodę. Zorientowała się, że kołdra leży w poprzek, długo trwało, zanim ułożyła ją właściwie. I tak stopy wystawały spod przykrycia, nic jednak nie mogła na to poradzić.

Duchy otoczyły ją kręgiem. Najbliżej stał Nauczyciel, powiedział coś niewyraźnie, miała wrażenie, że jego głos brzmi, jakby wydobywał się z butelki, trudno było zrozumieć słowa.

Uzalał się nad nią, jakby oskarżał Móriego, że ten myślał tylko o sobie. Tiril usiłowała protestować, bronić przyjaciela. Lecz jak zawsze głos uwiązł jej w gardle.

Powiedział coś także Duch Zgasłych Nadziei. Co takiego, twierdził, że ona jest wtajemniczona? Albo ma zostać wtajemniczona, nie bardzo rozumiała, o co mu chodzi.

Nidhogg nic nie mówił. Stał oparty o ścianę i przyglądał się jej z krzywym uśmiechem.

W końcu wyłapała kilka słów.

— Jesteś teraz naszą pośredniczką — oświadczył Nauczyciel.

Co ma na myśli?

— Jesteś dla nas święta.

Tiril ogarnął strach.

Dlaczego nie było innych? Kobiet, Hraundrangi-Mórieo, Zwierzęcia?

Dlaczego tylko ci trzej?

— Czekają — rzekł Duch Utraconych Nadziei. Jego głos brzmiał, jakby pochodził z przestworzy i epok, które przestały już istnieć.

— Kto czeka? — spytała, nie była jednak pewna, czy ją usłyszeli.

— Czekają od dawna, od bardzo dawna. Teraz zbliża się chwila ich wyzwole-
nia.

Nic nie pojmowała.

— Ty jesteś pośredniczką — powtórzył Nauczyciel.

— My także czekamy — wtrącił Duch Utraconych Nadziei.

— Czy możecie mi to wyjaśnić? — poprosiła.

— Z czasem się dowiesz — odparł Nauczyciel. Stanowiło to dowód, że ją usłyszeli, jej głos do nich dotarł.

Nauczyciel podał jej jakiś osobliwy przedmiot.

— Zatrzymaj to do chwili, gdy właściwy człowiek będzie tego potrzebował.

— Skąd będę wiedzieć, kto jest. . .

— Po prostu zrozumiesz — powiedział spokojnie.

Tiril trzymała przedmiot w dłoni. Kształtem przypominał kawałki węgla brunatnego, na których Móri rył swe magiczne runy.

Ogarnął ją nastrój powagi przemieszanej ze strachem. Rozumiała, że to wielka chwila. Magiczna runa, jak w myślach nazywała przedmiot, choć jeszcze się mu dobrze nie przyjrzała, paliła jej dłoń. Tiril zanosła się krzykiem bólu, lecz runy nie mogła wypuścić.

Obudził ją jej własny jęk. Triumfalne wycie rodem z innego świata ucichło.

Pokój oczywiście okazał się pusty, nikogo w nim nie było, ani teraz, ani wcześniej. W dłoni nie trzymała nic. Czowała tylko, że jest mokra od potu, jakby przyśnił jej się koszmar.

Kiedy wyrównała już oddech, a drzenie ciała ustało, spróbowała zrozumieć to, co wydarzyło się we śnie. Tiril nie była jedyną osobą na świecie, która przekonała się, że we śnie objawia się człowiekowi cień tego, co rzeczywiste. Pojawiają się zawołane prawdy i trzeba nauczyć się je objaśniać.

Tym razem jednak nie potrafiła sobie z tym poradzić.

Rano nie była przekonana, czy wolno jej na ten temat rozmawiać z Mórim. On jednak zorientował się, że coś jej leży na sercu, i nie poddał się, dopóki nie wyciągnął całej prawdy.

Wyszli na poranną przechadzkę z Nerem, prowadzili psa na smyczy, żeby zapobiec jego kolejnej wyprawie w zaloty. Nero nie chciał uwierzyć w taki brak zrozumienia i przez cały czas konsekwentnie ciągnął w jedną stronę. Móri jednak nie uległ jego smętnemu spojrzeniu i mocno go trzymał.

— Ja też nie rozumiem, o co chodziło naszym towarzyszom. — Uścisnął rękę Tiril, jakby chciał dodać dziewczynie otuchy. — Może powinniśmy uznać to wszystko za sen, bo przecież nie było w tym nic realnego. Gdybyś teraz pokazała mi ten przedmiot, to co innego. Ale i ja miałem dzisiaj sen, który nie bardzo mi się spodobał. Tak jak i ty nie byłem pewien, czy to sen, czy jawa. . . Mnie także śnili się nasi towarzysze. Dziękowali mi.

Tiril przeszedł dreszcz.

— Dziękowali?

— Tak, za to, że w końcu pokazałem, iż mam dość rozumu, by dać ci radość, ale kiedy to mówili, ich oczy spoglądały drwiąco, niemal szelmowsko, prawie wpadłem w gniew. „Obiecywaliście, że nie będzie was przy tym”, krzyknąłem. „I nie byliśmy, odpowiedział Nauczyciel. Przewidzieliśmy jednak, co się stanie. Dlatego ci dziękujemy!” To był oczywiście tylko sen, tak samo jak w twoim przypadku. Nasza podświadomość steruje snami, na pewno o tym wiesz. Bałem się, że oni zobaczą, co zrobiliśmy, a ty mogłaś mieć wyrzuty sumienia i chciałaś, żeby się jednak pokazali. Chyba o nic innego tu nie chodzi.

— Uważasz więc, że oni nie byli konkretnie obecni ani w twoim śnie, ani w moim?

— Oczywiście!

Tiril odetchnęła z ulgą.

— Dziękuję ci, Móri, że tak mówisz! Kamień spadł mi z serca.

Nie wspomniała mu jednak o swej niepewności. Nie chciała mówić o niezwykłej, jakby nieziemskiej chwili przeżycia wtajemniczenia, jakiego doznała. Czy naprawdę we śnie można przeżyć coś aż tak intensywnie?

Pomimo gwałtownych protestów Nera zawrócili do dworu, Móri objął przyjaciółkę.

— Duchy miały rację mówiąc, że mało ci dałem radości podczas naszej pierwszej wspólnej chwili, Tiril. . .

— Nic nie szkodzi — mruknęła spuszczać głowę.

— Naprawimy to — obiecał. — Dam ci więcej miłości, ciepła i delikatności. Zaczekam na ciebie, tak, żebyśmy oboje mogli to poczuć. Ale najpierw powinienem pomówić z twoją matką, prawda?

— Tak chyba będzie najlepiej.

— To zależy, kiedy ona przyjedzie. Przez całą wieczność czekać nie możemy, ile właściwie można od nas wymagać?

Tiril roześmiała się uszczęśliwiona.

— Wracaj, matko, jak najprędzej! — zawołała w przestrzeń. — Pospiesz się, bo Móri i ja płoniemy!

— Tak, spiesz się, księżno — zawtórował jej Móri, nie spuszczać oczu z Tiril. — Bo dostatecznie długo już czekaliśmy na siebie, jesteśmy dla siebie stworzeni. Usunęliśmy z drogi wszelkie czyhające na nas niebezpieczeństwa, i te realne, naszych wrogów, i te niewidzialne. Wiemy już, że Tiril nic się nie stanie, przekroczyliśmy granicę i nic złego jej nie spotkało. Spiesz się, księżno, bo mam zamiar pojąć Tiril za żonę i nic mnie przed tym nie powstrzyma!

Rozdział 18

August był mocno stąpającym po ziemi człowiekiem, nigdy nie zdołałby zrozumieć, co Mondsteinowi przytrafiło się w lesie. Owszem, wyznawał się na muszkietach i im podobnych, lecz nie na czarach.

Móri postanowił więc sam zająć się zmarłym. Bał się pokazać władzom tak okaleczone zwłoki, zabrał więc wózek, szpadel, mocne nożyce, i podczas gdy pozostali mieszkańcy dworu zasiedli do posiłku w jadalni, skąd mieli widok na inną stronę, ruszył do lasu.

Musiał wziąć się w garść, by przystąpić do wyplątywania ciała z gąszczu zarośli. Zawołał gniewnie:

— To wasza sprawka, może teraz spróbujecie naprawić grzechy?

Nie spodziewał się pomocy, a już na pewno nie tak szybkiej i skutecznej. Gałązki wierzby ze świstem odskoczyły od siebie, a ciało Mondsteina upadło na ziemię. Móri z wielką niechęcią chciał je podnieść i natychmiast wyczuł, że ktoś znów spieszy mu z pomocą. Zwłoki były lekkie jak piórko i wkrótce znalazły się na wózku.

Móri pociągnął je głębiej w las, aż do moczarów z brudną wodą, Próby wykopania dołu spęzły na niczym, przy każdym ruchu łopatą dziura natychmiast wypełniała się rzadkim błockiem. Wreszcie zniecierpliwiony jeszcze raz poprosił o pomoc.

Wysłuchano go od razu.

Z ohydny m pluśnięciem ciało Mondsteina zapadło się dół, który natychmiast zalała woda, a zaraz potem Móri na własne oczy ujrzał, jak bagienna roślinność podpełzła bliżej i zastoniła niemal całe bagno, widoczna pozostała jedynie niewielka kałuża, aby zwierzę lub człowiek nie utonęli w moczarach, nie trafili na dno tam, gdzie spoczęły zwłoki cudzoziemca, o którym wkrótce zapomni świat.

Móri domyślał się, że ten człowiek to Mondstein. Lizuska wspominała, że wypytywał o dwór.

Móri ze smutkiem pomyślał o jego ewentualnej rodzinie, jednak prawdę mówiąc wątpił, by Mondstein ją miał. Należał do tych, co to przedkładają uciechy wojenne i kompanię towarzyszy nad przyjemności życia rodzinnego.

Chociaż, czy na pewno. . .

Co przygnało Mondsteina, Heinricha Reussa von Gera, von Kaltenhelma i Georga Wetleva do zimnej, zacofanej Norwegii? I to żeby polować na Tiril?

Mondstein i Wetlev nie żyli, ale pozostawał jeszcze von Kaltenhelm, no i nie wiadomo gdzie podział się Heinrich Reuss.

Czterej mężczyźni, w dodatku z najwyższych warstw arystokracji. Co ich łączyło?

Księżna Theresa wróciła kilka tygodni później.

— Przybyłam tak szybko, jak tylko mogłam — mówiła, uradowana widokiem swej córki i swobodą, jaką mogła cieszyć się w Norwegii. Zerwała na zawsze z Holsteinem-Gottorpem. Wszystkie jej ruchomości przeniesiono na zamek Hofburg w Wiedniu.

— Dlaczego? — dopytywał się Móri.

Widać było, że Theresę coś gnębi. Zmęczenie podróżą na pewno dawało się jej we znaki, ale niepokoiła się także o Aurorę, z którą bardzo się zaprzyjaźniła. Aurora była jedną z niewielu osób, z którymi Theresa dzieliła swą tajemnicę o istnieniu Tiril.

Popatrywała na twarze, biło z nich wyczekiwanie. Pomyślała o przywiezionych podarkach. Z wielką niechęcią zaczęła od nieprzyjemnych wiadomości:

— Aurora nic nie może zrobić z tym dworem. Jej okropna matka wykazuje nieprawdopodobny upór. Nie chce mi sprzedać posiadłości ani też wynająć na dłuższy czas. Zamierza odstąpić majątek obcym ludziom, których Aurora nie będzie mogła odwiedzać.

Theresa widziała, że dla wszystkich ta wieść była wielkim ciosem. Miły August skrzywił usta jak dziecko do płaczu. Theresa poczuła się nieswojo, tak bardzo chciała powiedzieć kilka słów pociechy, ale gdzie ich szukać? Ku swemu zdziwieniu zorientowała się także, że brakuje jej szalonej baronówny Catherine i spokojnego Erlinga. Nie ulegało wątpliwości, że i pozostali za nimi tęsknili.

Spłoszyli się po usłyszeniu przywiezionych przez nią wieści. Znów nie będą mieć swojego miejsca!

— Co my poczniemy? — cicho spytał Móri.

Theresa wzięła się w garść.

— Są inne możliwości, w Europie. Tiril będzie miała dom.

W Europie? Wiedziała, że nie tam zamierzali się wybrać. Spostrzegła także, że Tiril zbiera się na odwagę. Co teraz nastąpi?

— Matko. . . Jak wiesz, Móri prosił o moją rękę. Mam nadzieję, że rozważyłaś już tę kwestię, oczywiście na jego korzyść.

Theresa spoglądała na nich wzrokiem, z którego biło zmęczenie. Nie ten temat chciała podjąć na samym początku.

— Przejdźmy chociaż do salonu.

— Przygotuję coś gorącego do picia — oznajmiła Seline i pociągnęła za sobą brata, angażując go do bardziej konkretnych zajęć niż oddawanie się marzeniom.

Theresa poprosiła Tiril i Móriego, by usiedli w bardzo teraz przytulnym saloniku. Seline naprawdę udało się stworzyć z opuszczonego dworu prawdziwy dom.

Księżna popatrzyła na młodych i po długiej pauzie rzekła:

— Cała ta sytuacja jest przerażająco zawikłana. Tiril w tych ciężkich czasach bardzo cię potrzebuje, Móri. Zrobiłam przegląd młodzieńców z moich kręgów i muszę przyznać, że żaden nie wydał mi się odpowiedni. Muszę jednak zebrać się na odwagę i przedstawić cię Habsburgom, Tiril, a to już samo w sobie będzie przykre, nawet jeśli nie zaprezentuję od razu twego przyszłego męża-czarownika. Gdybyśmy więc mogli wstrzymać się z decyzją jakiś rok. . .

Tchórzostwo, lecz cóż innego mogła wymyślić?

— Nie — zaprotestowała Tiril.

Matka popatrzyła na nią pytająco.

Móri wyręczył Tiril w odpowiedzi:

— Zrobiliśmy wszystko, by trzymać się na dystans, wasza wysokość, lecz okoliczności sprawiły, że znaleźliśmy się blisko siebie i nie zdołaliśmy zapanować nad sytuacją.

Theresa zdrętwiała. Zdawała sobie sprawę, że jej ściągnięte brwi wyrażają surowość, nie mogła jednak temu zapobiec.

Wszystko w niej gwałtownie protestowało. Jej jedyna córka, Habsburżanka, miałaaby poślubić dzikusa z Islandii? Z krainy, o której nikt nie wiedział nic poza tym, że to jakaś wyspa daleko na morzu, bez Boga, wiary i prawa?

Ale czy nie tak właśnie osądzała Norwegię? Tymczasem okazało się, że to normalny cywilizowany kraj, pełen kościołów i pobożnych ludzi.

Miałam nadzieję, że uczucie tych dwojga samo się wypali, myślała. Bardzo nierealne życzenie, ale. . .

Całe moje wychowanie się temu sprzeciwia, wyrosłam wszak na cesarskim dworze, w Hofburgu.

Ale co moje wychowanie zrobiło ze mną? Czy pomogło mi w życiu?

Nieudane małżeństwo. Rezultat zasad głoszących, że we wszystkim należy być posłusznym rodzicom.

Tęsknota. Musiałam zrezygnować z tego, którego obdarzyłam miłością.

I ten ogień czyścicowy, przez jaki musiałam przechodzić każdego dnia od chwili narodzin mego dziecka. Żal, tęsknota, rozpacz. Żałosny brak odwagi, by sprzeciwić się niepisanym prawom szlachty.

Miałabym odmawiać mej córce szczęśliwszego życia, zmuszać ją, by i ona odrzuciła ukochanego?

Jakim prawem mam niszczyć tę młodą istotę, która tyle już wycierpiała? Dwa młode istnienia. Kiedy widzę, jak gorąco ten człowiek kocha moją córkę, jak gotów jest walczyć o nią i o prawo do zostania z nią do końca życia, przed oczami staje mi ktoś inny. Ten, który mnie kochał, lecz nie walczył o mnie. Nie oszukał mnie, ale też i nie zrobił nic, by rozwiązać naszą sprawę. Jego droga została wytyczona już wcześniej. Dla mnie nie było na niej miejsca.

Oczy Móriego... One nigdy nie zawiodą.

Mój Boże, jak dobrze rozumiem moją córkę! Przez chwilę zapragnęłam nawet znaleźć się na jej miejscu. Poczuć miłość takiego mężczyzny!

Theresa podniosła głowę. Na ustach pojawił się lekki uśmiech.

— Uderzyło mnie, że zastanawiając się nad waszym losem, nie pomyślałam nawet o „grzechu”, jakiego się dopuściliście. Nie mogę was oskarżać, wiem, że w waszej sytuacji było to nieuniknione, wciąż przebywaliście razem.

— To stało się tylko raz, wasza wysokość — cicho powiedział Móri. — Ści-gali nas ci ludzie, chcieliśmy być blisko siebie, żeby odegnać przerażenie i strach, że jesteśmy sami na świecie przeciwko takiemu złu. Sądzę jednak, że otrzymaliśmy nauczkę, zrozumieliśmy, jak łatwo można stracić nad sobą panowanie, wbrew swej woli.

Ach, jak dobrze ich rozumiała!

— I ja tak myślałam wówczas, przed laty — pokiwała głową księżna. — Sprawa jest wobec tego jasna. Móri, musisz uczynić z Tiril przyzwoitą kobietę.

— Dziękuję, wasza wysokość. Zawsze tego pragnąłem.

Czy słusznie postąpiłam? — zastanawiała się przejęta Theresa. Wewnętrzny głos podpowiada mi, że to właściwa decyzja. Chociaż nie całkiem. Gdyby dało się to odłożyć chociaż trochę...

— Tylko my troje o tym wiemy — oświadczyła. — Czy moglibyście zaczekać, dopóki nie zostaniecie przedstawieni...

— Chyba nie — cienkim głosikiem z udręką na twarzy przerwała jej Tiril. — Ale nie jestem całkiem pewna.

Twarz Móriego zbieleła.

— Co ty mówisz, Tiril?

— Nie wiem — odparła. — Ale wczoraj rano miałam takie dziwne uczucie, że być może.. Co mam powiedzieć? Nie wiem, po prostu się przestraszyłam.

— Ale dlaczego nic mi nie mówiłaś? — wykrzyknął Móri. Theresa dostrzegła na jego niezwykłym obliczu zmieszanie, zdumienie i ostrożną radość.

— Bo nic jeszcze nie wiem — tłumaczyła Tiril. — Od tej poty nie przesta-ję się nad tym zastanawiać, ale nic więcej się nie wydarzyło i nie chciałam cię niepotrzebnie niepokoić.

Theresa nabrała powietrza w płuca:

— Bez względu na to, co się stało, Tiril, rozumiem, że trzeba działać szybko. Posłuchajcie mnie uważnie. Jedyńm mężczyzną, jakiego kochałam, był twój

ojciec. Nie mogliśmy się pobrać, ale popełniliśmy ten sam błąd co wy. Oddałam cię, moje ukochane dziecko, i przez całe życie musiałam przez to cierpieć. Nie mam zamiaru dopuścić, by taka sytuacja się powtórzyła. Właśnie doszłam do wniosku, że ciebie, Tiril, równie dobrze mogę przedstawić jako mężatkę. Nikt w Wiedniu nie będzie przecież wiedział, jak długo jesteś zamężna. Gdy tylko trochę wypocznę, dzień lub dwa, pójdziemy do pastora tutejszej parafii, aby was połączył. Nie będziecie musieli cierpieć tak jak twój ojciec i ja przez całe nasze dorosłe życie. Nie pochodzisz ze szlacheckiego rodu, Móri, jesteś szczególnym człowiekiem, nie pasujesz do świata Habsburgów. Wielu z nich z pewnością cię nie zaakceptuje. Widzę jednak, jaką miłość żywisz dla Tiril, i wiem, że przy tobie będzie bezpieczna, a jeśli chodzi o to, że nie masz bogactwa, to ja mam go w bród. Ale... Oto mój warunek: opuście Norwegię i wyjedźcie ze mną na południe. Przedstawię was w swoim rodzinnym domu. Potem wymyślimy, gdzie zamieszkacie. Czy jasno się wyraziłam?

Móri skłonił się.

— Chylę głowę przed taką zaradnością, księżno. Zechciej przyjąć szczerą podziękowanie za wyrozumiałość. I podziw za odwagę, jaką pani przejawia, chcąc przyznać się przed rodziną do grzechu młodości.

Tiril także dygnęła. Twarz jej promieniała szczęściem.

Theresa mocno ją uściskała.

— Mam nadzieję, że przecucia cię nie mylą — szepnęła. — Pomyśleć tylko, wnuk! Większego szczęścia nie potrafię sobie wyobrazić!

Móri jednak był bardzo zafrasowany, kiedy wieczorem siedzieli w pokoju Tiril.

— Jesteś pewna, Tiril? — spytał co najmniej po raz piąty, a ona odpowiedziała tak samo:

— Wcale nie jestem pewna! Wczoraj przeleciało mi to przez głowę. Odczuwałam taki niepokój w ciele. Ale przecież nie o tym mieliśmy teraz mówić!

— Wiem. — Nachylił się nad zapiskami leżącymi na stole. — Mieliśmy omówić kilka punktów... Jak to właściwie było z Catherine, czy zdołała się dowiedzieć czegoś bliższego o książęcym rodzie Reussów?

— Tak, zapomniałam ci powtórzyć. „Nasz” Heinrich jest młodszym bratem któregoś z wielmoży z linii Gera, nosi tylko tytuł hrabiego. Podobno wiele podróżował po Europie środkowej, południowej, a ostatnimi laty był w Norwegii. Catherine twierdziła, że ponieważ on stale się przemieszcza, trudno się czegoś o nim dowiedzieć. Jasne jest natomiast, że z tego rodu wywodziło się wiele znanych postaci. Najwyżsi to chyba owi Wielcy Mistrzowie Zakonu Krzyżackiego.

— A co on robił w Norwegii?

— Tego nie zdołała się dowiedzieć. Wiódł tajemnicze życie. Jak się zdaje,

celowo, żeby nie zwracać na siebie uwagi. A teraz pokaż mi swoją listę.

Spisali sobie wszystko, czego się dowiedzieli i co mogło mieć jakikolwiek związek z polowaniem na Tiril. Wciąż niewiele im to mówiło:

1. Trzy części figurki demona, które zaprowadziły nas do Tiveden.
2. Znaleziony tam zwój pergaminu i słowa, jakie udało się na nim odcyfrować: ERBE i UFER wraz z wycinkiem . . . IMVR. . . , co można też odczytać jako IMUR albo EMUR.
3. Relief w komorze grobowej, odpowiadający wygrawerowanemu rysunkowi na kielichu, który zginął z Hofburga. Ilustruje baśń o morzu, które nie istnieje. Na obu rysunkach występuje znak słońca z wyraźnie zaznaczonymi promieniami.
4. Ten sam znak widniał na piersi hrabiego von Tierstein, którego widzieliśmy podczas podróży w czasie. Znajdował się także na okładce książki w pracowni hrabiego.
5. Na okładce książki znajdowały się słowa STAIN ORDOGNO i DE-OBRIGULA.

— Tyle mamy — stwierdził Móri. — Pytałem twoją matkę o te dwa słowa, „ordogno” i „deobrigula”, ale nigdy ich nie słyszała.

— Zastanawiam się nad dwiema rzeczami — powiedziała Tiril. — Nie mają nic wspólnego z tym spisem, ale ty mi o tym wspominałeś. Mam na myśli twoje nocne spotkanie z duchami nad brzegiem morza. Prosiły, byś wystrzegął się znaku. Sądzisz, że mogli mieć na myśli, ten właśnie znak, promieniste słońce?

— Nie wiem — wolno odparł Móri. — Niewykluczone. A ta druga kwestia?

— To zagadka, na którą nigdy nie uzyskaliśmy odpowiedzi. Od kogo mój przybrany ojciec, konsul Dahl, wyłudzał pieniądze?

— Ja też się nad tym zastanawiałem. Mogło chodzić o Reussa i Wetleva, ale Dahl jeździł do Christianii, prawda?

— Tak. A Reuss i Wetlev przez cały czas ścigali mnie w Bergen.

— Rzeczywiście — przyznał Móri. — Ta zagadka pozostaje nie rozwiązana. Wiemy tylko, że konsul swą chciwość musiał przypłacić życiem.

Tiril podniosła się z miejsca. Móri mocno złapał ją za ramię i popatrzył na nią uważnie. Po raz szósty spytał:

— Tiril, jesteś pewna? Westchnęła.

— Nie, mówiłam ci już. Za wcześniej, by coś stwierdzić, że nie mam. . . Uff, nie, nie przywykłam do takich rozmów.

— Rozumiem.

Tiril posmutniała, głos nie był taki jasny, gdy pytała:

— Czy ty się w ogóle z tego nie cieszysz, Móri?

— Gdybym mógł! Ale sama powiedziałaś, że się przestraszyłaś, a nie ucieszyłaś. Tak jak i ja.

— To prawda. Okropnie się zlekłam.

— Ja także. Widzisz, przypominam sobie moich towarzyszy tego wieczoru, gdy wezwałem ich, by spytać o radę. Na pytanie, czy kiedykolwiek będę mógł się kiedyś z tobą kochać, odpowiedzieli mi nonszalancko, jakby drwili. „Nie bój się, chichotali. Nie, nie, Tiril nic złego się nie zdarzy! Ona nie wstąpi do twego bladobłękitnego mrocznego świata, Móri!” I ja im uwierzyłem.

— Mieli rację. Mnie nic się nie stało — wymówiła Tiril pobielającymi wargami. Miała wrażenie, że wokół serca zaciska jej się żelazna obręcz. — Pamiętasz mój sen po tym, jak byliśmy razem?

— Tak — odparł ze złowieszczym spokojem. — I swój.

— Powiedzieli mi, że zostałam wtajemniczona. Że od tej pory jestem ich pośrednikiem. Że jestem dla nich święta. . . Okazywali mi szacunek, a jednocześnie jakby kpili.

— A mnie dziękowali. Najwyraźniej się tym bawili. Wtedy tego nie rozumiałem. Tiril, co myśmy najlepszego zrobili? — Tak, ty i ja ujdziemy wolno — szepnęła pogrążona w rozpacz. — A jednak oni wiedzieli, co się może stać. Na to czekali. O mój Boże, co myśmy zrobili, Móri, cośmy zrobili?

Rozdział 19

Grube mury, jak wyciosane z olbrzymich głazów. Głęboko pod ziemią. Do ciężkich piwnic nie mogło dotrzeć światło słońca.

Nad nimi wznosił się kasztel, potężny, tak wielki, że w samym tylko portalu zmieściłby się najwspanialszy z patrycjuszowskich domów.

Kasztel górował nad okolicą, w porównaniu z nim miasteczko przypominało zbiorowisko domków z klocków. Mury trochę zwietrzały, nie wszystkie części nadawały się do zamieszkania, ale wciąż widać go było z daleka. Wskazywał drogę zbłąkanym wędrowcom.

Zbudowali go ogarnięci manią wielkości księżęta, którym nigdy nie dane było oglądać rozpoczętego dzieła w całości, bo śmierć nie odróżnia wielkich od małych.

Wzniesiono go na ruinach pradawnego klasztoru, po którym pozostała jeszcze część murów i korytarzy, a pod klasztorem stała kiedyś inna twierdza, jeszcze z czasów rzymskich. Niewielu wiedziało, że pod twierdzą są też resztki jeszcze dawniejszej budowli.

Głębokie lochy oświetlał blask pochodni rozmieszczonych wzdłuż ścian. Centralne miejsce w sali zajmował wielki stół, wokół niego ustawiono krzesła w stylu saksońskim. W tej chwili jednak na krzesłach nikt nie zasiadał. Mężczyźni obecni w sali zgromadzili się w jej końcu przed czymś, co przypominało ołtarz, a może tron. Ułożone z kamieni półkole wyznaczało miejsca stojących. W obrębie półkola stał dosunięty do ściany stół, a nad nim wysoko na murze wisiał wielki znak ze szlachetnego kruszcu. Przedstawiał okrągłe wypukłe słońce, od którego odchodziły promienie. Tiril i Móri natychmiast by go rozpoznali.

Czarno odziani mężczyźni nosili na szyi identyczne znaki. Teraz wyraźnie je było widać na tle czarnych szat. Nie ukryto ich pod ubraniem, jak nakazywała reguła, gdy członkowie zgromadzenia poruszali się wśród zwykłych ludzi. Tarcze słoneczne wykonano z drewna, promienie — z metalu.

Na stole leżało kilka przedmiotów. Stał przed nim wysoki mężczyzna. Pogrążony w milczącym uwielbieniu dla znaku słońca na murze, sprawiał wrażenie, jakby prosił go o radę.

W końcu zwrócił się do zebranych, zadrżeli jak zwykle, gdy napotkali jego spojrzenie.

Migotliwy blask pochodni zniekształcał jego twarz, lecz i bez tego oblicze to budziło szacunek, żeby nie powiedzieć strach.

Mężczyzna nie był młody. Gęste włosy, spadające na ramiona, miały stalowo-niebieski odcień, kiedyś zapewne musiały być kruczoczarne. Z pociągłej twarzy o szlachetnych rysach biło odpychające okrucieństwo. Wciąż czarne brwi i rzęsy otaczały ciemnobrązowe oczy, zaczynające mętnieć na krawędzi tęczy. Mocno wysklepione powieki potrafiły się przymykać na sposób, którego, jak nauczyli się członkowie zakonu, należało się bać. Nos był długi i kościsty, kości policzkowe wydane. Ostre skrzydełka nosa świadczyły o lodowatej pogardzie dla zwykłych ludzi, wąskie bezkrwiste wargi przypominały kreski.

Chłodny, niesamowity ton głosu potęgował tylko wrażenie bijącego od tej osoby zła w najczystszej postaci. Widać jednak było, że człowiek ów, kiedy tego wymagała sytuacja, potrafił się uśmiechać i okazywać życzliwość.

— Tym samym kończymy naszą dzisiejszą ceremonię — oznajmił.

Dał znak dwóm ze swych sprzysiężonych. Natychmiast pochwycili innego. Biedakowi wydarł się z gardła krzyk przerażenia.

Znów rozległ się głos prowadzącego:

— Heinrichu Reuss von Gera! Wiesz, jakiego przestępstwa się dopuściłeś! Nikt nie może uciec od naszego zakonu. Nikt też nie pragnie tego uczynić. Szum głosów przyświadczył jego słowom.

— A jednak ty, Heinrich Reuss, porwałeś się na to! — grzmiał Mistrz. — Wyjaśnię, dlaczego. Zetknąłeś się z czarami. Czy nie wiesz, że żaden czarnoksiężnik na świecie nie może mierzyć się ze mną?

— Wiem, ekscelencjo. Złąłem się ciebie i twojej kary. Byłem słaby i wybrałem najprostsze rozwiązanie. Jeszcze raz błagam o litość i pozwolenie na to, by zostać w Zakonie.

— Zmarnowałeś szansę.

Mistrz skinął dłonią i Heinricha Reussa wyprowadzono. Jego okrzyk „Poświęciłem wszystko dla Zakonu”, odbił się echem od kamiennych ścian i umilkł.

Najwyższy odwrócił się do stołu przy ołtarzu. To znaczyło, że spotkanie dobiegło końca. Gestem dał znać swym zaufanym, stanęli, zachowując należytą odległość. Podczas gdy inni opuszczali salę. Mistrz, zwrócony w stronę muru, pograżył się w myślach. Powoli uniósł przepiękne naczynie, srebrny kielich z wygrawerowanym wzorem.

Wolno obracał kielich w dłoniach, z uśmiechem zadowolenia na wąskich wargach obserwując rysunek. Widział brzeg morza, stylizowane postacie wyłaniające się z fal. Pierwsza dźwigała wielką kulę, od której odchodziły promienie, identyczny symbol jak ten, który widniał na piersiach zebranych. Mistrz obrócił się do swych towarzyszy.

— Dziękuję, przyjacielu, że zdobyłeś dla nas ten kielich — rzekł z uśmiechem do młodszego z dwóch mężczyzn. — Jest dla nas nieoceniony. Nieoceniony! Utrata z pewnością rozgniewała Habsburgów.

Jego twarz na powrót stała się kamienna.

— Zezwalam ci opuścić salę — rzekł. — Ale ty, najbliższy mi, pozostaniesz.

Kiedy młodszy z mężczyzn wyszedł, Mistrz przeniósł wzrok na swego zaufanego.

— I co na to powiesz, Lorenzo?

Mężczyzna o wyraźnych cechach mieszkańca Europy południowej odparł po namyśle:

— Rzeczywiście Horst von Kaltenhelm przyniósł alarmujące nowiny, Mondstein także nie żyje...

— Wiem o tym — lodowatym tonem odparł Mistrz.

— I on, i Georg Wetlev odmówili założenia znaku. Czego więc innego można się było spodziewać?

— Wetlev zginął od strzału z pistoletu, to wiemy. Ale śmierć Mondsteina była wstrząsająca i niepojęta. Von Kaltenhelm także uległ działaniu czarów, lecz uszedł z tego z życiem, ponieważ nosił znak. Mamy do czynienia z czarnoksiężnikiem, wasza ekscelencjo, i to na dodatek z potężnym.

— Żaden czarnoksiężnik nie potrafi zrobić tego, co przydarzyło się Mondsteinowi i von Kaltenhelmowi — odparł urażony Mistrz. — Nigdy też nie zdarzyło się, by ktoś nie odpowiedział na moje wezwanie, jak to się stało w przypadku tej Tiril Dahl. Za tym kryje się coś więcej. Katastrofalne jest również, że matka i córka się spotkały.

Pochylił się nad Lorenzem.

— Musimy unieszkodliwić także księżną Theresę, jak najszybciej! Zanim powróci do Norwegii, do córki.

— Na to już może być za późno, wasza ekscelencjo.

— Wyślij więc nowych ludzi do Norwegii — prychnął zniecierpliwiony Mistrz. — Takich, którzy się nie wystraszą marnego czarnoksiężnika!

Lorenzo był wstrząśnięty.

— Ale czy naprawdę powinniśmy... atakować księżną Theresę?

Mistrz zastanowił się. W jego zimnych oczach odzwierciedlały się zmieniające się uczucia.

— Wiem — odpad krótko. — Ale musimy. Mamy zbyt mało czasu, należy działać szybko. Ale nie wspominaj nikomu innemu o tym, że księżną trzeba usunąć z powierzchni ziemi. Tiril Dahl należy sprowadzić tutaj, lecz Theresa nie jest nam do niczego potrzebna. Ani słowa więcej o tym, żeby nie dotarli do niewłaściwych uszu!

— Oczywiście, ani słowa!

— Masz rację. — Mistrz zmarszczył brwi. — Nikt inny nie powinien się o tym dowiedzieć. Ty, Lorenzo, osobiście zajmiesz się księżną Theresą.

Lorenzo starał się ukryć wzburzenie.

— Ale...

— Podróż dobrze ci zrobi, zbyt długo już siedzisz w jednym miejscu. Wyruszysz na północ jeszcze w tym tygodniu. Trzeba się spieszyć!

Lorenzo bez słowa skłonił się swemu panu i opuścił salę. Tylko po odgłosie kroków dało się poznać, jak bardzo jest rozgniewany.

Mistrz spoglądał za nim spod współprzymkniętych powiek. Na surowej twarzy wykwitł złośliwy uśmiech.

Rozejrzał się po sali, po jej ciężkich sklepieniach. Nikt poza członkami zakonu nie wiedział o istnieniu tych lochów, tak głęboko skrytych pod murami kasztelu. To oni odrestaurowali to miejsce, odtworzyli salę rycerską z minionych czasów.

Rycerze Zakonu Słońca.

Jego zakon. On był Wielkim Mistrzem. O swej potędze nie musiał przypominać, dlatego nazywano go tylko Mistrzem.

— Jakiś czarnoksiężnik ośmiela się mierzyć ze mną? — szepnął. — Czarnoksiężnik z dzikiej Północy? Tam przecież były tylko nie znające się na rzeczy czarownice...

W zamyśleniu zwrócił się ku ołtarzowi. Z ukrytej w murze półki zdjął jakiś przedmiot i położył go na stole. Dotykał go palcami, a myśli wędrowały.

— Bez względu na to, co potrafi ten nieznajomy czarnoksiężnik z Północy, to nie ma tego, co ja posiadam. Nigdy, przenigdy nie dorówna mi mocą. Przegra.

Podniósł to, co zdjął z półki, Ciężki, bardzo, bardzo stary przedmiot.

Księgę oprawioną w skórę, której czerwonej barwy można się było z trudem domyślać. Poczerniałe złote litery. Islandczycy taką księgę nazwaliby „Rödskinna”.